

# Chaos

## Orson Scott Card



calibre 0.9.27

**ORSON SCOTT CARD**

# **Chaos**

**(Przekład: Piotr W. Cholewa)**

## WSTĘP

Pomińmy kwestię, dlaczego ktoś w ogóle staje się pisarzem. Sama arogancja wiary, że inni ludzie powinni płacić za czytanie naszych słów, dowodzi, że my, pisarze, nie nadajemy się do życia w przyzwoitej społeczności. Jednak niewiele jest społeczności wynagradzających skromność i pogardzających tymi, którzy wpychają się w światło reflektorów. Natomiast wszystkie ludzkie społeczności tęsknią za tymi, co opowiadają historie; a tych, których historie lubimy, skłonni jesteśmy dobrze wynagradzać. Równocześnie ci, co opowiadają, bez przerwy na nowo określają i definiują społeczeństwo. A społeczeństwo płaci nam za kąsanie ręki, która karmi. Jesteśmy ptakami, które niszczą i na nowo odbudowują każde gniazdo na drzewie.

Dlatego zapomnijmy o pytaniu, czemu zostałem pisarzem. Zamiast niego zadajmy łatwiejsze: dlaczego postanowiłem pisać science fiction?

Prosta odpowiedź brzmi, że wcale nie postanowiłem. Niektórzy rodzą się do fantastyki, inni wybierają fantastykę, a jeszcze innym fantastyka zostaje wmuszona. Ja należę do tej trzeciej kategorii. Z wyboru byłem dramatopisarzem. Owszem, zacząłem studiować archeologię, jednak szybko odkryłem, że być archeologiem niekoniecznie oznacza być Thorem Heyerdahlem czy Yigaelem Yadinem. Oznacza raczej sortowanie ośmiu miliardów skorup. Oznacza przesypywanie góry łyżeczką do herbaty. Krótko mówiąc, oznacza pracę. A zatem nie jest to dziedzina dla mnie.

W czasie dwóch semestrów, jakie zajęło mi dokonanie tego odkrycia, wysłuchałem czterech wykładów o teatrze na każdy wykład z archeologii, i właśnie w teatrze spędzałem większość czasu. Uczęszczałem do szkoły Brigham Younga, więc zanim jeszcze rozpocząłem studia, brałem udział w uniwersyteckich zajęciach teatralnych. Przez wszystkie lata studiów zajmowałem się produkcją i występowałem na scenie. Jako aktor nie osiągnąłem wiele - byłem zbyt intelektualny, nie potrafiłem w dostatecznym stopniu wykorzystywać ciała, na scenie nie wypadałem więc swobodnie. Ale że świetnie czytałem na przesłuchaniach, stale dostawałem role. I kiedy zrezygnowałem z archeologii, teatr na mnie czekał. Po raz pierwszy świadomie podjąłem decyzję opartą na mojej autobiografii. Zamiast analizować swoje uczucia (które i tak zmieniały się co godzina) albo układać śmieszny listę "za" i "przeciw", która zawsze wydaje się taka racjonalna, po prostu spojrzałem na kilka ostatnich lat życia. Przekonałem się, że jedyne, do czego stale wracałem, nie dbając, czy przyniesie mi jakkolwiek korzyść, to teatr. Zmieniłem więc kierunek studiów, w ten sposób określając własną przyszłość.

Pierwszym skutkiem tej decyzji była utrata stypendium. Studiowałem na Uniwersytecie Brigham Younga z pełnym stypendium prezydenckim - czesne, książki, mieszkanie. Musiałem jednak utrzymywać wysoką średnią, co wprawdzie było łatwe w przedmiotach naukowych, ale diabelnie trudne w subiektywnym świecie sztuki. Sprawa była wyjątkowa - żaden z prezydenckich stypendystów nie zajmował się dotąd sztuką, nie istniał więc mechanizm przeliczania subiektywnych

ocen. Jeśli pracowałem ile sił nad tematem akademickim, dostawałem bardzo dobry. Kropka. Żadnych problemów. Ale pracując nad sztuką mogłem zaharować się na śmierć, starać się ze wszystkich sił, a mimo to otrzymać dostateczny, ponieważ wykładowca nie zgadzał się z moją interpretacją, nie odpowiadało mu moje rozegranie akcji albo zwyczajnie mnie nie lubił i kto zechciałby się kłócić? Nie było w tym nic mierzalnego. Zatem studia artystyczne kosztowały mnie sporo pieniędzy. Nauczyły też, że nie da się zadowolić krytyka, który postanowił nie lubić twojego dzieła. Musiałem starannie dobierać wykładowców albo godzić się na złe oceny. Robiłem jedno i drugie.

Ale jeśli nie pracowałem dla stopni i nie próbowałem zmienić się tak, by pasować do z góry przyjętych przez wykładowców założeń, jakie powinno być moje dzieło, to, nad czym właściwie pracowałem? Odpowiedź uświadamiałem sobie stopniowo, ale kiedy już ją zrozumiałem, nigdy się nie cofnąłem. Odrzuciłem sugestię jednego z profesorów literatury, że człowiek powinien pisać dla siebie. Jego zachowanie było oczywistym zaprzeczeniem wzniosłej idei "tworzę dla siebie i dla Boga". Przez pół życia wciskał swoje teksty każdemu, kto tylko zechciał je przeczytać albo wysłuchać. Człowiek ten uświadomił mi to, czego sam się już domyślałem: sztuka to dialog z publicznością. Jedynym powodem tworzenia sztuki jest przedstawienie jej innym ludziom; a przedstawia się ją innym ludziom po to, by ich zmienić. To, co tworzę, musi zmieniać świat, uznałem, inaczej nie warto się tym zajmować.

W ciągu roku od uzyskania dyplomu pisałem sztuki. Nie planowałem tego. Nie uznawałem pisania za sposób zarabiania na życie. W mojej rodzinie pisanie było czymś, co się po prostu robi. Tato często kupował "Writer's Digest"; parę razy, jako nastolatek, brałem udział w ich konkursach. Głównie jednak uważałem, że pisanie to skecze i obrazki w szkole albo przy kościele - mormoni zawsze cenili teatr. Pisanie oznaczało też, że mogę, jeśli tylko mam jakieś pojęcie o temacie, bez większego kłopotu stworzyć pracę egzaminacyjną. Ale to przecież nie zawód.

Jako początkujący reżyser przeżyłem frustracje związane z realizacją nieodpowiednich scenariuszy. Kiedy asystowałem przy studenckiej produkcji kwiatów dla Algernona, znalazłem w końcu profesora - reżysera - który przyznał mi rację: drugi akt był straszny. Czytałem opowiadanie i zachwyciło mnie, dlatego tak mocno byłem rozczarowany błędnymi wyborami, jakich dokonał autor adaptacji. Za zgodą reżysera wróciłem do domu i napisałem drugi akt na nowo. Wykorzystaliśmy moją wersję.

Mniej więcej w tym samym czasie (tak mi się wydaje) uczęszczałem na zajęcia z interpretacji, obejmujące też teatr czytelnika. Podobała mi się koncepcja ogołocenia sceny i pozwolenia aktorom - w zwykłych ubraniach, bez przygotowania - na odegranie historii przed publicznością. W ramach zajęć napisałem adaptację Tell Me that You Love Me, Junie Moon Marjorie Kellogg. Uwielbiałem tę książkę, a adaptacja była (i wciąż jest) jednym z moich najlepszych utworów, ponieważ zachowuje zarówno fabułę, jak i ostry styl pisania. Poprosiłem o zgodę na reżyserowanie przedstawienia. Odpowiedziano mi, że na interpretacji nie przewiduje się reżyserowania przez studentów. Tylko na jednych zajęciach uczniowie mogą reżyserować sztukę, odbyłem już te zajęcia, zaliczyłem na dostateczny i to wszystko.

Ale to nie było wszystko. Mój wykładowca, Preston Gledhill, okazał zrozumienie, nagiął trochę przepisy i dostałem swoje przedstawienie: dwie noce w Teatrze Eksperymentalnym, gdzie robiłem teatr czytelnika tak, jak jeszcze nigdy przedtem. Publiczność śmiała się w odpowiednich miejscach. Szlochali na końcu. Oklaski na stojąco były zasłużone. Aktorzy do dziś pamiętają - ja również - że stworzyliśmy coś niezwykłego. Owszem, wykorzystałem cudzą opowieść, ale ta studencka produkcja po raz pierwszy przekonała mnie, że potrafię stworzyć scenariusz i przedstawienie, które publiczność przyjmie do siebie. Zmieniłem ludzi.

Po tych dwóch udanych adaptacjach postanowiłem na poważnie spróbować dramaturgii. Charles Whitman, w tamtych czasach (późne lata sześćdziesiąte) ulubieniec studentów, wykładał też dramaturgię i był gorącym entuzjastą teatru mormońskiego. Uważał, że zajmujący się teatrem młodzi mormoni powinni tworzyć sztuki dla własnej społeczności. Zgadzałem się z nim - i wciąż się zgadzam. Nigdy nie przestałem tworzyć mormońskich sztuk, często dając im pierwszeństwo przed bardziej widoczną i lukratywną karierą "w świecie". Wykłady Whitmana otworzyły śluzę: napisałem kilkanaście sztuk. Próbowałem swych sił w realizmie, komedii, dramacie wierszem, jednoaktówkach - we wszystkim, co nie uciekało na drzewo i pozwoliło się pisać. Adaptowałem opowieści z historii mormonów i z Księgi Mormona; wykorzystywałem historie z życia własnego i rodziców. A przez cały ten czas wciąż uważałem się głównie za aktora i reżysera.

Z faktu, że pisałem wiele sztuk, nie wynika jeszcze, że byłem dramaturgiem. Projektowałem też kostiumy, robiłem charakteryzacje, budowałem dekoracje. Nie zajmowałem się światłem z tego tylko powodu, że cierpiałem na zdrowy lęk przestrzeni. Nie, nie byłem dramaturgiem, byłem teatralnym człowiekiem do wszystkiego. Świadomą decyzję o pisarstwie podjąłem jednak dopiero pewnego dnia, kiedy z grupą kolegów siedzieliśmy na Wydziale Teatralnym - chyba było to jakieś zebranie, ale nie pamiętam. Mijający nas przypadkiem profesor zwrócił się do mnie: "A więc chcesz zostać dramaturgiem?" Coś w tych słowach mnie uraziło. Pomyślałem, że stworzyłem z tuzin sztuk wystawianych przy pełnej sali. Byłem pisarzem w takim samym stopniu, w jakim on był aktorem, reżyserem czy nauczycielem - ponieważ spróbowałem tego i zdołałem usatysfakcjonować publiczność. Odpowiedziałem więc dość chłodnym tonem: „Nie chcę być dramaturgiem. Ja jestem dramaturgiem”.

Wkrótce potem odbywały się akurat jego zajęcia i wobec całej grupy nawiązał do naszej rozmowy. "Niektórzy z was zostaną aktorami, niektórzy reżyserami, a niektórzy dramaturgami", powiedział. Po czym wskazał mnie palcem. "Z wyjątkiem tego oto Scotta Carda, który już jest dramaturgiem". Wszyscy się śmiali. Drwina, jaką - zdawało mi się - usłyszałem w jego głosie, rozgniewała mnie i rozczarowała. Potem dowiedziałem się, że ten komentarz miał wyrażać szacunek; później pracowaliśmy razem nad kilkoma projektami. Wtedy jednak odbierałem wszystko z paranoją typową dla przeczulonych, dojrzewających chłopców. Uznałem jego słowa za wyzwanie. Rozmyślałem o nich przez kilka dni. Tygodni. W końcu doszedłem do wniosku, że przecież jestem dramaturgiem, a wszystkie inne zajęcia teatralne są nieistotne. Mogłem osiągnąć w nich sukces lub ponieść porażkę, ale nie zrobiłoby to wielkiej różnicy - moja przyszłość wiązała się z pisarstwem.

Przeskoczę teraz kilka lat. Lat, w czasie których zorganizowałem zespół teatralny, który - w

pewnym sensie - odniósł wielki sukces. Jednak po tych kilku latach miałem dwadzieścia tysięcy dolarów długów przy pięciu tysiącach dolarów rocznego dochodu. Moje sztuki były popularne, jednak błędne decyzje finansowe - moje decyzje, muszę zaznaczyć - doprowadziły do katastrofy. Rozwiązałem zespół i powinienem wtedy ogłosić bankructwo firmy i własne. Zamiast tego postanowiłem wszystko spłacić.

Jak? Moje dochody jako redaktora w wydawnictwie Uniwersytetu Brigham Younga nie wystarczały, żeby znacząco zmniejszyć kwotę zadłużenia. Musiałem zarobić jakieś dodatkowe pieniądze. W jaki sposób? Potrafiłem tylko pisać, a że moje sztuki przeznaczone były dla mormońskiej publiczności, w żaden sposób nie mogły mi przynieść takich zysków. Po prostu nie wystarczyłoby widzów z pełnymi portfelami. Zastanawiałem się, czy nie pisać dla publiczności nowojorskiej, to jednak byłoby ryzykowne i wymagałoby tak wielkich inwestycji czasowych, że zrezygnowałem z pomysłu. Postanowiłem pisać beletrystykę.

W pewien sposób było to równie ciężkie zadanie, jak pisanie sztuk teatralnych dla amerykańskiej publiczności jako takiej. Różnica polega na tym, że człowiek szybciej odkrywa, iż poniósł klęskę. Można przez lata wysyłać swoje sztuki do teatrów nowojorskich i nie osiągnąć niczego - skończyć bez publiczności, bez pieniędzy i bez przyszłości. A w tej samej sytuacji można się znaleźć po zaledwie kilku miesiącach rozsyłania maszynopisów powieści i opowiadań.

A kiedy zastanowiłem się, jaki typ literatury mi odpowiada, bez trudu wybrałem science fiction. Chciałem zacząć od opowiadań, a pod tym względem science fiction gwarantuje najszerszy rynek. Po pierwsze dlatego, że zarabia się na tym niewiele, więc znani powieściopisarze trzymają się zwykle z daleka, oddając pole krótkich tekstów nowym nazwiskom. Po drugie, ponieważ science fiction żywi się niezwykłością, więc nowi twórcy są w niej witani chętniej niż gdzie indziej. Prawdziwa niezwykłość wymaga geniuszu, ale jej dobrym substytutem jest niezwykłość zawarta w unikalnym głosie każdego twórcy. Kiedy więc autor science fiction jest równocześnie nowy i kompetentny, rozbłyskuje pozornym geniuszem i fantastyka przyjmuje go z otwartymi ramionami (inni mogliby powiedzieć, że przeżuwa go, połyka, a potem wymiotuje, ale takie stwierdzenie byłoby wulgarne i nieuprzejme; nie zawsze przecież tak się dzieje).

Tak więc, z czysto finansowych względów, zadłużony po uszy, wybrałem science fiction. Miałem szczęście i już drugie wysłane opowiadanie sprzedało się po kilku zaledwie próbach (o których opowiadam w innym miejscu), po czym zajęło drugie miejsce w plebiscycie nagrody Hugo i zyskało dla mnie Nagrodę Campbella dla najlepszego debiutu. Dopóki zatem ludzie płacili mi zapisanie science fiction, dlaczego miałbym przestać?

To była barwna, dowcipna, swobodna odpowiedź. A także oszustwo.

Ponieważ przez cały czas, kiedy "byłem" dramaturgiem, pisałem też science fiction. Zanim stworzyłem jakąkolwiek sztukę, w wieku szesnastu lat wpadłem na pomysł opowiadania, które w końcu stało się Grą Endera. Chodziłem na kursy pisarskie w BYU i chociaż miałem dość rozsądku, żeby nie oddawać SF na sprawdzianach, to sercem byłem przy historiach Worthingów, które pisałem, zanim jeszcze wystawiono moją pierwszą sztukę. Podobnie jak sztuki, moje opowiadania



powstawały na liniowanych kartkach z kołonotatników i na początku matka przepisywała mi je na maszynie. Wysyłałem je potem i jak skarb przechowywałem wszystkie odmowy. Nie było ich wiele - parę opowiadań, kilka odpowiedzi. Ale między odmowami -i między sztukami - zajmowałem się literaturą z takim zapalem, jak niczym innym w życiu.

Zostawmy więc dowcipne odpowiedzi i spytajmy jeszcze raz: dlaczego science fiction? Dlaczego opowiadania, jakie przychodzą mi do głowy, zawsze należą do science fiction i fantasy? Nie dlatego, że nie czytałem nic poza SF. Wręcz przeciwnie; kilka razy przeżyłem co prawda okres zauroczenia fantastyką, jednak w szkole średniej i na studiach czytałem tylko SF i fantasy, które było w modzie. Czytałem Diunę, kiedy wszyscy czytali Diunę; tak samo Władcę Pierścieni, Fundację, I Sing the Body Electric i Słonecznikowe wino. Równocześnie czytałem The Wall and the White Lotus Hersey'a, Fountainhead Ayn Rand, Stanyan Street and Other Sorrows Roda McKuena. Do licha, czytałem nawet Khalila Gibrana. Może nie brałem prochów, ale też nie byłem całkiem odizolowany od swojego pokolenia (na szczęście, zanim ukazała się Mewa, zdążyłem wystarczająco wydorosnąć, żeby natychmiast uznać ją za śmiecie). Nigdy, ani razu, nawet przez chwilę nie myślałem o sobie jako "czytelniku science fiction". Niektóre fantastyczne książki były dla mnie objawieniem, to prawda, ale nie bardziej niż inne - a żadna nie wywarła takiego wpływu, jak Szekspir i Joseph Smith, dwaj pisarze, którzy bardziej niż ktokolwiek inny uformowali styl, w jakim myślę i piszę. Jeśli nie byłem czytelnikiem science fiction jako takim, dlaczego impuls opowiadania historii objawił się u mnie w formie fantastyki? Myślę, że z tej samej przyczyny, dla której impuls pisania sztuk zawsze wyrażał się w treściach przeznaczonych dla publiczności mormońskiej. Możliwość transcendencji to tylko część wyjaśnienia. Ważniejszy jest fakt - gdyż mormonizm nie jest religią transcendentalną - że science fiction, podobnie jak mormonizm, dostarcza słownika dla racjonalizacji transcendencji. To znaczy, że w granicach science fiction możliwe jest odnalezienie sensu życia bez uciekania się do Tajemnicy. Nie lubię Tajemnicy (choć uwielbiam tajemnice); uważam, że to nazwa, jaką nadajemy naszej decyzji, by nie starać się rozumieć. Od Josepha Smitha nauczyłem się odrzucać każdą filozofię, która wymaga przełknięcia paradoksu, jakby był wyrazem głębi; nauczyłem się, że jeśli coś nie ma sensu, to prawdopodobnie jest bzdurą. W ramach science fiction mogłem zrzucić kajdany realizmu i stworzyć światy, w których problemy, o jakie mi chodziło, były wyrażone czysto i wyraźnie. Historię można powiedzieć wprost. Może o czymś mówić.

Od tego czasu poznałem sposoby, by bardziej realistyczna literatura także o czymś mówiła - ale nie takie, jakich próbowali mnie nauczyć moi profesorowie. Mętne sposoby, stosowane przez współczesnych literatów amerykańskich, prowadzą do bankructwa, ponieważ zanedbują publiczność. Są jednak pisarze, którzy poza fantastyką dokonują tego, o czym w wieku dwudziestu trzech lat sądziłem, że jest możliwe tylko w jej granicach. Myślę tu o Cold Sassy Tree Olive Ann Bums jako kamieniu milowym, który przekonał mnie, że wszystkich tak zwanych Tajemnic można osiągnąć poprzez opowieści o miłości, o seksie i o śmierci, o potrzebie przynależenia, o pragnieniach ciała i poszukiwaniu indywidualnych wartości; Społeczność, Cieleśność, Tożsamość. Tak naprawdę wszystkie opowieści dotyczą tej triady. Najlepsze z nich to te, które czynią to lepiej dla konkretnej publiczności, w konkretnym miejscu i czasie. Stopniowo próbuję więc pisać inne utwory, dla czytelników spoza społeczności mormonów i społeczności science fiction. Nie zmienia to faktu, że właśnie w science fiction po raz pierwszy znalazłem możliwość mówienia do

niemormonów o sprawach dla mnie najważniejszych. Dlatego pisałem science fiction, piszę science fiction i będę pisał science fiction jeszcze przez wiele lat.



# I. TYSIĄC ŚMIERCI

- Nie będziesz przemawiał - uprzedził oskarżyciel.
- Nie sądzę, żeby mi pozwolili - odparł Jeny Crove, udając pewność siebie, której wcale nie czuł.

Oskarżyciel nie zachowywał się wrogo; bardziej przypominał reżysera szkolnego przedstawienia niż człowieka, który dążył do śmierci Jerry'ego.

-Nie tylko ci nie pozwolą- ostrzegł -ale jeśli spróbujesz, skończy się to dla ciebie o wiele gorzej. Mamy cię jak na talerzu. Znaleźliśmy więcej dowodów, niż potrzebowaliśmy.

- Niczego nie wykazaliście.

- Wykazaliśmy, że wiedziałeś - nie ustępował oskarżyciel. -Teraz nie warto się kłócić. Wiedziałeś o zdradzie i nie zameldowałeś, a to równa się popełnieniu zdrady.

Jerry wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

Ściany celi były z szarego betonu, drzwi z litej stali. Zamiast łóżka dostał hamak zawieszony na wbitych w mur hakach. Za toaletę służyło wiadro ze zdejmowanym plastikowym siedzeniem. Ucieczkę trudno było sobie nawet wyobrazić. Właściwie nie było tu nic, co mogłoby zająć inteligentnego człowieka na dłużej niż pięć minut. Przez trzy tygodnie, jakie tu spędził, nauczył się na pamięć każdej szczeliny betonu, każdej śrubki w drzwiach. Nie miał już na co patrzeć - z wyjątkiem oskarżyciela. Niechętnie spojrział mu w oczy.

- Co powiesz, kiedy sędzia spyta, czy przyznajesz się do winy?

- Nolo contendere.

- Dobrze, ale byłoby ładniej, gdybyś powiedział: jestem winny - poradził oskarżyciel.

- Nie podoba mi się to słowo.

-Nie zapominaj o jednym. Będą cię filmować trzy kamery. Proces zostanie nadany na żywo. Jesteś reprezentantem wszystkich Amerykanów. Musisz zachowywać się godnie i spokojnie uznać fakt, że twój współudział w zabójstwie Petera Andersena...

- Andrejewicza...

- Andersena, doprowadził cię na próg śmierci, a teraz wszystko zależy od łaski sądu. Idę na lunch.

Zobaczymy się jeszcze wieczorem. I pamiętaj: żadnych przemówień. Żadnych kłopotów.

Jerry kiwnął głową. Nie warto się kłócić. Przez całe popołudnie ćwiczył koniugacje nieregularnych czasowników portugalskich. Żałował, że nie może cofnąć się w czasie i odwrócić tej chwili, kiedy zgodził się rozmawiać ze starcem, który odkrył mu plan zabójstwa Andrejewicza.

- Teraz muszę ci zaufać - powiedział wtedy starzec. - Temos que confiar no senhor americano. Kochacie wolność, ne?

Kochamy wolność? Kto jeszcze o tym wiedział? I czym jest wolność? Że wolno robić szmal? Rosjanie byli sprytni; wiedzieli, że jeśli pozwolą Amerykanom zarabiać, nikt się nie będzie przejmował, jakim językiem mówi rząd. Zresztą rząd i tak mówi po angielsku.

Propaganda, którą go karmili, wcale nie była zabawna. Była aż nazbyt prawdziwa. Stany Zjednoczone nigdy nie zaznały tak długiego okresu spokoju. Od czasów hossy po wojnie w Wietnamie, trzydzieści lat temu, gospodarka nigdy jeszcze nie znajdowała się w tak kwitującym stanie. Leniwi, potulni Amerykanie jak zwykle zajmowali się interesami, jakby zawsze marzyli o portretach Lenina na ścianach i na plakatach.

Niczym się od nich nie różniłem, przypomniał sobie. Wysłałem podanie o pracę razem z przysięgą wierności. Pokornie przyjąłem propozycję pracy gubernera u jakiegoś wysokiego działacza partii. Przez trzy lata, w Rio, uczyłem nawet jego przekłete dzieciaki.

Powinienem pisać sztuki.

Ale o czym mam pisać? Może komedie? Jankes i komisarz -śmieszna opowieść o kobiecie komisarzu, która wychodzi za mąż za Amerykanina błękitnej krwi, producenta maszyn do pisania. Oczywiście nie ma kobiet komisarzy, ale trzeba podtrzymywać iluzję równego i wolnego społeczeństwa.

- Bruce, kochanie - mówi komisarz z delikatnym, ale bardzo seksownym rosyjskim akcentem. - Twoja fabryka maszyn do pisania jest podejrzenie bliska uzyskania dochodu.

- A gdyby przynosiła straty, doniosłabyś na mnie, co, moja mała kluseczko?

(Wybuchy śmiechu Rosjan na widowni; Amerykanie nie są rozbawieni, ale w końcu płynnie mówią po angielsku i nie potrzebują takich prostych dowcipów. Zresztą partia i tak musi zaaprobować wszystkie recenzje, więc nie trzeba się martwić o krytyków. Niech Rosjanie się bawią i pieprzyć amerykańską widownię!)

Dialog trwa dalej:

- Wszystko dla dobra Matki Rosji.

- Pieprzyć Matkę Rosję.

- Zrób to koniecznie - mówi Natasza. - Możesz mnie uznać za jej wcielenie.

O, tak. Rosjanie uwielbiają seks na scenie. W Rosji jest oczywiście zakazany, ale przecież wiadomo, że Amerykanie są dekadentami.

Równie dobrze mógłbym projektować karuzele w Disneylandzie, myślał Jerry. Albo pisać teksty do wodewilu. Albo jeszcze lepiej: wsadzić głowę do piekarnika. Chociaż przy moim szczęściu pewnie byłby elektryczny.

Mógł zasnąć - nie był tego pewien. Ale drzwi otworzyły się, a on uniósł powieki, choć nie słyszał zbliżających się kroków. Cisza przed burzą... a teraz burza.

Żołnierze byli młodzi, ale to nie Słowianie. Posłuszni, choć byli Amerykanami. Niewolnicy Słowian. Można by to umieścić w jakimś wierszu, pomyślał, gdyby pozostał jeszcze ktoś, kto chce czytać polityczne wiersze.

Młodzi amerykańscy żołnierze (mają nieodpowiednie mundury; nie pamiętani już dawnych, ale te nie są szyte dla amerykańskich ciał) prowadzili go przez korytarze, po schodach, przez drzwi, aż w końcu znaleźli się na dworze i wsadzili go do opancerzonej furgonetki. Czy oni sobie wyobrażają, że należy do spisku i towarzysze przybędą mu na ratunek? Czy nie wiedzą, że człowiek w jego sytuacji nie ma już żadnych przyjaciół?

Jerry widział już coś takiego w Yale. Doktor Swick był człowiekiem lubianym, chyba najlepszym wykładowcą na wydziale. Potrafił najgorsze śmieci zmienić w sztukę, obsadzić fatalnych aktorów i sprawić, żeby dobrze wypadli, wpuścić apatyczną widownię i zmienić ich w ludzi pełnych entuzjazmu i nadziei. A potem, pewnego dnia, policja wpadła do jego domu i odkryła, że Swick wraz z czwórką aktorów wystawiali sztukę dla grupy najwyżej dwudziestu przyjaciół. Cóż to było... Kto się boi Virginii Woolf?, przypomniał sobie Jeny. Smutna sztuka, rozpaczliwa, ale ostra. Dowodząca, że rozpacz jest czymś paskudnym, niszczycielskim. Ukazująca kłamstwa jako samobójstwo. Krótko mówiąc, sztuka budziła w widzach uczucie, że, na Boga, coś jest nie tak z ich życiem, że spokój jest tylko iluzją, dobrobyt oszustwem, że ambicje Ameryki zostały wypalone i tak wiele zniknęło z tego, co dobre i dumne...

Jerry uświadomił sobie, że ma łzy w oczach. Żołnierze, siedzący z nim w opancerzonej furgonetce, odwracali głowy. Jerry wytarł oczy.

Gdy tylko rozeszła się wieść o aresztowaniu Swicka, nagle okazało się, że nikt go nie zna. Ktokolwiek miał jego listy, wiadomości od niego czy nawet notatki z wykładów z jego nazwiskiem, zniszczył je natychmiast. Nazwisko zniknęło z książki telefonicznej. Klasy, gdzie wykładał, świeciły pustką, ponieważ nikt nie przychodził. Nikt nawet nie liczył na zastępstwo, gdyż uniwersytet nie posiadał informacji, że w ogóle był taki wykład, a nawet taki profesor. Dom został sprzedany, żona się wyprowadziła i nikt nawet jej nie pożegnał. A potem, prawie rok później, w wiadomościach CBS (gdzie zawsze nadawano sprawozdania z oficjalnych procesów) pokazali dziesięć minut Swicka, który płakał i powtarzał:

- Ameryka nie zaznała niczego lepszego niż komunizm. Z mojej strony było to głupie i niedojrzałe pragnienie wykazania się i zakpienia z władz. Niczego nie planowałem. Myliłem się. Rząd okazał mi więcej łaski, niż na to zasłużyłem.

I tak dalej. Głupie słowa, ale Jerry patrzył całkowicie przekonany. Może sam tekst nie miał znaczenia, lecz twarz Swicka wyrażała skupienie; mówił szczerze.

Samochód zahamował i tylne drzwi otworzyły się właśnie w chwili, gdy Jerry przypomniał sobie, że spalił egzemplarz podręcznika dramaturgii Swicka. Spalił, ale najpierw przepisał wszystkie główne tezy. Nieważne, czy Swick o tym wiedział, czy nie, ale coś po sobie zostawił. A co ja zostawię? - zastanawiał się Jerry. Dwójkę rosyjskich dzieciaków, które pewnie teraz mówią już po angielsku, a których ojciec wyleciał w powietrze na ich oczach; jego krew zachlapała im twarze, ponieważ Jerry go nie uprzedził? Cóż za dziedzictwo.

Przez chwilę poczuł wstyd. Życie to życie, nieważne, czyje i jak przeżywane.

A potem przypomniał sobie tę noc, kiedy Peter Andrejewicz (nie, Anderson; ostatnio modne jest udawanie Amerykanina, pod warunkiem że naprawdę jest się Rosjaninem) wezwał go po pijanemu i jako pracodawca (tzn. właściciel) zażądał, żeby Jerry na przyjęciu odczytał gościom swoje wiersze. Jerry próbował się roześmiać, ale Peter nie był aż tak pijany; nalegał. Jerry wrócił więc na górę, przyniósł wiersze i czytał je grupie mężczyzn, którzy ich nie rozumieli, i grupie kobiet, które rozumiały i były tylko rozbawione.

Mały Andre powiedział potem:

- To były dobre wiersze, Jerry.

Ale Jerry czuł się jak dziewczyna, która została zgwałcona, a potem dostała od gwałciciela dwa dolary napiwku.

Rzeczywiście Peter dał mu premię, a Jerry ją wydał.

Charlie Ridge, adwokat Jerry'ego, czekał na niego tuż za progiem sądu.

- Jerry, chłopie, nieźle sobie dajesz radę. W ogóle nie straciłeś na wadze.

- Na diecie z czystego krochmalu musiałbym cały dzień biegać dookoła celi, żeby zachować linię.

Śmiech. Cha, cha. Ależ się świetnie bawimy. Ależ jesteśmy jowialni.

- Posłuchaj, Jerry. Musisz to zrobić jak należy. Sam wiesz. Oni mierzą reakcję widowni i potrafią ocenić, w jakim stopniu jesteś szczerzy. Musisz mówić z przekonaniem.

- Czy dawniej adwokaci nie próbowali walczyć o swoich klientów? - spytał Jerry.

- Takie podejście do niczego cię nie doprowadzi. Nie żyjemy w dawnych dobrych czasach, kiedy mogli człowieka uniewinnić z powodu jakiegoś formalnego uchybienia, a dobry prawnik potrafił odkładać proces przez pięć lat. Jesteś winny jak diabli, lecz jeśli będziesz współpracował, nic ci nie zrobią. Po prostu cię deportują.

- Niezły z ciebie kumpel - odparł Jerry. - Kiedy stoisz po mojej stronie, to naprawdę nie mam się o

co martwić.

- Słusznie - powiedział Charlie. - I nie zapominaj o tym.

W sali sądowej stały kamery. (Jerry słyszał, że za dawnych czasów wolnej prasy często usuwano kamery z sali sądowej. Ale wtedy oskarżony zwykle się nie przyznawał i prawnicy z obu stron nie mogli realizować tego samego scenariusza. Mimo wszystko została jeszcze prasa i dziennikarze wyglądali tak, jakby wierzyli, że są wolni.)

Przez prawie pół godziny Jeny nie miał nic do roboty. Widownia (ciekawe, czy im płacą, zastanawiał się Jeny; w Ameryce na pewno) zajęła miejsca i przedstawienie zaczęło się dokładnie o ósmej. Wszedł sędzia; wyglądał imponująco w swojej todze, głos miał dźwięczny i silny, jak ojciec w serialu, upominający zbuntowanego syna. Ktokolwiek przemawiał, zwracał się do kamery, nad którą płonęło czerwone światelko. Jeny był zmęczony.

Wciąż był zdecydowany wykorzystać ten proces dla swoich celów, ale zastanawiał się, co mu z tego przyjdzie. Czy rzeczywiście zrealizuje jakieś cele? Z pewnością ukarzą go bardziej surowo. Z pewnością się rozłoszczą i odetną mu mikrofon. Ale przygotował swoją mowę; byłaby to pełna pasji scena finałowa jakiejś sztuki ("Crove przeciwko komunistom", a może "Ostatni krzyk wolności"), a on był bohaterem, który z radością oddaje życie za możliwość wzbudzenia odrobiny patriotyzmu (odrobiny inteligencji, do diabła z patriotyzmem!) w sercach i umysłach milionów Amerykanów przed telewizorami.

- Geraldzie Nathanie Crove, wysłuchałeś postawionych ci zarzutów. Wystąp i powiedz, czy przyznajesz się do winy.

Jeny wstał i przeszedł - miał nadzieję, że z godnością - by zatrzymać się na X z taśmy przyklejonej do podłogi, gdzie kazał mu stanąć oskarżyciel. Spojrzał na kamerę z czerwonym światelkiem. Patrzył na nią w skupieniu, szczerze i zastanawiał się, czy jednak nie lepiej będzie powiedzieć nolo contendere, a nawet "Jestem winny" i mieć to już za sobą.

- Panie Crove - zaintonował sędzia. - Ameryka patrzy. Czy przyznaje się pan do winy?

Ameryka rzeczywiście patrzyła. A Jeny otworzył usta i przemówił nie po łacinie, lecz po angielsku, słowami, które tak często wygłaszał w myślach:

- Jest właściwy czas na odwagę i czas na tchórzostwo, czas, kiedy człowiek może się poddać tym, którzy proponują mu wyrozumiałość, i czas, kiedy musi się opierać dla osiągnięcia wyższych celów. Ameryka była kiedyś wolnym narodem, ale dopóki oni płacą nam pensje, jesteśmy chyba zadowoleni, że zrobili z nas niewolników! Nie przyznaję się do winy, gdyż każde działanie, które pozwala osłabić rosyjską dominację nad dowolnym narodem na świecie, jest ciosem wymierzonym w imieniu wszystkiego, co czyni życie wartym przeżywania, przeciwko tym, dla których siła jest jedynym bogiem!

Aha, elokwencja. Kiedy to układał, nie sądził, że dojdzie tak daleko, a mimo to jakoś mu nie przerywali. Odwrócił się do kamery, spojrzął na oskarżyciela, który notował coś na żółtej kartce.

Spojrzał na Charliego. Adwokat z rezygnacją kręcił głową i chował papiery do teczki. Nikt się specjalnie nie martwił, że Jeny mówił to wszystko w telewizji. A przekazy były na żywo - wielokrotnie podkreślali, że muszą zrobić wszystko jak należy za pierwszym razem, gdyż transmisja idzie na żywo.

Kłamali, oczywiście. Jerry urwał przemowę i wbił ręce w kieszenie tylko po to, by odkryć, że garnitur, który mu dali, nie ma kieszeni (oszczędzaj pieniądze, unikając rzeczy nieważnych, mówił slogan reklamowy) i dłonie zsunęły się bezsensownie po udach.

Oskarżyciel spojrzał zdziwiony, kiedy sędzia chrząknął znacząco.

- Przepraszam bardzo - powiedział. - Przemowy trwają zwykle o wiele dłużej. Gratuluję panu, panie Crove, tej zwięzłości.

Jeny skinął głową z drwiącym podziękowaniem, ale nie było mu wesoło,

- Zawsze przeprowadzamy próbę - powiedział oskarżyciel -aby wyłapać wszystkich, którzy liczą na ostatnią szansę.

- Wszyscy o tym wiedzieli?

- Wszyscy oprócz pana, oczywiście. No dobrze, możecie już iść do domu.

Widzowie wstali i spokojnie wyszli.

Oskarżyciel i Charlie podeszli do stołu. Sędzia oparł podbródek na dłoni; nie zachowywał się już po ojcowsku, był tylko trochę znudzony.

- Ile pan żąda? - zapytał.

- Nieograniczony - odparł oskarżyciel.

- Naprawdę jest taki ważny?

Równie dobrze Jeny'ego mogło tu nie być.

- W Brazylii likwidują prawdziwych zamachowców.

- Pan Crove jest Amerykaninem - przypomniał oskarżyciel -który pozwolił na zabójstwo rosyjskiego ambasadora.

- Dobrze, dobrze - mruknął sędzia, a Jerry zdziwił się, że nie miał śladu rosyjskiego akcentu.

- Geraldzie Nathanie Grove, sąd uznaje pana za winnego morderstwa i zdrady Stanów Zjednoczonych Ameryki i jej sprzymierzeńca, Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Ma pan coś do powiedzenia, zanim ogłoszę wyrok?

- Zastanawiam się tylko - powiedział Jeny - dlaczego wszyscy mówicie po angielsku.

- Ponieważ - odparł lodowatym tonem oskarżyciel - jesteśmy w Ameryce.

- Dlaczego w ogóle robicie sobie kłopot z procesami?

- Żeby powstrzymać innych debili od tego, co ty zrobiłeś, tylko chce się kłócić, Wysoki Sądzie.

Sędzia uderzył młotkiem.

- Sąd skazuje Geralda Nathana Crove na śmierć każdym dostępnym sposobem, do chwili, kiedy przekonująco przeprosi lud amerykański za swoje działanie. Rozprawa zakończona. O Boże, ależ mnie boli głowa.

Nie marnowali czasu. Pewnie go obserwowali, ponieważ o piątej rano, ledwie Jeny zdążył zasnąć, natychmiast go obudzili ostrym wstrząsem elektrycznym poprzez metalową podłogę, na której leżał. Dwóch strażników - tym razem Rosjan - wkroczyło, rozebrało go i powlokło za sobą do komory śmierci, chociaż gdyby mu tylko pozwolili, mógłby sam pójść.

Oskarżyciel już czekał.

- Przydzielono mnie do pańskiej sprawy - powiedział - ponieważ wygląda na to, że będzie pan sporym wyzwaniem. Ma pan bardzo ciekawy profil psychologiczny, panie Crove. Chciałby pan zostać bohaterem.

- Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

- Wykazał pan to w sali sądowej. Z pewnością wie pan, zresztą sugeruje to pańskie drugie imię, jak brzmiały ostatnie słowa jednego ze szpiegów podczas rewolucji amerykańskiej, niejakiego Nathana Hole'a. Powiedział: "Żałuję, że mam tylko jedno życie, by oddać je dla mojego kraju". Odkryje pan, jak bardzo się mylił. Powinien się cieszyć, że ma tylko jedno życie.

Zaczerpnął tchu.

- Ponieważ aresztowaliśmy pana kilka tygodni temu w Rio de Janeiro, zdążyliśmy już wyhodować całą serię pańskich klonów. Przyspieszyliśmy ich rozwój, ale do dzisiaj przebywały w środowisku bezwrażliwym. Ich umysły są całkiem czyste. Słyszał pan z pewnością o somecu, panie Crove?

Jeny kiwnął głową. Środek usypiający ze statków kosmicznych.

- W rym przypadku nie jest nam, oczywiście, potrzebny, panie Crove. Ale metoda rejestracji zawartości umysłu, której używano

w lotach międzygwiazdnych, okazała się bardzo użyteczna. Podczas egzekucji będziemy cały czas rejestrować stan pańskiego mózgu. Wszystkie pańskie wspomnienia zostaną dość bezceremonialnie wtłoczone w głowę pierwszego klona, który natychmiast stanie się panem. Będzie jednak doskonale pamiętał całe pańskie życie, łącznie z chwilą śmierci.



Przerwał, czekając, aż sens jego słów dotrze do Jerry'ego. - W dawnych czasach łatwo było zostać bohaterem, panie Crove. Wtedy nie wiedziało się na pewno, czym jest śmierć. Czy jest wielkim snem, wielkim cierpieniem emocjonalnym, szybkim opuszczeniem ciała przez duszę... Żadna z tych możliwości nie jest przesadnie dokładna.

Jeny był przerażony. Oczywiście, słyszał już kiedyś o wielokrotnej śmierci - podobno istniała ze względu na swe odstrasające działanie. "Ożywiają cię i zabijają znowu, i znowu", jak wyczytał w jakimś opowiadaniu grozy. Teraz wiedział, że jest prawdziwe. A przynajmniej chcieli, by w to wierzył.

Był przerażonym rodzajem śmierci, jaki dla niego wybrali: z haka w suficie zwisała pętla. Można było ją wciągać i opuszczać, ale nie było ani śladu zapadni i szansy na szybki, gwałtowny upadek i skręcenie karku. Jeny kiedyś niemal udławił się ością. Wrażenie niemożności oddychania budziło w nim lęk.

- Jak mogę tego uniknąć? - spytał. Dłonie miał mokre od potu.

- Pierwszego razu w żaden sposób - odparł oskarżyciel. - Więc równie dobrze może być pan dzielny i przy tej okazji okazał swój heroizm. Potem zrobimy panu próbne zdjęcia i zobaczymy, jak bardzo przekonująca będzie pańska skrucha. Wie pan, jesteśmy sprawiedliwi, staramy się nie robić takich rzeczy niepotrzebnie. Proszę usiąść.

Jeny usiadł. Mężczyzna w białym fartuchu założył mu na głowę metalowy hełm. Kilka igieł ukłuło go w czaszkę.

- Pański pierwszy klon właśnie uzyskuje świadomość - poinformował oskarżyciel. - Ma już wszystkie pańskie wspomnienia. W tej chwili przeżywa pańską panikę, czy też raczej pańskie próby odwagi. Niech pan się skoncentruje na tym, co się za chwilę stanie. Będzie pan chciał pamiętać każdy szczegół.

- Proszę - odezwał się Jeny.

- Odwagi, młody człowieku. - Oskarżyciel uśmiechnął się lekko. - W sądzie byłeś znakomity. Okaż teraz nieco tego szlachetnego oporu.

Strażnicy podprowadzili go do pętli i założyli mu ją na szyję -ostrożnie, żeby nie przesunąć hełmu. Zacisnęli mocno i związali mu ręce na plecach. Szorstki sznur łaskotał w szyję. Jeny czekał, aż uniosą go w powietrze. Napinał mięśnie szyi i starał się je usztywnić, chociaż wiedział, że to na nic. Kolana się pod nim uginały. Wciąż czekał, aż pociągną za linę.

Pokój był zwyczajny. Nie miał na czym zatrzymać wzroku, a oskarżyciel wyszedł. W ścianie naprzeciw umieszczono lustro. Ledwie mógł na nie spojrzeć bez odwracania całego ciała. Był pewien, że to okno obserwacyjne. Oczywiście, że będą patrzeć. Miał ochotę iść do łazienki.

Pamiętaj, powtarzał sobie. Naprawdę nie umrzesz. Za chwilę obudzisz się w innym pokoju. Ale ciało nie było przekonane. Nie miało dlań znaczenia, że kiedy to wszystko się skończy, jakiś Jerry Crove

wstanie i odejście. Ten Jerry Crove na pewno zginie.

- Na co czekacie? - zapytał, i jakby to był sygnał, strażnicy pociągnęli linę i unieśli go w powietrze.

Od samego początku było gorzej, niż przypuszczał. Sznur straszliwie mocno zaciskał szyję; nie było mowy, żeby mu się opierać. Z początku nie odczuwał mocno braku powietrza - przypominało to nurkowanie ze wstrzymanym oddechem. Ale sam sznur sprawiał ból, uciskał szyję tak, że Jerry chciał krzyknąć z bólu, ale głos nie mógł się przebić przez gardło.

Przynajmniej na początku.

Czuł jakieś szarpnięcia liny, podskakiwał w górę i w dół, kiedy strażnicy przywiązywali ją do haka w ścianie. Raz nawet dotknął stopami ziemi.

Zanim jednak znieruchomiał, skutki duszenia były coraz silniejsze i zapomniał o bólu. Krew dudniła mu w głowie. Czuł obrzmiewający język. Nie potrafił zamknąć oczu. Marzył o oddechu... Musiał odetchnąć... Ciało żądało powietrza.

Nie panował już nad nim. Wiedział przecież, że nie potrafi sięgnąć podłogi, wiedział, że śmierć będzie tylko chwilowa, ale teraz nie miał żadnego wpływu na mięśnie. Kopał nogami i walczył, by dosięgnąć ziemi. Ręce napinały więzy. Od tych wysiłków tylko bardziej wytrzeszczał oczy, wypychane ciśnieniem krwi nie mogącej przepłynąć przez pętlę. Ale tylko coraz bardziej łaknął powietrza.

Nie było dla niego ratunku, lecz starał się wołać o pomoc. Dźwięk przebił się przez krtań, ale kosztem powietrza. Miał wrażenie, że coś wpycha mu język do nosa. Kopał coraz gwałtowniej, choć każdy ruch przyspieszał agonię. Obracał się na linie, aż zobaczył siebie w lustrze. Twarz miał fioletową.

Ile to jeszcze potrwa? Z pewnością już niedługo! Ale trwało długo.

Gdyby znalazł się pod wodą i wstrzymywał oddech, na pewno już by zrezygnował i utonął.

Gdyby miał pistolet i wolną rękę, zabiłby się natychmiast, by skończyć z cierpieniem i zwykłym fizycznym przerażeniem przed brakiem tchu. Ale nie miał pistoletu, nie mógł nabrać powietrza, krew dudniła mu w głowie, a oczy widziały wszystko w odcieniach czerwieni. Aż wreszcie nie widział już nic.

Nic, oprócz tego, co działo się w jego umyśle, a był tam chaos, jak gdyby świadomość szaleńczo starała się znaleźć jakiś sposób wyjścia z tej sytuacji. Ciągle widział siebie w strumyku za domkiem, do którego wpadł jako dziecko; ktoś rzucał mu linę, ale nie mógł, nie potrafił jej złapać. I nagle ta lina owinęła się wokół jego szyi i wciągnęła go pod wodę.

Czarne płatki kłuły w oczy. Ciało obrzmiało, a potem wybuchło; jelita, pęcherz i żołądek wyrzuciły całą zawartość, tyle że wymioty stanęły w gardle i parzyły.

Drżenia ciała zmieniły się w konwulsyjne szarpnięcia i spazmy. Przez moment Jerry czuł, że osiąga

tak oczekiwany stan nieświadomości. A potem nagle odkrył, że śmierć nie jest takim dobrodziejstwem.

Nie istnieje coś takiego, jak spokojne odejście we śnie, nic takiego, jak natychmiastowa śmierć czy też śmierć łaskawie kończąca ból.

Śmierć zbudziła go z nieświadomości -być może na czas jednej dziesiątej sekundy, ale ta jedna dziesiąta sekundy rozciągnęła się w wieczność. W jej trwaniu doświadczył nieskończonej agonii zbliżającego się nieistnienia. Życie nie przemknęło mu przed oczami, natomiast brak życia eksplodował i Jerry doświadczył w duchu bólu i strachu większego niż wszystko, co przyniosło powieszenie.

A potem umarł.

Przez chwilę zawisł w przedpieklu: nie czuł i nie widział niczego. Później w oczy zakłuło światło i zdarto mu ze skóry cienką piankę. Oskarżyciel stał przed nim i patrzył, jak dyszy, próbuje wymiotować i chwyta się za gardło. Sama możliwość oddechu wydawała się nieprawdopodobna. Gdyby miał za sobą tylko duszenie, mógłby teraz odetchnąć z ulgą i powiedzieć: przeżyłem to raz i już nie boję się śmierci. Ale duszenie to nic, duszenie było tylko preludium. I nadal bał się śmierci.

Zmusili go, by wszedł do pokoju, gdzie umarł. Zobaczył swoje ciało o poczerniałej twarzy, zwisające z sufitu, wciąż z hełmem na głowie i wysuniętym językiem.

- Odetnij to - polecił oskarżyciel.

Przez chwilę Jerry czekał, aż któryś z żołnierzy usłucha rozkazu. Ale oni tylko wręczyli mu nóż.

Wciąż pamiętając swoją śmierć, Jerry odwrócił się i zaatakował oskarżyciela, jednak strażnik chwycił go mocno za rękę, a drugi przyłożył pistolet do głowy.

- Chcesz tak szybko umrzeć znowu? - spytał oskarżyciel. Jerry jęknął, ujął nóż i spróbował odciąć siebie z liny. Musiał stanąć na palcach, żeby sięgnąć powyżej węzła. Musiał stanąć tak blisko ciała, że go dotykał. Smród był nie do wytrzymania. I fakt, że śmierć była nieunikniona. Jerry cały drżał i z trudem panował nad rękami, lecz w końcu odciął linę i zwłoki spadły na ziemię, powalając go. Ramię upadło mu na nogi, a twarz spojrzała mu prosto w oczy.

Jerry krzyknął.

- Widzisz kamerę? Skinął głową w otępieniu.

- Spojrzysz w obiektyw i przeprosisz za wszystko, co zrobiłeś przeciwko rządowi, który zaprowadził pokój na świecie.

Jerry kiwnął głową, a prokurator rzucił: - Mów.

- Drodzy Amerykanie - zaczął Jerry. - Bardzo mi przykro. Popełniłem straszliwy błąd. Myliłem się. Nie mam nic przeciwko Rosjanom. Pozwoliłem, żeby zginął niewinny człowiek. Wybaczcie mi. Rząd

był dla mnie bardziej łaskawy, niż na to zasługuję.

I tak dalej. Jerry paplał przez całą godzinę, tłumacząc, że był podły, że jest winny, że jest zupełnie bezwartościowym człowiekiem, a rząd tylko Bogu ustępuje dobrocią.

A kiedy skończył, wrócił oskarżyciel i pokręcił głową.

- Panie Crove, na pewno potrafi pan to zrobić lepiej. Żaden z widzów nawet przez moment panu nie uwierzył. Nikt z próbnej widowni, nawet jedna osoba nie uznała, że mówi pan szczerze. Nadal pan uważa, że ten rząd należy obalić. Musimy więc powtórzyć kurację.

- Może spróbuję wyznać to jeszcze raz.

- Zdjęcia próbne to zdjęcia próbne, panie Crove. Musimy lepiej zaznajomić pana ze śmiercią, zanim pozwolimy panu zaangażować się w życie.

Tym razem Jeny wrzeszczał od samego początku. Nawet nie próbował udawać odważnego. Obwiązali go pod pachami i zawiesili nad długim cylindrem pełnym wrzącego oleju. Opuszczali powoli. Śmierć nadeszła, gdy olej sięgał mu do piersi. Do tego czasu nogi miał już całkiem ugotowane, a mięso dużymi kawałkami odchodziło od kości.

Potem kazali mu wrócić, i kiedy olej był już dostatecznie chłodny, wyłowić wszystkie kawałki własnego ciała.

Tym razem szlochał, wyznając swe winy, lecz próbna widownia pozostała nieprzekonana.

- Ten facet oszukuje - mówili. - Nie wierzy w ani jedno swoje słowo.

- Mamy problem - wyznał oskarżyciel. - Po śmierci wydaje się pan chętny do współpracy, ale ma pan pewne opory. Nie mówi pan z głębi serca. Musimy jeszcze raz panu pomóc.

Jerry wrzasnął i rzucił się na oskarżyciela. Kiedy strażnicy go odciągnęli, a oskarżyciel rozcierał rozbity nos, Jerry krzyczał:

- Oczywiście, że kłamię! Choćbyście zabili mnie nie wiem ile razy, nie zmieni to faktu, że ten rząd włada głupcami, a składa się ze zbrodniczych i kłamliwych drani!

- Wręcz przeciwnie - odparł oskarżyciel, starając się zachować dobre maniery i uprzejmy wyraz twarzy mimo ściekającej mu z nosa krwi. - Jeśli zabijemy pana dostateczną ilość razy, całkowicie zmieni pan zdanie.

- Nie zmienicie prawdy!

- Zmieniliśmy ją dla każdego, kto przez to przeszedł. A nie jest pan pierwszym, który dotarł do trzeciego klona. Ale tym razem, panie Crove, niech pan nie zapomina o bohaterstwie.

Obdarli go żywcem ze skóry, zaczynając od rąk i nóg, wykastrowali go, a potem zdarli skórę z

brzucha oraz piersi. Umarł w milczeniu, kiedy rozcięli mu krtań. Nie, nie w milczeniu, tyle że bez głosu. Odkrył, że nawet bez głosu może szeptem wydawać krzyk, który dzwonił mu w uszach, kiedy się zbudził i musiał przenieść swe pokrwawione zwłoki do składnicy odpadków. Raz jeszcze wyznał swoje winy, lecz widownia nie była przekonana.

Powoli rozgnietli go na miazgą, a kiedy się zbudził, musiał zeskrobać krew z tłoka, ale widownia stwierdziła tylko: kogo ten czubek chce oszukać?

Wypruli mu flaki i spalili na jego oczach. Zarazili go wścieklizną i pozwolili, by umierał przez dwa tygodnie. Ukrzyżowali go i odczekali, aż zginie z wycieńczenia i pragnienia. Dwanaście razy zrzucili go z dachu jednopiętrowego budynku, dopóki nie umarł.

A jednak widownia wiedziała, że Jeny Crove nie żałuje za swoje winy.

- Wielki Boże, Crove, myśli pan, że jak długo jeszcze to wytrzymam? - zapytał oskarżyciel.

Nie wydawał się już wesoły. Jerry pomyślał, że wygląda na zrozpaczonego.

- Robi się to dla pana kłopotliwe? - zapytał, wdzięczny za tę rozmowę, gdyż oznaczała, że ma jeszcze kilka minut do następnej śmierci.

- Za jakiego człowieka mnie pan uważa? Powtarzam sobie: i tak za chwilę przywrócimy go do życia, ale nie po to zająłem się tą pracą, żeby wymyślać nowe ohydne sposoby mordowania ludzi.

- Nie podoba się to panu? A przecież ma pan taki naturalny talent.

Oskarżyciel spojrzał ostro.

- Czyżby ironia? Potrafi pan jeszcze żartować? Czy śmierć nic dla pana nie znaczy?

Jerry zamrugał tylko, próbując powstrzymać łzy, które ostatnio co kilka minut nieproszone napływały mu do oczu.

- Crove, to sporo kosztuje. Myśli pan, że to wszystko jest tanie? Wydaliśmy na pana dokładnie miliardy rubli. To masa pieniędzy, nawet uwzględniając inflację.

- W bezklasowym społeczeństwie pieniądze nie są potrzebne.

- Co to ma znaczyć, do cholery? Teraz próbuje się pan buntować? Teraz próbuje pan być bohaterem?

- Nie.

- Nic dziwnego, że musieliśmy pana zabić osiem razy! Ciągłe wymyśla pan chytne argumenty przeciwko nam!

- Przykro mi. Bóg świadkiem, że mi przykro.

- Poprosiłem, żeby zwolnili mnie z tego zadania. Najwyraźniej nie potrafię pana złamać.

- Złamać mnie! Tak jakbym sam nie marzył, żeby się złamać.

- Zbyt wiele nas pan kosztuje. Skłanianie przestępców, żeby przekonująco kajali się w telewizji, przynosi wyraźne zyski. Ale pan staje się zbyt drogi. Stosunek kosztów do zysków już jest śmieszny. Jest pewna granica sumy, jaką możemy na pana wydać.

- Znam sposób, żebyście zaoszczędzili pieniądze.

- Ja też. Proszę przekonać tę przekłętą publiczność!

- Kiedy następnym razem mnie zabijecie, nie zakładajcie mi hełmu.

Oskarżyciel wydawał się zaszokowany.

- To by była kara główna. Jesteśmy humanitarnym rządem. Nikogo nie zabijamy na stałe.

Strzelili mu w brzuch i pozwolili wykrwawić się na śmierć. Zrzucili go ze skały do morza. Pozwolili, żeby rekin zjadł go żywcem. Powiesili go za nogi tak, że głowę miał tuż pod wodą. Kiedy w końcu się zmęczył, trzymając ją nad powierzchnią, utonął.

Ale przy tym wszystkim Jerry coraz bardziej przyzwyczajał się do cierpienia. Umysł nauczył się w końcu, że żaden z tych zgonów nie jest trwały. Teraz, kiedy nadchodziła chwila śmierci, to choć nadal była straszna, znosił ją lepiej. Mniej krzyczał, spokojniej do tego podchodził. Przyspieszał nawet cały proces, świadomie wciągając do płuc wielkie porcje wody, świadomie machając rękami, by zwabić rekina. Kiedy kazali strażnikom skopać go na śmierć, wrzeszczał "mocniej", dopóki nie stracił głosu.

Kiedy wreszcie zarządzili próbne zdjęcia, gorączkowo tłumaczył widowni, że rosyjski rząd to najstraszniejsze imperium, jakie znał świat, ponieważ tym razem na zewnątrz nie pozostało już żadne miejsce, z którego mogliby przyjść barbarzyńcy, i ponieważ omamili najbardziej wolny naród w historii i przekonali go, żeby pokochał niewolę. Mówił z głębi serca - nienawidził Rosjan i kochał pamięć o tym, że kiedyś w Ameryce panowały wolność, prawo i sprawiedliwość.

Oskarżyciel wszedł do pokoju poszarzały na twarzy.

- Ty draniu - powiedział.

- Aha. Czy to znaczy, że tym razem przekaz był na żywo?

- Dla stu lojalnych obywateli. A ty zdemoralizowałeś ich wszystkich z wyjątkiem trzech.

- Zdemoralizowałem?

- Przekonałeś ich.

Po chwili milczenia oskarżyciel usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

- Straci pan pracę? - spytał Jeny.

- Oczywiście.

- Przykro mi. Był pan w tym dobry. Oskarżyciel spojrzał na niego z nienawiścią.

- Nikt jeszcze nigdy dotąd nie zawiódł przy takim zleceniu. I nigdy nie musiałem nikogo prowadzić dalej niż do drugiej śmierci. Pan zginął dwanaście razy, Crove, i już się pan przyzwyczał.

- Nie chciałem tego.

- Jak pan to robi?

- Nie wiem.

- Co z pana za zwierzę, Crove? Nie potrafi pan wymyślić kłamstwa i w nie uwierzyć?

Crove zachichotał. (Za dawnych czasów na tym poziomie rozbawienia zaryczałby ze śmiechu. Ale przyzwyczajony do śmierci czy nie, miał blizny. Już nigdy głośno się nie roześmieje.)

- To była moja praca jako dramatopisarza. Świadome zawieszenie niewiary.

Drzwi otworzyły się i wszedł ważny z wyglądu mężczyzna w obwieszonym medalami wojskowym mundurze, a zanim czterech rosyjskich żołnierzy. Oskarżyciel westchnął i wstał.

- Żegnaj, Crove.

- Do widzenia - odparł Jerry.

- Jest pan bardzo silnym człowiekiem.

- Pan również. Oskarżyciel wyszedł.

Żołnierze zabrali Jerry'ego z więzienia w całkiem inne miejsce. Do dużego kompleksu budynków na Florydzie. Cape Canaveral. Skazali go na wygnanie, uświadomił sobie Jerry.

- Jak tam jest? - zapytał technika, który przygotowywał go do lotu.

- A kto to wie? - odparł tamten. - Nikt jeszcze nie wrócił. Do diabła, nikt nawet nie dotarł na miejsce.

- Kiedy zasnę na somecu, czy nie będę miał kłopotów z przebudzeniem?

- W laboratoriach, tutaj na Ziemi, nie. Ale tam... Kto może wiedzieć?

- Ale myśli pan, że przeżyjemy?



- Wysyłają was na planety, które wyglądają na zdatne do zamieszkania. Jeśli nie, to trudno. Najgorsze, co może wam się zdarzyć, to że zginiecie.

- Tylko tyle? - mruknął Jerry.

- Proszę się położyć, a ja zapiszę stan pańskiego mózgu. Jerry położył się i hełm raz jeszcze zarejestrował jego myśli.

Nie można się od tego powstrzymać, uświadomił sobie Jerry. Kiedy człowiek wie, że jego myśli są nagrywane, nie może się nie starać, by pomyśleć o czymś ważnym. Jakby występował na scenie. Tyle że widownia składa się tylko z jednej osoby. Jego samego, kiedy się obudzi.

A myślał tak: pasażerowie tego kosmolotu i innych, które zostały czy zostaną wysłane, aby kolonizować więzienne światy, nie są tymi, za kogo uważają ich Rosjanie. To prawda, więźniowie wysłani na gułagowych statkach będą lecieli całe wieki, zanim wylądują. Wielu, może nawet większość, nie przeżyje. Ale niektórym się uda.

Mnie się uda, myślał Jerry, gdy hełm odczytywał wzorce jego mózgu i przekazywał je na taśmę.

Gdzieś tam Rosjanie tworzą własnych barbarzyńców. Ja będę Hunem Attyłą. Moje dziecko będzie Mahometem, a wnuk Dżyngis-chanem.

Pewnego dnia jeden z nas spali Rzym.

Kiedy wstrzyknęli mu somec, który ogarnął go wielką falą i zabrał mu świadomość, Jerry zdumiony zrozumiał, że to także jest śmierć, ale śmierć oczekiwana. Nie przeszkadzała mu. Ponieważ, kiedy tym razem się obudzi, będzie wolny.

Nucił wesoło, dopóki pamiętał, jak się nuci. A potem jego ciało z setką innych ułożyli na statku i wypchnęli w kosmos, gdzie mieli nieskończenie spadać w górę, do gwiazd. Do domu.

## 2. KLAŚNIJ I ZAŚPIEWAJ

Na ekranie jakiś kaleka krzyczał do kobiety, przekonując ją, że nie powinna uciekać. Wymachiwał certyfikatem:

- Jestem zarejestrowanym gwałcicielem, do diabła! - wołał, -Nie uciekaj tak szybko! Musisz uwzględnić prawa niepełnosprawnych.

Biegł za nią, dziwacznie kulejąc na lewą nogę. Gigantyczna proteza fallusa kołysała się wariacko, niczym uszkodzone śmigło, która jakoś nie potrafi zastartować. Widownia śmiała się obłąkańczo. Cóż za zabawna, śmieszna scena!

Stary Charlie siedział przygarbiony w fotelu i czuł się tak przypadkowy i niewzruszony jak pozostałość lodowca. Jestem tu przypadkiem, ale nigdy się nie poruszam. Nie wyłączał telewizora. Widownia znowu wybuchnęła śmiechem. Nagrane czy na żywo? Po osiemdziesięciu latach oglądania telewizji Charlie nie umiał już tego odgadnąć. To nie znaczy, że nagrany śmiech stał się bardziej rzeczywisty: to raczej prawdziwy śmiech zmienił się w taki blaszany i sztuczny. Jak gdyby był nastawiony, żeby wybuchnąć akurat teraz, nieważne, co się stanie, a biedni aktorzy starają się, żeby wykonać swoje gagi w odpowiedniej chwili, ale zawsze robią to odrobinę za wcześnie lub za późno.

- Już późno - powiedział telewizor.

Charlie ocknął się, lekko zdziwiony, że program się zmienił. Teraz była to demonstracja wygodnej elektrycznej pompki do piersi, pozwalającej magazynować mleko matki na chwilę, kiedy nie może być przy dziecku.

- Już późno.

- Cześć, Jock - mruknął Charlie.

- Nie zasypiaj znowu przed telewizorem, Charlie.

- Daj mi spokój, świntuchu - odparł Charlie. A potem dodał: -No dobrze, wyłącz go.

Nie skończył jeszcze zdania, gdy ekran telewizora zamigotał, pobiełał, a potem pojawiła się na nim stała wiosenna scena, która oznaczała "wyłączony". Ale w tym migotaniu Charlie miał wrażenie, że dostrzega... kogo? Imię? Z dalekiej przeszłości. Dziewczynę. Zanim przypomniał sobie jej imię, nadeszło wspomnienie: mała dłoń, spoczywająca lekko na jego kolanie, kiedy siedzieli obok siebie - tak lekka, jak długonogi komar na wodzie. We wspomnieniu nie odwrócił się, by na nią spojrzeć, rozmawiał z kimś innym. Ale wiedział dokładnie, gdzie by się znajdowała, gdyby spojrzął. Drobna, z mysimi włosami, jej twarz jednak zawsze należała do małej Juliet. Nie Juliet, nie tak miała na imię,

choć we wspomnieniach była w jej wieku. Ja jestem Charlie, pomyślał. A ona to Rachel.

Rachel Carpenter. Do niej należała twarz, którą w migotaniu ekranu przywołał przypadkowy rozbłysk światła. Dlatego przypomniał sobie Rachel, kiedy podnosił z fotela podstarzałe ciało; myślał o Rachel, kiedy ściągał ubranie z kruchego szkieletu, delikatnie, żeby jakiś gwałtowny ruch nie zdarł pomarszczonej skóry niczym celofanu.

A Jock, który oczywiście nie wyłączył się razem z telewizorem, wyrecytował:

- Człek stary marną jest istotą, niczym na wieszaku płaszcz z wytartej wełny.
- Zamknij się - rozkazał Charlie.
- Chyba że dusza kłaśnie.
- Powiedziałem, zamknij się!
- I zaśpiewa, zaśpiewa z ochotą dla każdej fałdy i zmarszczki na szacie śmiertelnej.
- Skończyłeś? - spytał Charlie.

Wiedział, że Jock skończył, w końcu sam go zaprogramował, żeby co wieczór recytował ten właśnie fragment, w chwili gdy jego szorty opadają na podłogę.

Stał nagi na środku pokoju i wspominał Rachel, o której nie myślał od lat. Na tym polegała sztuczka starości: że ten pokój tak łatwo zniknął, a na jego miejscu pojawiały się wspomnienia. Zrobiłem majątek na maszynach czasu, pomyślał. A teraz odkrywam, każdy stary człowiek sam jest taką maszyną.

Stał nagi. Nie, to tylko ułuda pamięci, która czasem wyczynia takie sztuczki. Nie był nagi. Tylko czuł się tak, gdy Rachel siedziała obok niego w samochodzie. Jej głos - niemal zapomniał, jak brzmi - był delikatny. Nawet kiedy krzyczała, stawał się bardziej szeleszczący. Więc kiedy krzyknęła, głos był jak wiatr: nie słyszał go, czuł tylko chłód na nagiej skórze. Tym głosem mówiła teraz: kochałam cię, kiedy miałam dwanaście lat, i kiedy miałam trzynaście, i czternaście. Ale kiedy wróciłeś z tej swojej zabawy w Boga w Sao Paulo, nie zadzwoniłeś do mnie. Wszystkie te listy, a potem milczenie przez trzy miesiące. Pomyślałeś, wiedziałam o tym, że byłam tylko dzieckiem i zakochałam się w... Imię? Zapomniane imię. Zakochałam się w jakimś chłopcu. Od tego czasu traktowałeś mnie jak... Jak? Nie, nigdy nie powiedziała "smarkule", nie tym głosem. Trzeba usunąć trochę gniewu... teraz dobrze. Oto słowa: Mogłeś mnie mieć, Charlie, ale teraz wszystko, do czego jesteś zdolny, to sprawić, żebym cierpiała. Jest za późno, czas się skończył, więc przestań mnie krytykować. Zostaw mnie samą.

Od początku do końca, wszystko w jednej pigułce. Słowa są nie- ważne, uświadomił sobie Charlie. Dwanaście kobiet, wśród nich jego ukochana zmarła żona, wypowiadało do niego te same słowa. Za każdym razem brzmiały równie płaczkowo i nieciekawie. Różnica polegała na tym, że kiedy mówiły to inne, Charlie czuł się odizolowany tysiącnymi warstwami obojętności. Ale kiedy Rachel mówiła to do jego wspomnień, stał nagi pośrodku pokoju, a zimny wiatr osuszał pergamin jego pomarszczonej skóry.

- Co się stało? - spytał Jock.

A tak, drogi komputerze, zmiana zachowania ograniczone; przyzwyczajeniami starca. Od razu podejrzewasz... Co? Atak ca? Bliską śmierć? Dezorientację?

- Imię - powiedział Charlie. - Rachel Carpenter.

- Żyje czy zmarła?

Charlie skrzywił się znowu, tak jak za każdym razem, gdy Jock zadawał to pytanie. A jednak było ono ważne i o wiele za często odpowiedź brzmiała: zmarła.

- Nie wiem.

- Żywych i zmarłych mam w samych archiwach firmy dwa tysiące czterysta osiemdziesiąt.

- Była dwunastolatką, kiedy miałem... dwadzieścia lat. Tak, dwadzieścia. Mieszkała w Provo, w Utah. Jej ojciec był pianistą. Może kiedy dorosła, została aktorką. Marzyła o tym.

- Rachel Carpenter. Urodzona w 1959. Provo, Utah. Uczęszczała...

- Nie popisuj się, Jock. Wyszła za mąż?

- Trzykrotnie.

- I nie naśladowuj moich manieryzmów. Żyje jeszcze?

- Zmarła dziesięć lat temu.

Oczywiście. Zmarła. Spróbował ją sobie wyobrazić... gdzie?

- Gdzie umarła?

- To nieprzyjemne.

- Powiedz mimo wszystko. Mam dziś wisielczy nastrój.

- W domu opieki dla psychicznie chorych.

Właściwie to nic dziwnego. W ostatnich czasach ludzie żyli często dłużej niż ich umysły. Ale to smutne. Zawsze była błyskotliwa. Myśli miewała czasem dziwaczne, ale prowadziły zwykle do czegoś wartego tej często splątanej ścieżki. Uśmiechnął się, zanim sobie przypomniał, z czego się śmieje. Tak. Patrząc kolanami. Grała Hellen Keller w "Cudotwórczym" i powiedziała mu, jak wreszcie zrozumiała, co to ślepotą.

- To nie jest tak, jak widać czerwien przy zamkniętych powiekach, to wiedziałam. To nawet nie to, co widzieć czerń. To jakby próbować widzieć tam, gdzie nigdy nie było oczu. Patrząc kolanami.

Choćbyś nie wiem jak próbował, tam po prostu nie ma wzroku.

Polubiła go, bo się nie roześmiał.

- Powiedziałałam bratu, ale śmiał się ze mnie - wyjaśniła. Ale Charlie się nie śmiał.

To był początek łączącej ich sympatii, sympatii do tej dwunastolatki, która nigdy nie potrafiła się trzymać normalnej, rozpoznawalnej ścieżki, ale musiała brnąć własną drogą przez krzaki gęste i jaskrawe od kwiatów.

- Myślę, że Bóg już dawno przestał na nas zwracać uwagę - powiedziała. - Tak samo jak Michał Anioł nie chciałby widzieć, jak malują na biało Kaplicę Sykstyńską.

Wiedział, że to zrobi, zanim jeszcze zrozumiał, co takiego. Ona skończyła w przytułku dla psychicznie chorych, a on - z najlepszą opieką medyczną, jaką można kupić - stał nagi w pokoju i przypominał sobie czasy, kiedy namiętność wciąż czaiła się za kratami cnotliwości i z większym prawdopodobieństwem prowadziła do wiersza niż do stosunku.

Przesadziłeś z tą historią, powiedział pomarszczonemu starcowi, który kpił z niego w lustrze. Ona cię kusi, bo się nudzisz. Szukasz pretekstu, bo jesteś okrutny. Pożądasz jej, bo twój stary fiut nią jest już do niczego zdolny.

I usłyszał, jak stary drań odpowiada: zrobisz to, ponieważ możesz. Ze wszystkich ludzi na świecie ty jeden.

Wyobraził sobie, że widzi, jak Rachel patrzy na niego, zachwycona, że jest piękna w wieku czternastu lat, śmieje się z żartu losu, z wiedzy, że jest podziwiana przez człowieka, którego ona także pragnie. Śmieje się, ile chcesz, zwrócił się Charlie do tej wizji. Wtedy byłem dla ciebie za delikatny. Obawiam się, że teraz wymażę tę młodzieńczą dobroć.

- Wracam - powiedział głośno. - Znajdź mi jakiś dzień.

- W jakim celu? - zapytał Jock.

- To moja sprawa.

- Jeśli nie znam twoich celów, jak mogę ci znaleźć dzień? A więc musiał to powiedzieć.

- Chcę ją mieć, jeśli tylko zdołam.

Nagle zadzwieczał cichy dzwonek i głos Jocka zastąpił inny.

- Ostrzeżenie. Nielegalne wykorzystanie THIEF-a do manipulacji przeszłością dopuszczającej zmiany teraźniejszości.

Charlie uśmiechnął się.

- Badania wykazały, że zmiana jest dopuszczalna. Kasacja. -I zamknięcie programu: - Bizancjum.

- Ależ z ciebie sukinsyn - powiedział Jock.

- Znajdź mi dzień. Dzień, kiedy skutki będą najmniej drastyczne, kiedy mogę...

- Dwudziesty ósmy października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego.

To było wtedy, gdy wrócił po podpisaniu kontraktu z Sao Paulo. Stał się kapitalistą, zanim skończył dwadzieścia trzy lata. Bał się do niej zadzwonić, ponieważ, na litość boską, miała dopiero czternaście lat.

- Jakie to będzie miało skutki dla niej, Jock?

- Skąd mogę wiedzieć? A co to dla ciebie za różnica? Raz jeszcze spojrział w lustro.

- Różnica.

Nie zrobię tego, powiedział sobie, wchodząc do THIEF-a, najbardziej ostentacyjnego symbolu bogactwa: własny THIEF w prywatnym mieszkaniu. Nie zrobię tego, postanowił raz jeszcze, nastawiając maszynę, by zbudziła go za dwanaście godzin, czy będzie tego chciał, czy nie. Potem wspiął się na legowisko i naciągnął na głowę kaptur, zrozpaczony, że nawet to, nawet zrobienie jej takiej krzywdy, jest dla niego możliwe. Dawno temu odruchowo powstrzymywał się przed pewnymi czynami, gdyż wiedział, że są niesłuszne. Och, co za czasy, pomyślał. Ale wiedział też, że sam się okłamuje. Już dawno zrezygnował ze słuszności i niesłuszności, zadowolając się prostszymi normami skuteczności i nieskuteczności, dobroczynności i szkodliwości.

Podróżował już w THIEF-ie: odbył kilka typowych wypraw w przeszłość. Wszedł w umysł kogoś z publiczności na pierwszym wykonaniu "Mesjasza" Haendla i słuchał. Ten biedak, którego uszy wykorzystywał, niczego nie pamiętał, a zatem przyszłość się nie zmieniła. To było bezpieczne: siedzieć w sali i słuchać. Był w umyśle farmera, odpoczywającego przy wiejskiej drodze, kiedy przechodził Wordsworth. Zatrzymał poetę i zapytał go o nazwisko, a Wordsworth uśmiechnął się; obojętny i chłodny, zachwycał się okolicą bardziej niż ci, których praca stworzyła to piękno. Ale to były podróże legalne - Charlie nie zrobił niczego, co mogłoby zmienić bieg historii.

Tym razem jednak zmieni życie Rachel. Oczywiście, nie własne, to niemożliwe. Ale Rachel zapamięta, co się stało, a ta pamięć zepchnie ją ze ścieżki, którą powinna podążać. Może tylko odrobinę, może to nie będzie nic ważnego. Może po prostu zniełubi go trochę wcześniej lub trochę bardziej. Ale to i tak zbyt wielka zmiana, żeby była legalna, gdyby go ktoś przyłapał.

Ale nie złapią go. Nie Charliego. Nie człowieka, który posiadał THIEF-a, a więc mógł zdobyć świat. Wszystko było zbyt tajne, zbyt wielu agentów wykorzystywało jego maszynę, by uczestniczyć w najbardziej sekretnych naradach wroga. Zbyt często prokurator generalny przesłuchiwał nagrania najdoskonalszych podsłuchów. Zbyt często politycy, którzy godzili się zostać dłużnikami Charliego, otrzymywali zgodę na doprowadzenie przeciwnika do błędu, kosztującego głosy w wyborach. Wszystko to sięgało dalej, niż pozwalało prawo. Kto ośmielił się narzekać, jeżeli teraz także Charlie

nagnie prawo dla własnych celów?

Nikt, oprócz Charliego. Nie mogę tego zrobić Rachel, myślał. A potem THIEF przeniósł go wstecz do własnego umysłu, do własnego ciała, dwudziestego ósmego października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku, o dziesiątej, właśnie kiedy kładł się do łóżka. Był trochę zmęczony, ponieważ o szóstej rano obudził j go telefon z Brazylii.

Jak zawsze nastąpiła chwila oporu, a potem spokój, kiedy jego jaźń z tamtego czasu odpłynęła w nieświadomość. Stary Charlie przejął ciało i spojrzął nie w przeszłość, ale w teraźniejszość.

Chwilę przedtem stał przed lustrem, patrząc na swą pomarszczoną smętną twarz. Teraz uświadamiał sobie, że patrzenie w lustro przed snem to przyzwyczajenie całego życia. Jestem narcyzem, mówił sam do siebie, niepięknym czcicielem w mojej własnej kaplicy. Tylko że teraz wcale nie jest taki brzydki. W wieku dwudziestu dwóch lat ciało wciąż ma jędrną, młodą skórę. Brzuch miękki, ponieważ nie jest atletą, ale jest w nim jakaś gibkość, której już długo nie zachowa. Teraz słabo pamiętane potrzeby, które pchnęły go do tej podróży, znajdują fizjologiczną podstawę. To, co było tylko wspomnieniem, teraz go rozpala.

Dziś w nocy nie będzie spał, nieprędko. Ubiera się znowu, ze zdziwieniem odkrywając dziwaczne, kiedyś modne kolorowe koszule, szerokie u dołu spodnie i buty z pięciocentymetrowymi obcasami. Wielki Boże, i ja to nosiłem, myśli, a potem wkłada ubranie. Rodzi- na nie zadaje pytań; cicho schodzi na dół i siada do samochodu. W garażu śmierdzi benzyną- zapach nostalgiczny jak bez i woskowe świece.

Wciąż pamięta drogę do domu Rachel, chociaż zaskakują go nie zbudowane jeszcze budynki, niewybrukowane drogi i skrzyżowania bez świateł; wie zresztą, że wkrótce je uzyskają. Już powinny mieć; patrzy na zegarek, to pewnie odruch ciała, w którym się znalazł, ponieważ on od dziesięcioleci nie nosi zegarka. Ramię jest opalone brazylijskim słońcem. Nie ma starczych plam ani błękitnych żył, wykreślających złożone mapy pod skórą. Jest wpół do jedenastej. Na pewno poszła już do łóżka.

Niemal go to powstrzymuje. W jego osobistym katalogu grzechów nie zachowało się wiele, ale to z pewnością tak. Spojrzął w siebie, by znaleźć wolę i oprzeć się żądom wyłącznie dlatego, że jego spełnienie zrani inną osobę. Zapomniał już, jak się to robi. Tak dokładnie zapomniał, że nie może znaleźć powodu do oporu.

Palą się światła, a jej matka, pani Carpenter, niemodna i rozkoszna, roztrzepana w najbardziej czarujący sposób, otwiera drzwi podejrzliwie, ale rozpoznaje go.

- Charlie - woła.

- Czy Rachel jeszcze nie śpi?

- Daj mi minutę, a nie będzie!

Czeka, czuje w żołądku mrowienie wyczekiwania. Nie jestem prawiczkim, przypomina sobie, ale ciało tego nie wie. Ciało jest napięte, ponieważ nie uformowało jeszcze odruchów pozbawionej



znaczenia namiętności, którą Charlie zna aż nazbyt dobrze. I wreszcie Rachel schodzi po schodach. Słyszy, jak tupie po drewnianych stopniach, potem zatrzymuje się i idzie dalej powoli, udając, że się nie spieszy. Pojawia się zza rogu, patrzy na niego.

Jest w wyblakłym szlafroku... Nie pamięta, żeby ją w nim kiedyś widział. Włosy ma rozczochrane, a po oczach widać, że spała.

- Nie chciałem cię budzić.

- Jeszcze nie zdążyłam zasnąć. Zresztą pierwsze dziesięć minut i tak się nie liczy.

Uśmiecha się. Łzy stają mu w oczach. Tak, mówi bezgłośnie. To jest Rachel. Wąska twarz, skóra tak przejrzysta, że może zajrzeć w nią jak w nefryt, smukłe ramiona poruszają się nieśmiało z nieświadomą gracją.

- Nie mogłem się doczekać, żeby cię zobaczyć.

- Jesteś w domu od trzech dni. Myślałam, że zadzwonisz. Uśmiecha się. W rzeczywistości nie zadzwoni do niej jeszcze

przez długie miesiące. Ale tłumaczy:

- Nie znoszę telefonów. Chcę z tobą porozmawiać. Wyjdiesz na przejażdżkę?

- Muszę zapytać mamy.

- Zgodzi się.

Zgadza, się. Żartuje i mówi, że ufa Charliemu. A Charlie, którego ona zna, jest godny zaufania. Ale nie ja, myśli Charlie. Oddajesz swoje brylanty w ręce złodzieja.

- Jest zimno? - pyta Rachel.

- Nie w samochodzie.

Dlatego nie bierze płaszcza. Nie szkodzi. Nocny wiatr nie jest chłodny.

Charlie zaczyna, gdy tylko zamykają się za nimi drzwi. Obejmuje ją w talii. Rachel nie odsuwa się, nie przyjmuje tego obojętnie. Nigdy wcześniej tak się nie zachowywał, ponieważ ona ma tylko czternaście lat, jest dzieckiem, ale wtula się w niego, kiedy idą, jakby robiła to wcześniej setki razy. Zaskakuje go, jak zawsze.

- Tęskniłem za tobą - mówi.

Ona uśmiecha się, a w oczach błyszczą jej by.

- Ja też za tobą tęskniłam.

Rozmawiając niczym. I bardzo dobrze. Charlie niewiele pamięta z wyprawy do Brazylii, nie pamięta, co robił przez trzy dni od powrotu. Żaden kłopot; wydaje się, że ona chce mówić tylko o dzisiejszym wieczorze. Jadą do zamku, a Charlie opowiada jego historię. Wyczuwa ironię tego faktu. W końcu to z jej powodu zna tę historię. Za kilka lat Rachel będzie członkiem zespołu teatralnego, który wykorzysta zamek jako publiczny amfiteatr. Teraz jednak budowla z wolna popada w ruinę. Pomnik dawnego biura robót publicznych, wielki zamek z wieżyczkami i parapetami z miejscowego kamienia. Jest własnością stanowego szpitala dla psychicznie chorych, lecz prawie nikt o tym nie wie. Są sami, kiedy wysiadają z samochodu i po kruszących się stopniach przechodzą na kamienną scenę.

Rachel jest oczarowana. Staje pośrodku sceny, twarzą do ławek. Charlie patrzy, jak podnosi rękę, a monolog zastyga jej na wargach. Przypomina coś sobie... Tak, tym gestem zęgnęła opiekunkę w "Romeo i Julii". Nie zęgnęła. Raczej pożęgnęła. Ale gest już w niej tkwi, czeka, aż wydobędzie go ta scena.

Odwraca się do niego i uśmiecha, gdyż miejsce jest obce i dziwne, nie pasuje do Provo, ale pasuje do niej. Powinna się urodzić w renesansie, mruży cicho Charlie. Rachel słyszy go. Musiał powiedzieć to głośno.

- Powinnaś należeć do wieku, gdzie muzyka była czysta i delikatna, a kobiety nie używały makijażu. Nikt nie mógłby się z tobą równać.

Śmieje się z tej próżności.

- Tęskniłam za tobą - mówi.

Dotyka jej twarzy. Rachel nie odsuwa się. Przytula policzek do jego dłoni, a Charlie wie, że ona rozumie, po co ją tutaj przywiózł i co chce zrobić.

Piersi ma kształtne, choć małe, pośladki chłopięce, szczupłe, jedyne włosy na ciele to te, które opadają na ramiona, które trzeba odgarnąć z twarzy, żeby znów ją pocałować.

- Kocham cię - szepcze Rachel. - Kocham cię przez całe życie.

Jest dokładnie tak, jak w marzeniach, tyle że ciało jest namacalne, ekstaza rzeczywista, wiatr coraz chłodniejszy, kiedy Rachel znów się ubiera. Nie rozmawiają już, kiedy odwozi ją do domu. Jej matka zasnęła na sofie w saloniku ze stronicami "Daily Herald" u stóp. Dopiero wtedy Charlie przypomina sobie, że dla Rachel przyjdzie jutro, a jutro on nie zadzwoni. Nie zadzwoni przez trzy miesiące, a ona go znienawidzi.

Próbuje to załagodzić. Próbuje, mówiąc:

- Niektóre rzeczy mogą się przydarzyć tylko raz.

Coś takiego mógłby wtedy powiedzieć. Ale ona kładzie mu palec na wargach i mówi:

- Nigdy nie zapomnę.

Potem odwraca się i idzie w stronę matki, aby ją zbudzić. Ogląda się jeszcze i daje znak Charliemu, żeby wyszedł; macha do niego. On też żegnają skinieniem, zamyka za sobą drzwi i wraca do domu. Leży w łóżku, nie mogąc zasnąć - w łóżku, które jest dla niego jak samo dzieciństwo. Chciałby, żeby to trwało wiecznie. Powinno trwać wiecznie, myśli. Ona nie jest dzieckiem. Nie była dzieckiem, powinno to brzmieć, gdyż THIEF przerzuca go do domu.

- Co się stało, Charlie? - zapytał Jock.

Charlie zbudził się. Minęło kilka godzin, odkąd THIEF sprowadził go z powrotem. Była noc. Charlie uświadomił sobie, że płakał przez sen.

- Nic - odparł.

- Płaczesz, Charlie. Nigdy jeszcze nie widziałem cię płaczącego.

- Wsadź sobie milion woltów, Jock. Miałem sen.

- Jaki sen?

- Zniszczyłem ją?

- Nie, wcale nie.

- Zachowałem się jak podły egoista.

- Zrobiłbyś to jeszcze raz. Ale nie zraniłeś jej.

- Miała tylko czternaście lat.

- Wcale nie.

- Jestem zmęczony. Spałem. Daj mi spokój.

- Charlie, skrupuły nie są w twoim stylu.

Charlie, nadąsany, naciągnął koc na głowę i zastanawiał się, czy ta dziecięca reakcja to nie kolejny dowód, że dziecinnieje na starość.

- Charlie, opowiem ci bajkę na dobranoc.

- Wykasuję cię.

- Bardzo dawno, dziesięć lat temu, pewna stara kobieta imieniem Rachel Carpenter złożyła prośbę o jeden dzień z własnej przeszłości. To był dzień z kimś, a dokładnie dzień z tobą. System wywołał mnie rutynowo, jak zawsze, kiedy pojawia się twoje nazwisko.

Znalazłem jej ten dzień. Chciała odwiedzić ten czas i przeżyć jeszcze raz dobry dzień. Byłem

zdziwiony, Charlie. Nie wiedziałem, że w twoim życiu były dobre dni.

Program już zbyt długo tkwił w Jocku. Wiedział, jak mu dogryźć.

- I rzeczywiście nie było dni tak dobrych, jak sobie to wyobrażała - podjął Jock. - Jedynie oczekiwanie i rozczarowanie. Tyle tylko potrafiłeś dać, Charlie. Oczekiwanie i rozczarowanie. . - Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz.

- Ta kobieta była w przytułku dla psychicznie chorych. Dlatego dałem jej ten dzień. Tylko zamiast rozczarowania czy obietnic, o których wiedziała, że nie będą dotrzymane, podarowałem jej dzień odpowiedzi. Właściwie noc odpowiedzi, Charlie.

- Nie mogłeś wiedzieć, że każę ci to zrobić. Nie mogłeś tego wiedzieć dziesięć lat temu.

- Masz rację. Ale baw się ze mną dalej. Przecież i tak śnisz, prawda?

- Więc nie budź mnie.

- I tak stara kobieta wróciła do ciała młodej dziewczyny, dwudziestego ósmego października tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego, a młoda dziewczyna nigdy się nie dowiedziała, co zaszło. A więc nie zmieniło to jej życia, rozumiesz?

- To kłamstwo.

- Nie. Nie potrafię kłamać, Charlie. Zaprogramowałeś mnie, żebym nie kłamał. Myślisz, że pozwoliłbym ci wrócić tam i ją skrzywdzić?

- Ona była taka sama. Taka, jaką pamiętam. - To było jej ciało.

- Nie zmieniła się. Nie była starą kobietą, Jock. Była dziewczynką.

I Charlie pomyślał o starej kobiecie umierającej w przytułku, otoczonej przez żółte ściany, jasnoszarą pościel i zasłony. Wyobraził sobie młodą Rachel w tej pomarszczonej formie, uwięzionej w ciele, które nie potrafiło się ruszać, schwytaną w umyśle, który nie prowadził jej już niezwykłymi, tajemniczymi szlakami.

- Pokazałem ci jej zdjęcie w telewizorze - powiedział Jock.

A jednak, myślał Charlie, dlaczego ma to być trudniejsze do zniesienia niż to, że piękny chłopak, który tak bardzo chciał zrobić to, co właściwe, że wszystko zrobił źle i stracił szansę, teraz nie może się wyrwać z sumy wszystkich błędnych wyborów? Wszedłem na drogę, którą chcieli podążać wszyscy; dotarłem na szczyt, ale nie tam powinienem zmierzać. Wciąż jestem tym chłopcem. Nie musiałem kłamać, kiedy poszedłem do niej do domu.

- Znam cię dobrze, Charlie - mówił Jock. - Wiedziałem, że jesteś draniem w dostatecznym stopniu, żeby tam wrócić. I dostatecznie porządnym człowiekiem, żeby zrobić to jak należy, kiedy już tam trafisz. Wróciła szczęśliwa, Charlie. Wróciła zadowolona.

A więc ta noc z cudownym dzieckiem była oszustwem; to nie była młoda Rachel, a on nie był młodym Charliem. Szukał w sobie gniewu, ale nie mógł go znaleźć. Zmarła kobieta ofiarowała mu dar i przyjęła dar od niego. I ten dar wciąż był słodki.

- Pora spać, Charlie. Śpij dalej. Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie masz powodu do wyrzutów sumienia. Nie ma się czym dłużej dręczyć.

Charlie przykrył się szczelnie; nie pamiętał, że to przyzwyczajenie pochodziło sprzed lat, kiedy dziwne mroczne kształty ukrywały się w szafie i tylko pod kocem był bezpieczny. Naciągnął go więc na głowę, zamknął oczy i poczuł, jak głaszcze go jej dłoń. Czuł dotyk jej piersi, biodra i uda, usłyszał jej głos, jak oddech na policzku.

- Jak wielki kasztan - powiedział Jock, tak jak go tego nauczył - ...co rozkwitł nad światem.

- Czy liściem jesteś, czy pniem, czy kwiatem?

- Wzroku rozjaśniony, muzyko wesola.

- Kto tancerza od tańca odróżnić dziś zdoła?

Widownia w jego myślach klaskała przez chwilę, a Charlie zsunął się w sen. Zdziwiło go wrażenie, że klaszczą szczerze. Wyobraził sobie, że uśmiechają się i kiwają głowami. Uśmiechają się do dziewczyny z uniesioną ręką; kiwają na mężczyznę, który stanął na wieczność, a potem wszedł na scenę.

### 3. PIESER

Znalazłem się tam przypadkiem. Tylko dla Piesera wpakowałem się w tę historię. Pieser uznał, że mogę się przydać, co było prawdą. Powiedział jeszcze, że mogę się zabawić, co już zmyślił, gdyż to, co różni ludzie robili ze mną, było o wiele bardziej zabawne od tego, co ja robiłem z nimi.

Kiedy mówię, że myślę wertykalnie, to oznacza, że jestem meta- fizyczny, to znaczy symulowany, to znaczy, że martwy, tylko mój mózg jeszcze o tym nie wie i dalej rusza nogami. Oberwałem, kiedy miałem dziewięć lat. Leżałem spokojnie w łóżku, a jeden cap za ścianą strzelił do swojej damy. Pocisk przeszedł przez ścianę i trafił mnie w głowę. Wszyscy polecili do nich, bo robili mnóstwo hałasu, więc byłem już w trzech czwartych trupem, zanim ktokolwiek zauważył, że oberwałem.

Zapakowali mi głowę superdobrem i światłowodami, ale nie wiedzieli, który neutron powinien stukać w który sąsiedni i mój alchemiczny mózg z galarety stał się jak diament. Dobry Chłopak. Kryształowy Dzieciak.

Od owego jasnego, elektrycznego dnia nie urosłem ani o cal, w żadnym miejscu. Kula nie trafiła w okolice genitaliów. Po prostu przełączyła przycisk dojrzewania w głowie. Święty Paweł mówił, że został eunuchem dla Jezusa, ale dla kogo ja jestem eunuchem?

Najgorsze, że mam już prawie trzydziestkę i ciągle muszę wzywać barmanów do sądu, zanim podadzą mi piwo. Mamy zysk, bo chociaż sędzia przyznaje mi rację i to oni płacą koszty, ciało mam tak małe, że zalewam się już małym piwem, a po dużym sikam i padam. Nie nadaję się na partnera do picia. Poza tym każdy, kto się ze mną pokazuj e, wygląda na pedofila.

Nie, nie próbuję wyciskać z was łez. Jestem przyzwyczajony, jasne? Być może królowa balu nigdy nie okazała mi Prawdziwej Miłości z podparciem na cztery punkty, ale mam pewien talent, niezwykle ważny dla niektórych ludzi, i zawsze jakoś sobie radzę. Ubieram się dobrze, jeżdżę metrem i nie płacę podatku dochodowego. Jestem H-manem, Facetem od Haseł. Dajcie mi pięć minut z czymś zyciorysem, czy może raczej z jego autopsychoskopia, a dziewięć razy na dziesięć podaję hasło i wprowadzam was w jego najpaskudniejsze, śliskie, słodkie zbiory. Szczerze mówiąc, są to zwykle trzy razy na dziesięć, ale to i tak o wiele większa szansa, niż kazać komputerowi tracić rok na próby wystukania piętnastu znaków w taki sposób, żeby utworzyły właściwe H-sło. Szczególnie że po trzeciej pomyłce blokują wam telefon, blokują pliki docelowe i wzywają gliny.

Niedobrze wam się robi? Taki miły chłopiec jak ja, zaangażowany w potępienia godną, karalną i nielegalną działalność? Być może mam metr dwadzieścia i pół szklanki wzrostu, ale umiem was zasymulować lepiej niż własna mamusia, a im dokładniej was poznam, tym mocniejszego mam haka. Znam nie tylko wasze aktualne hasło. Mogę napisać słowo na kartce, wsadzić ją w kopertę i zakleić. a wy idziecie do domu, zmieniacie hasło, otwieracie kopertę i ono tam jest - wasze nowe H, trzy razy

na dziesięć. Jestem wertykalny i Pieser o tym wiedział. Dziesięć procent więcej dobra i nawet formalnie nie byłbym człowiekiem. Jestem jednak ciągle poniżej granicy, a to więcej, niż mógłbym powiedzieć o paru ludziach, którzy mają w głowie sto procent zoo.

Pieser podszedł do mnie pewnego dnia na Carolina Circle, gdzie stojąc na stołku, grywam w elektryczny bilard. Nic nie mówił, tylko trzepnął mnie w ramię, więc - naturalnie - oberwał łokciem w jaja. Sporo dwunastolatków próbuje mnie popychać przy grze, więc czasem muszę dawać im szkołę. Jack Pogromca Olbrzymów. Bohater czwartoklasistów. Na ogół walę w żołądek, tyle że Pieser nie był dwunastolatkiem, więc mój łokieć trafił niżej.

W chwili gdy uderzyłem, wiedziałem, że nie jest dzieciakiem. Nie znałem go wcale, ale wyglądał na takiego, co dawniej często chodził głodny, a teraz nie dba o to, co je.

Teraz oczywiście nie myślał o jedzeniu, siedział tylko na podłodze oparty o grę "Bij Szyitów" i patrzył na mnie tak, jakbym był dzidziusiem, którego właśnie ma przewinać.

- Mam nadzieję, że jesteś Dobry Chłopak - nawija. - Bo jak nie, to odniosę cię do mamusi w trzech małych plastikowych salaterkach

Nie brzmiało to tak, jakby chciał mi grozić. Raczej jakby był główną płaczką na własnym pogrzebie.

- Chcesz robić interesy, to używaj języka zamiast łap - odpowiadam. A mówię to naprawdę zraszające, czyli przepaszające z podkreśleniem, że ciągle go jeszcze olewam.

- Chodźmy stąd - mówi. - Muszę sobie załatwić wsparcie. Podatek płaci się od zarobków.

Poszliśmy do Iveya i stanęliśmy koło odzieży dziecięcej. Wy tłumaczył mi, o co chodzi.

- Jedno H-sło - mówi. - Tylko żadnych pomyłek. Jeśli nie trafimy, facet traci robotę i może idzie do pudła.

Powiedziałem "nie". Trzy trafienia na dziesięć to najlepsze, na co mnie stać. Żadnych gwarancji. Moje wyniki świadczą o mnie, ale nikt nie jest doskonały, a ja nawet się nie zbliżyłem do doskonałości.

- Daj spokój - rzuca. - Muszą być jakieś sposoby, żeby mieć pewność. Jeśli możesz trafić trzy razy na dziesięć, to co się stanie, kiedy będziesz wiedział o facecie więcej? Kiedy się z nim spotkasz?

- No dobra. Może pół na pół.

- Posłuchaj, nie możemy próbować drugi raz. Może nie zgadniesz. Ale czy wiesz, kiedy nie trafiasz?

- Mniej więcej co drugi raz, kiedy się pomylą, wiem, że się pomyliłem.

- Czyli mamy trzy czwarte szansy, że będziesz wiedział, czy je znalazłeś?

- Nie - tłumaczę. - Bo co drugi raz, kiedy trafiam, nie wiem, że trafiłem.

- Szlag-g - mówi. - To tak, jak robić interesy z moim młodszym bratem.

- I tak cię na mnie nie stać. Biorę przynajmniej dwie dychy, a twoja karta ledwie chyba wystarczy na śniadanie.

- Proponuję ci udział.

- Nie chcę udziału. Chcę gotówkę.

- To pewna sprawa - przekonuje, rozglądając się uważnie. Jak gdyby podejrzewał, że założyli podsłuch w tabliczce z tekstem "Szorty chłopięce, rozmiary 10-12".- Mam wtykę w Kodach Federalnych,

- To pestka. Ja mam pluskwę w tyłku Pierwszej Damy i czterdzieści godzin nagrania jej pierdnieć.

Mam niewyparzoną gębę. Wiem o tym i po raz kolejny przekonuję się dobitnie, kiedy pakuje mi twarz w stos krótkich spodenek.

- Popróbuj tego, Dobry.

Nie cierpię, kiedy ludzie mnie popychają. I wiem, jak ich zmusić, żeby przestali. Tym razem wystarczyło, żebym zaczął płakać. Głośno, jakby mnie bolało. Wszyscy się oglądają, kiedy dziecko zaczyna płakać.

- Już będę greczny - powtarzałem. - Nie bij mnie! Będę greczny.

- Zamknij się - powiedział. - Wszyscy na nas patrzą.

- To uważaj z łapami - mówię. - Jestem przynajmniej dziesięć lat starszy od ciebie i przynajmniej dziesięć razy sprytniejszy. Teraz wyjdę ze sklepu i jeśli zobaczę, że za mną leziesz, zacznę wrzeszczeć, że rozpiąłeś rozporek i pokazałeś mi siusiaka. Kiedy raz zaczną cię podejrzewać, że napastujesz dzieci, będą cię zwijać za każdym razem, kiedy w promieniu stu mil od Greensboro oberwie jakiś szczeniak.

Zrobiłem to już kiedyś i to działa, a Pieser nie był durniem. Niepotrzebne przesłuchania przez gliny były rzeczą, której na pewno wolałby unikać. Myślałem więc, że każe mi się odpieprzyć i na tym sprawa się skończy.

A on mówi zamiast tego:

- Przepraszam cię, Dobry. Czasem nie panuję nad rękami. Nawet ten cap, który mnie postrzelił, nigdy nie powiedział, że

przeprasza. Z początku pomyślałem, co to za oferta, że tak się płaszczy. Potem postanowiłem trzymać się go, żeby sprawdzić, jaki człowiek potrafi pokajać się przed dzieciakiem wyglądającym na dziewięć lat. Nie wierzyłem zresztą, żeby naprawdę było mu przykro. Potrzebował mnie do trafienia H-sła i wiedział, że nie ma wyboru. Z tym że większości ulicznych bokserów brakuje



inteligencji nawet na to, żeby pod wpływem stresu wymyślić właściwe kłamstwo. Od razu wiedziałem, że to nie zwyczajny oszust czy drugorzędny pomocnik, bo tacy zawsze przez jakieś głupstwo pieprzą każdą robotę. W jego twarzy była głębia, to znaczy, że na szyi rosło mu coś więcej niż tylko podstawka pod włosy, czyli że w środku miał dość mózgu, żeby umieć wsadzić ręce do kieszeni w innym celu niż bawienie się futem. Dokładnie wtedy uznałem, że jest wrednym, kłamliwym sukinsynem. Akurat dla mnie.

- Po co chcesz się dostać do Kodów Federalnych? - spytałem, -Kasacja zapisu?

- Dziesięć otwartych zielonych - on na to. - Kodowanych na; nieograniczone podróże międzypaństwowe. Z całą identyfikacją, jak dla prawdziwej osoby.

- Prezydent ma zieloną kartę - mówię. - Szefowie Połączonych Sztabów mają otwarte zielone. Ale to już wszyscy. Nawet wiceprezydent USA nie otrzymał wystarczających uprawnień.

- Owszem, otrzymał.

- Rozumiem, wiesz wszystko najlepiej.

- Potrzebne mi H. Mój człowiek może nam zrobić czerwone i niebieskie, ale otwarte zielone musi załatwiać taki biurowy szczur, dwa poziomy w górę. Ten mój wie, jak się do tego zabrać.

- Na pewno nie chodzi tylko o hasło - myślę głośno. - Ten gość, który robi zielone karty, musi przyłożyć do tego swój palec.

- Wiem, jak załatwić ten palec. Potrzebny jest i palec, i hasło.

- Jeśli zabierzesz mu palec, on to gdzieś zgłosi. A nawet jeśli go przekonasz, żeby nie, to i tak ktoś zauważy, że zniknął.

- Lateks - rzuca. - Weźmiemy odcisk. I nie zaczynaj mnie uczyć, jak mam wykonać swoją część roboty. Ty załatwiasz H-sło, ja palce. Wchodzisz?

- Za gotówkę.

- Dwadzieścia procent. - Mało.

- Facet w Kodach dostaje dwadzieścia, dziewczyna, która załatwia palec, dostaje dwadzieścia, a ja biorę cholerne czterdzieści.

- Nie sprzedasz ich chyba na ulicy.

- Są warte milion za sztukę - mówi. - Dla pewnych nabywców. Oczywiście, miał na myśli Organiczną Mafię. Sprzeda dziesięć i moje dwadzieścia procent urasta do dwóch baniek. Nie dość, żeby być bogatym, ale wystarczy na wycofanie się z życia publicznego, a może nawet na pewne kosztowne leki, które mogą wywołać zarost na mojej twarzy. Muszę przyznać, że brzmiało to nieźle.

No więc wzięliśmy się do roboty. Przez parę godzin starał się to załatwić, nie informując, jak się nazywa ten jego biuroszczur, przekazując tylko dane od faceta w Kodach Federalnych. Ale to było głupie, dawać mi takie rzeczy z drugiej ręki, zwłaszcza że potrzebo- wał stuprocentowej pewności. Szybko to zrozumiał i wciągnął mnie do końca. Nie cierpiał zdradzania własnych tajemnic. Kiedy już do- wiem się wszystkiego, to co mnie powstrzyma od załatwienia roboty samemu? Ale nie miał innego sposobu znalezienia H-sła, więc musiał je dostać ode mnie, a skoro miałem je zgadnąć, musiałem wiedzieć wszystko. Pieser miał pod czaszką mózg, choć tylko biorozkładalny. Wiedział, że są takie momenty, kiedy trzeba komuś zaufać. Kiedy trzeba wierzyć, że stara się jak najlepiej nawet wtedy, gdy się go nie pilnuje.

Zabrał mnie do swojego taniego mieszkania w kampusie dawnego Guildford College, niedaleko metra. Było to wygodne, bo bez żadnych problemów mogłem dojechać do Charlotte, Winston czy Raleigh. Nie miał miękkiej podłogi, tylko zwykłe łóżko, ale duże, więc chyba się przesadnie nie umartwiał. Może kupił je za dawnych czasów, kiedy był alfonsem i zdobył przezwisko. Prowadził wtedy łańcuszek piesków o pięknych imionach: Szprycha, Piła albo Księżniczka, prawdziwe suczki zadzierające nogi pod latarniami, świetne w tym ściszanym interesie. Widziałem, że kiedyś miewał pieniądze, ale teraz już nie. Znalazłem kupę świetnych ciuchów, robionych na miarę, ale zużytych i zdesynchronizowanych. Z tych najstarszych powyrывał wszystkie przewody, ale wciąż było widać, gdzie kiedyś świeciły diody. Mówimy o czasach neandertalczyków.

- Marność nad marnościami kończy się bluźnierstwami - stwierdzam trzymając rękaw kurty, która świeciła kiedyś jak schodzący do lądowania samolot.

- Za wygodne, żeby to wszystko wyrzucić - odpowiada, ale po głosie od razu można poznać, że nie ma nadziei nikogo oszukać.

- Niech to będzie dla ciebie lekcją - stwierdzam. - To właśnie się zdarza, kiedy Treser nie prowadzi.

- Treserzy mają stałą robotę. Ale ja, kiedy interes szedł dobrze, czułem się obrzydliwie, a kiedy szedł źle, to świetnie. Kiedy prowadzasz kociaki, to masz może jakiś powód do dumy. Ale gdy prowadzasz pieski i wiesz, że krzywdzą je za każdym razem...

- Mają wbudowany przełącznik i nic nie czują. To dlatego gliny nigdy się nie czepiają tych od piesków. Bo nikt naprawdę nie cierpi.

- Owszem. Tylko powiedz, co jest gorsze: kiedy ją ściskają, aż wrzeszczy, żeby zrobić dobrze jakiemuś staremu zboczeńcowi, czy kiedy jej wycinają pół mózgu tak, że kiedy stary zboczeniec ściska, ona nic nie czuje? Miałem koło siebie te kobiece ciała i wiedziałem, że kiedyś były ludźmi.

- Można być ze szkła - mówię - i jeszcze być człowiekiem. Zauważył, że odbieram to personalnie.

- Daj spokój - przeprasza. - Jesteś poniżej granicy.

- Pieski też.

- Zgadza się - przyznaje. - Ale kiedy dziewczyna wraca, opowiada, co z nią robili, i śmieje się,

musisz wyznaczyć własną granicę.

Rozglądam się po jego nędznym mieszkaniu.

- Twój wybór.

- Chciałem czuć się czysty. Ale to nie znaczy, że muszę być biedny.

- Więc ustawiasz ten numer, żeby powróciły dawne czasy spokoju i domestykacji.

- Domestykacji? - powtarza. - Co to niby jest? Czemu, do diabła, stale używasz takich słów?

- Bo je znam.

- Wcale ich nie znasz, bo co drugi raz wstawiasz je w nieodpowiednie miejsca.

Zademonstrowałem mu swój najlepszy uśmiech małego chłopczyka.

- Wiem - mówię. Prawie nikt nigdy nie zauważa, że używam ich nieprawidłowo, i na tym właśnie polega zabawa - ale o tym mu nie mówiłem. Pieser nie był zwyczajnym alfonsem. Zresztą, żaden normalny alfons nie wycofuje się z interesu z powodu zwichniętego kręgosłupa moralnego. Pieser musiał mieć w mózgu parę dziwnych połączeń i uznałem, że ciekawie będzie obejrzeć, jak to się wszystko tam styka.

W każdym razie wzięliśmy się do roboty. Cel nazywał się Jesse H. Hunt i naprawdę rozpracowałem go solidnie. Kryształowy Dzieciak podłączył się na poważnie. Pieser miał jakieś dwie strony różnych głupot: data urodzenia, miejsce urodzenia, płeć przy urodzeniu (od tego czasu żadnych zmian), wykształcenie, miejsca zatrudnienia. Przypominało to wysoki stos pustych pudełek. Wyśmiałem go.

- Masz gdzieś wejście do biblioteki miejskiej? - spytałem, a on pokazał mi gniazdo w ścianie.

Podłączyłem się, z wizją na kieszonkowym sony i własną kryształową główką na różne pi-po-pi-pi. Nie każdy, kto ma tyle dobra w mózgu, potrafi myśleć dość wyraźnie, żeby tak to załatwić - wiecie, przesłać czysty zapis zwyczajnie myśląc odpowiednie rzeczy przez port interfejsu za lewym uchem.

Pokazałem Pieserowi, jak się robi badanie. Potrwało to dziesięć minut. Znam drogę wprost przez Bibliotekę Publiczną Greensboro. Mam H-sła każdego bibliotekarza i jestem tak delikatny, że nawet się nie domyślają, kiedy płynę pod prąd ich kanałami dostępu. Z Biblioteki można się przedostać aż do Archiwum Pomocnej Karoliny w Raleigh, a stamtąd do danych personelu federalnego w całym kraju. Co oznacza, że pod koniec tego niezwykle pracowitego dnia mieliśmy wydruki każdego dokumentu na temat Jesse'ego H. Hunta, jaki tylko istniał: od świadectwa urodzenia i zestawienia ocen z pierwszej klasy, po dane chorobowe i raporty bezpieczeństwa z czasów, kiedy zaczynał pracować dla rządu.

Pieser wiedział dość dużo, by okazać należyty podziw.

- Jeśli tyle potrafisz - powiada - możesz zwyczajnie wyciągnąć jego H-sło.

- Nie tak łatwo, dziecinko - tłumaczę z czarującym uśmiechem. - Wyobraź sobie dane federalne jako zamek. Akta osobowe pływają w fosie. Jest tam parę aligatorów, ale ja całkiem nieźle pływam. Gorące dane trzymają w lochu. A H-sła... H-sła są pod tyłkiem królowej.

- Każdy system daje się złamać.

- Skąd się tego dowiedziałeś? Z napisu na ścianie w sraczu? Gdyby system haseł dawał się złamać choćby odrobinę, ci klienci, którym chcesz sprzedać karty, byłiby już w środku i oglądali nas przez okienka, zamiast płacić ulicznemu złodziejaskowi milion za otwartą zieloną.

Problem w tym, że Pieser był już należycie wstrząśnięty całym tym chłamem, jaki wyciągnąłem na temat Jesse'ego H., ale ja sam nie wiedziałem wiele więcej niż poprzednio. Oczywiście, mogłem zgadnąć kilka haseł, ale nic ponadto. Tylko zgadywanie. Nie wiedziałem nawet, które H ma największe szansę. Jesse był zwykłym, smętnym szcurem. Regulaminowo dobre stopnie w szkole, regulaminowo dobre oceny pracy, zapewne regulaminowo wypełniał obowiązki małżeńskie - według rozkładu tygodniowego.

- Chyba nie wierzysz, że tej twojej dziewczynie uda się załatwić jego palec - mówię z obrzydliwą pogardą.

- Nie znasz jej. Gdybyśmy potrzebowali fiuta, dostalibyśmy odciski w pięciu rozmiarach.

- Nie znasz faceta. To najbardziej typowy przeciętniak w okolicy. Nie wierzę, żeby oszukiwał własną żonę.

- Zaufaj mi. Będzie mieć jego palec tak elegancko, że on się nawet nie zorientuje, kiedy wzięła odcisk.

Nie uwierzyłem. Mam talent do poznawania się na ludziach, a Jesse H. nie udawał. Chyba że zaczął w wieku pięciu lat, a to zdarza się raczej rzadko. Na pewno nie przeleci pierwszej dziewczyny, na widok której zrobi mu się ciasno w rozporku. Poza tym był sprytny. Droga kariery dowodziła, że zawsze znajdował się we właściwych miejscach. Odpowiedni ludzie zawsze znali jego nazwisko. Co oznacza, że nie należał do typu, któremu mózg przestaje działać, kiedy portki robią się gorące. Powiedziałem to.

- Jesteś chodzącą orkiestrą- mówi na to Pieser. - Nie umiesz mi podać H-sła, ale doskonale wiesz, że facet jest impotentem albo zboczeńcem.

- Ani jednym, ani drugim. Jest twardy i zupełnie zwyczajny. Ale jeśli dziewczyna zacznie się do niego lepić, nie pomyśli, że słyszała o jego fiucie na lewarach. Pomyśli, że czegoś chce, i nie da spokoju, dopóki się nie dowie, o co chodzi.

Tylko wyszczerzył zęby.

- Znalazłem najlepszego gościa od haseł w kraju, prawda? Mam cudotwórcę, zwanego Dobrym Chłopcem, prawda? Lodowy mózg, który nazywają Kryształowym Dzieciakiem. Mam go, prawda?

- Może - mówię.

- Mam go albo go zabiję - oświadcza i pokazuje więcej zębów, niż powinien mieć przedstawiciel naczelnych.

- Masz mnie - przyznaję. - Ale jakoś sobie nie wyobrażam, żebyś mógł mnie zabić.

Śmieje się tylko.

- Mam ciebie, i jeśli jesteś tak dobry, to możesz chyba uwierzyć, że mam też dziewczynę, która w swoim fachu jest przynajmniej równie dobra.

- Nie ma takiej.

- Podaj mi to H-sło, a będę wstrząśnięty.

- Chcesz szybkich wyników? To go poproś, żeby sam ci je podał.

Pieser nie należy do tych, którzy potrafią ukryć własną wściekłość.

- Chcę wyniku - informuje. - I jeżeli tylko zacznę podejrzewać, że nie możesz mi go podać, wyrwę ci język. Przez nos.

- Świetnie. Najlepiej myślę, gdy klient grozi mi przemocą fizyczną. Naprawdę wiesz, jak mnie zdopingować.

- Nie chcę cię dopingować. Chcę, żebyś mi podał jego hasło.

- Najpierw muszę się z nim spotkać.

Pochylił się nade mną, aż poczułem jego zapach. To znaczy, że mam silnie rozwinięte receptory olfaktoryczne i mogę wam powiedzieć, że cuchnął testosteronem. Czyli damy mogą się wypełniać dzidziusiami od samego wachania jego potu.

- Spotkać się? - pyta. - Czemu go nie poprosisz, żeby wypełnił ankietę?

- Czytałem wszystkie jego ankiety.

- A w jaki sposób taki szklany łeb jak ty ma zamiar spotkać pana Federalnego? - pyta. - Założę się, że zawsze zapraszają was na te same przyjęcia.

- Nie dostaję zaproszeń na dorosłe przyjęcia - wyjaśniam. - Chociaż, z drugiej strony, na dorosłych przyjęciach raczej nie zwracają uwagi na takie miłe dzieci jak ja.

Westchnął.

- Naprawdę musisz się z nim spotkać?

- Chyba że ci wystarczy prawdopodobieństwo pół na pół. Zupełnie nagle wybuchł jak Nova. Zmiotł szklankę ze stołu, aż rozbiła się o ścianę, potem kopnął stół, a ja cały czas kombinowałem, jak się wydostać żywy. Ale że właśnie dla mnie robił to przedstawienie, więc raczej nie było sposobu. Potem przysunął się bliżej i wrzasnął mi prosto w twarz:

- Nie chcę więcej słyszeć tych twoich pół na pół, sześćdziesiąt na czterdzieści i trzy razy na dziesięć, Dobry. Jasne?

A ja odzywam się naprawdę delikatnie i słodziutko, bo ten facet jest dwa razy większy ode mnie i trzy razy cięższy i nie mam żadnego oparcia. Więc mówię:

- Nic nie poradzę, Pieser. Muszę mówić o prawdopodobieństwie i procentach. Jestem wertykalny, pamiętasz? Mam tu szklane nośniki, a one wydzielają procenty tak łatwo, jak pot u innych ludzi.

Palnął dłonią we własną głowę.

- To też nie jest bułka z kielbasą. Ty wiesz i ja wiem, że kiedy podajesz mi wszystkie te dokładne wyliczenia, to i tak tylko zgadujesz. Nie wiesz, jaką masz szansę z tym szczurem, tak samo jak ja nie wiem.

- Nie znam rozkładu dla niego, Pieser, ale znam własny. Przykro mi, że ci się nie podoba ten ścisły sposób wykładu, ale w mojej Krystalicznej pamięci znajduje się każde H-sło, jakie kiedykolwiek odrzebałem. To znaczy, że mogę ci podać z dokładnością do trzeciego miejsca po przecinku, jak często trafiłem za pierwszym razem Po spotkaniu z obiektem, a jak często, gdy posługiwałem się tylko jego życiorysem. W tej chwili, jeśli do spotkania nie dojdzie i będę dysponował tylko tym, co zdobyliśmy, masz 48,838 procent szansy, że trafię H-sło za pierwszym razem, i 66,667 procent szansy, że przy pierwszych trzech próbach.

To go trochę uspokoiło i bardzo dobrze, bo od tego szkło-trzaskania, stoło-kopania i gorącego-oddechu-prosto-w-twarz zaczynały mi puszczać zwieracze. Cofnął się, wsadził ręce w kieszenie i stanął oparty o ścianę.

- No więc wybrałem właściwego H-mana, co? - mówi, ale się nie uśmiecha. Nie, wypowiada te słowa, ale nie ma ich w oczach; jego oczy mówią: nie próbuj mi tu błyszczeć, bo widzę cię na wylot, mam najlepsze wewnętrzne filtry, czysta polaryzacja, wygaszam ten twój połysk, widzę cię wyraźnie. Nigdy nie widziałem takich oczu. Jakby mnie znał. Nikt mnie nigdy nie poznał i nie sądzę, żeby jemu się udało, ale nie podobało mi się wcale, że patrzy na mnie tak, jakby myślał, że mnie zna. A to dlatego, że ja siebie nie znam i denerwowało mnie, że on może mnie znać lepiej ode mnie, jeśli łapiecie, o co mi chodzi,

- Wystarczy, że będę małym chłopcem, który zgubił się w sklepie - mówię.

- A jeśli on nie jest z tych, co pomagają małym chłopcom, którzy się zgubili?

- Myślisz, że nie zwraca uwagi, jak płaczą?

- Nie wiem. A jeśli nie? Co wtedy? Myślisz, że ujdzie ci drugie spotkanie?

- No dobra, więc chłopiec zgubiony w sklepie odpada. Mogą rozbić swój rower na trawniku przed jego domem. Mogę mu sprzedać magazyny telewizji kablowej.

Ale on już mnie wyprzedził.

- Co do magazynów, to zamyka ci drzwi przed nosem, o ile w ogóle je otworzy. Jeśli chodzi o rower, to chyba straciłeś rozum w tym swoim szklanym mózgu. Mam dziewczynę, która go właśnie obrabia. To potwornie skomplikowane, bo facet nie jest z tych, co łapią każdą okazję, więc ona musi wykonać naprawdę emocjonalne wejście typu, że właśnie rzucił ją chłopak i Hunt ma jedyne ramię, na którym może się wyplakać, a jego żona jest szczęśliwa, mając takiego mężczyznę. W to jeszcze może uwierzyć. I wtedy nagle jakiś mały chłopiec przewraca mu się na trawniku, a że facet jest paranoikiem zaczyna się zastanawiać, co się właściwie dzieje. Zgadza się? Wiem, że jest paranoikiem, bo nie doszedłby tak wysoko, gdyby nie umiał pilnować pleców i zabijać nieprzyjaciół, zanim jeszcze się zorientują, że to oni na niego polują. I taki facet zaczyna podejrzewać, przez jeden moment, że ktoś chce go wykiwać. Co robi?

Wiedziałem już, do czego zmierza Pieser. Miał rację, więc pozwoliłem mu na to zwycięstwo, a także by słowa, które chciał usłyszeć, wymaszerowały równym szeregim.

- Zmienia wszystkie swoje hasła, wszystkie zwyczaje i przez cały czas ogląda się za siebie.

- A mój mały projekcik zmienia się w kupę nawozu. Żadnych otwartych zielonych.

Wtedy pojąłem, dlaczego ten chłopak z ulicy, były alfons, dlaczego właśnie on może wykonać tę robotę. Nie był wertykalny jak ja i nie miał wewnętrznego haka jak ten facet z federalnych, ani wypukłości pod swetrem, więc nie mógł robić za dziewczynę. Miał za to oczy na łokciach i uszy na kolanach, co oznacza, że zauważał wszystko, co było do zauważenia, a potem myślał o nowych rzeczach, jeszcze wtedy niezauważalnych, i też je zauważał. Zasługiwał na swoje czterdzieści procent. I jeszcze działkę z moich dwudziestu.

Na razie czekaliśmy, aż dziewczyna wypełni puste, stęsknione ramiona Jesse'ego i zwinie mu palec. Cały czas też pracowaliśmy nad tym, żeby doprowadzić do naszego spotkania, powoli, ale pewnie i bez komplikacji. Spędzałem z Pieserem sporo czasu. Nie prosił mnie o to, ale jakoś tak wychodziło, że jeździłem w kółko autobusem po jego trasie, dopóki mnie nie zabrał, albo jadłem u Bojangle'a, kiedy przychodził, żeby rzucić kurczęta cajun na swój owrzodzony ruszt. Pilnowałem, czy mu to nie przeszkadza, bo nie miałem ochoty go zrażać teraz, gdy poznałem majestat jego gniewu, ale jeśli chciał mnie odstraszyć, to jakoś się nie bałem.

Nie próbował mnie spławić nawet po paru dniach, kiedy zaczęły nas ścigać upiory zimnej, twardej ulicy. Nie wyłączając przypadku, gdy Dzwon powiedział:

- Widzę, że nie rozprawiasz już piesków. Zająłeś się chłopcami? Małe pedałki, co? Nazwiemy cię chyba Pedalerem. A może trzymasz go do osobistego użytku? Przerzuciłeś się na dzieciaki?

Zawsze uważałem, że ktoś kiedyś zabije Dzwona tylko po to, żeby go wygarbować i pokryć jego

skórą dach kabrioletu. Ale Pieser tylko machnął ręką i szedł dalej, gdy ja wykonywałem w stronę Dzwona różne świńskie gesty. Większość ludzi każe mi się zmyć, kiedy tylko ktoś zaczyna nadawać, że wolą małych chłopców, ale nie Pieser. Nie powiedział, że jesteśmy tylko przyjaciółmi ani że nic nas nie łączy. Nie kazał mi też spieprzać, co oznacza, że nie znalazłem się nagle w wodach Trójkąta Bermudzkiego z tyłkiem ściągniętym do kostek, co oznacza, że nie wstydził się pokazywać ze mną na ulicy.

Może dla was nie jest to sześciominutowy orgazm, ale dla mnie było jak chłodny powiew w sierpniu. Nie prosiłem go o to i nie wierzyłem, że potrwa długo, ale póki trwało, podobało mi się bardzo.

Spotkałem w końcu Jesse'ego H. Rozwiązanie było genialne, najlepsze, jakie w życiu wymyśliłem. Sam się zastanawiałem, dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej, tyle że jeszcze nigdy nie miałem Piesera powtarzającego jak papuga "Idiotyczny pomysł" przy każdej mojej propozycji. Niemal tonąłem w najjaśniejszym blasku swego promieniowania. To znaczy, chodziłem na prawie sto watów, zanim w końcu był zadowolony.

Najpierw sprawdzaliśmy, kto pilnuje ich dzieci, kiedy Jesse H. i pani Hunt wychodzą do miasta (dla Eleganckich Ludzi w G-boro oznacza to, że spacerują sobie deptakiem marząc, by znalazło się coś do zrobienia, a potem idą się wysikać w publicznej toalecie). Były dwie nastolatki, które za odpowiednią opłatą regularnie nie zwracały uwagi na ich bachory. Kiedy jednak obie panieny miały inne zajęcia, czyli zgodziły się, by za hamburgera i kino jakiś nie do końca rozpięty szczeniak pościskał je i przeleciał w bramie, dzwonili do Pogotowia Opieki Domowej Mamy Hubbard.

Z najwyższą ostrożnością wszedłem do szacownej instytucji Mamy Hubbard, udając załośnie niedojrzałego czternastolatka, wyspecjalizowanego w północno-zachodniej części miasta i dalej, w przedmieściach. Zajęło to tydzień, ale Pieser się nie spieszył. Rób wolno, ale pewnie, mówił. Jeśli działasz za szybko, ktoś zauważy błysk, spojrzysz w naszą stronę i załatwi nas samym patrzyeniem. Ten facet miał horyzontalny umysł.

Wreszcie nadeszła ta wspaniała noc, kiedy Huntowie wyszli się zabawić, a obie ich panieny były akurat ściskane w najbardziej przyjemny ze sposobów (a my mieliśmy świetny ubaw, namawiając dwóch szczeniaków, żeby załatwili to ściskanie akurat tej nocy). Wieści dotarły do pana i pani Hunt w ostatniej chwili, więc nie mieli wyjścia i musieli wezwać Mamę Hubbard. Czyż to nie cudowny zbieg okoliczności, że akurat pół godziny wcześniej zadzwonił słodki, mały Stevie Queen, czyli moi, informując, że jednak może tej nocy pilnować czyichś bachorów. Ein i ein jest zwei i oto wysiadałem z samochodu Mamy Hubbard przed drzwiami Jesse'ego Hunta, po czym nie tylko mogłem spojrzeć na wzniosłą twarz pana Federalnego, ale też zostałem pogłaskany przez panią Federalną. Następnie skorzystałem z przywileju przygotowania czegoś na kolację dla niegrzecznego Federata Juniora i wrzaskliwej Federatki, pięcio- i trzylatka, podczas gdy roczny Mikrofederal (jeszcze nie człowiek i jeśli mam sądzić po charakterze, nie pożyje dość długo, by się nim stać) oblał mi twarz kwasem moczowym podczas przewijania. Wszyscy świetnie się bawili.

Dzięki moim heroicznym wysiłkom wszystkie te małe kreatury znalazły się wcześniej w łóżkach, a ja, jako niezwykle czujna opiekunka, przeszukałem dom, czy nie ma w nim jakichś włamywaczy, zupełnie przypadkiem trafiając na nadzwyczaj użyteczne informacje o rym biuroszczurze, którego tajemne, wybrane imię miałem odgadnąć. Po pierwsze, zostawił włos w każdej szufladzie biurka, tak



że gdybym miał ochotę coś ukraść, wiedziałby o nielegalnej próbie dostępu. Stwierdziłem, że on i jego żona mają w łazience wszystko osobno, nawet pastę do zębów, chociaż używali tego samego gatunku. To on, nie ona, zajmował się działalnością profilaktyczną (i trzeba przyznać, jeśli się poznało ich dzieci, że słusznie się nią zajął). Nie był typem, który korzystałby z różnych maści czy rozkosznych zębowań. Wyłącznie regulaminowa rządowa produkcja z twardej jak beton gumy. Mój złośliwy umysł doszedł do wniosku, że w pościeli przeżywa tyle samo przyjemności co ja.

Zdobyłem najróżniejsze zabawne informacje, wyłącznie drobiazgi, wyłącznie najwyższej wagi. Nigdy nie wiem, które z trzymanyh nici połączą się gdzieś lumenami moich najjaśniejszych głębi. Ale też nigdy jeszcze nie miałem szansy spacerowania bez przeszkód po mieszkaniu osoby, której H-sła szukałem. Czytałem uwagi, jakie dzieci przynosiły ze szkoły, magazyny, które prenumerował, i coraz lepiej rozumiałem, że Jesse H. Hunt prawie nie stykał się ze swoją rodziną. Jak pajak wodny stał na powierzchni życia i nawet nie moczył stóp. Mógłby umrzeć i gdyby nikt nie potknął się o jego ciało, zauważyliby to dopiero po paru tygodniach. I to nie dlatego, że o nich nie dbał. Po prostu był bardzo, ale to bardzo staranny. Przyglądał się wszystkiemu, ale przez drugi koniec mikroskopu, więc większość spraw wydawała mu się mała i daleka. Pod koniec nocy byłem już bardzo smutnym małym chłopcem. Szepnąłem Mikrofederalowi, że Powinien ćwiczyć siusianie na twarze dorosłych, bo tylko wtedy jego tatuś może zwrócić na niego uwagę.

- A jeśli zechce odwiedzić cię do domu? - spytał mnie Pieser, a ja odpowiedziałem:

- Wykluczone, nikt tego nie robi.

Ale on i tak załatwił, żebym miał gdzie iść i oczywiście to on, a ja spudłowałem. Przejechałem się wozem biurasa, autentyczną amerykańską drogową salonką błyszczącą jak choinka, do domu na sprzedaż, gdzie czekała na mnie ponura Mama Prysycz. Kazała Huntowi odjechać zła, że wracam tak późno. Kiedy tylko drzwi się zamknęły, Mama Prysycz zaśmiała się i zachichotała, z pokoju wyszedł osobiście Pieser i powiedział:

- Mamo Prysycz, jesteś mi winna jedną przysługę mniej. A ona na to:

- Nie, chłopaczku, to ty jesteś mi winien jedną więcej.

I pocałowali się namiętnie, jeśli możecie w to uwierzyć. Wyobrażacie sobie, żeby ktoś kiedyś całował w ten sposób Mamę Prysycz? Pieser jest pełen niespodzianek.

- Znalazłeś wszystko, co chciałeś? - spytał.

- H-sła tańczą mi w głowie - mówię. - Jutro we śnie poznam to słowo.

- Trzymaj go i nic nie mów. Nie chcę go znać, póki nie będą miał palca.

Magiczny dzień oddalony był ledwie o parę godzin, gdyż dziewczyna - jej imienia nigdy nie poznałem i nie widziałem jej twarzy -właśnie jutro miała rzucić czar na pana Federalnego. Jak zauważył Pieser, to nie była sprawa na sexy bieliznę. Dziewczyna nie ubierała się dobrze i brakowało jej oglady, ale była dobrą sekretarką i przechodziła właśnie najtrudniejszy okres życia,

jako że wycięto jej macicę - biedne dziecko, tak właśnie powiedziała Federalnemu - i traciła własną kobiecość, a nigdy jeszcze naprawdę nie czuła się kobietą. A on był dla niej taki dobry, przez całe tygodnie był dla niej taki dobry. Pieser opowiadał mi później, jak Federalny zamknął na klucz drzwi gabinetu, tylko na parę minut, i tulił ją, i całował, żeby poczuła się kobietą. A kiedy tylko jego palce odcisnęły się na cieniutkiej warstwie elektryzowanego mikroplastiku, pokrywającego jej nagie plecy i piersi, zaczęła płakać. Powiedziała, że nie chce, by zdradzał dla niej żonę, że już dał jej cudowny prezent przez to, że był taki miły i pełen zrozumienia, że czuje się lepiej, gdy taki mężczyzna jak on potrafił jej dotykać, choć jest zdefeminizowana. I że ma teraz dość sił, by żyć dalej. Bardzo przekonujące i obliczone na to, żeby dostać jego ciepłe jeszcze odciski, a jednocześnie nie powodować wyrzutów sumienia, co mogłoby zmienić jego poglądy i podsunąć cały zestaw nowych H.

Palce odbiły się na mikrowarstwie pod różnymi kątami, więc Walker w ciągu jednej nocy wykonał model dla naszej wtyczki. Prawy wskazujący. Przyjrzałem mu się, chyba trochę sceptycznie, bo wątpliwości tańczyły już jak małe świetlne punkciki w najbardziej wewnętrznych partiach mózgu.

- Tylko jeden palec?

- Możemy strzelać tylko raz - wyjaśnił Pieser. - Jedna próba. - Jeśli się pomyli, jeśli pierwsze hasło jest błędne, mógłby spróbować drugi raz środkowym.

- Powiedz, mój wertykalny myślaku, czy twoim zdaniem Jesse H. Hunt jest biurakiem, który się myli?

Musiałem przyznać, że nie, a jednak wciąż miałem wątpliwości, a wszystkie odnosiły się do tego, że potrzebujemy drugiego palca. No cóż, jestem wertykalny, co oznacza, że widzę terażniejszość tak głęboko, jak tylko zechcę. Przyszłość jednak nie do mnie należy, que sera sera.

Z tego, co opowiedział mi Piesio, starałem się wyobrazić sobie reakcję pana Federalnego na to miękkie ciało, które ścisnął. Gdyby nie ograniczył się do uścisków, wpłynęłoby to pewnie na zmianę H-sła. Ale kiedy mu powiedziała, że nie chce, by zmieniał swe nienaruszalne zasady, umocnił się we własnej opinii o sobie jako najbardziej regularnym czy nawet regulaminowym facecie. Nie zmienił własnego obrazu i H-sło także pozostało bez zmian.

- Invictus-XYZrwr - podyktowałem Pieserowi, gdyż to było właśnie jego hasło. Nigdy jeszcze nie czułem takiej pewności.

- Skąd, do diabła, to wytrzasnąłeś? - zdziwił się.

- Pieser, gdybym wiedział, jak to robię, trafiałbym za każdym razem - tłumaczę. - Nie mam nawet pojęcia, czy biorę to z tego całego dobra w głowie, czy z zoologii. Wszystkie fakty spływają do środka, mieszają się i wyskakują jako tańczące hasła, małe kawałeczki H.

- Owszem, ale przecież nie wymyśliłeś tego tak sobie. Co to znaczy?

- Invictus to poemat w ramce za szkłem, który trzyma w szufladzie biurka. Prezent od mamusi, kiedy był jeszcze małym przyszłym Federalnym. XYZ on uważa za układ losowy, rwr był pierwszym

prezydentem USA, który wzbudził jego podziw. Nie mam pojęcia, czemu wybrał akurat takie słowa. Sześć tygodni temu miał inne H-sło z masą cyfr, za sześć tygodni zmieni je znowu, ale teraz...

- Sześćdziesiąt procent pewności? - pyta Pieser.

- Tym razem żadnych procentów. Nigdy przedtem nie pętałem się po łazience obiektu. To jest to albo możesz mi załatwić tykoamputację. W życiu nie byłem pewniejszy.

Teraz, kiedy znał już H-sło, jego wtyka zaczął codziennie nosić magiczny palec, czekając na moment, kiedy zostanie sam w gabinecie Federalnego. Założył już podstawowe zbiory, jak dla typowego wystawienia zielonej karty, i zakopał je gdzieś w swoim obszarze roboczym. Teraz musiał tylko wejść, wpisać się jako Hunt, i jeśli system uzna jego nazwisko, hasło i palec, wywołać te zbiory, zaakceptować i zniknąć w ciągu minuty. Ale ta minuta była niezbędna.

Aż nadszedł ów cudowny, czarodziejski dzień, kiedy ją otrzymał. Federalny miał spotkanie, sekretarka prysnęła wcześniej i nasz Wtyczka wkroczył niosąc absolutnie prawdziwą notkę do Hunta. Usiadł przed terminalem, wbił nazwisko, H-sło, przyłożył fałszywy palec - a maszyna rozsunęła swe piękne nogi i poprosiła pięknie, by w nią wszedł. Przerzucił pliki w ciągu czterdziestu sekund, przycisnął palec do każdej karty, po czym odłączył się i wyszedł. Żadnego znaku, żadnego krzyku, że coś się zgadza. Słodkie jak letni wieczór, gładkie jak lód. Pozostało nam tylko siedzieć grzecznie i czekać, aż karty przyjdą pocztą.

- Komu masz zamiar je opchnąć? - spytałem.

- Nikomu, dopóki nie będę ich trzymał w ręku - mówi. Bo Pieser jest ostrożny. To, co się stało, nie wynikało z braku ostrożności.

Codziennie obchodziliśmy dziesięć miejsc, do których miały spłynąć koperty. Wiedzieliśmy, że przez co najmniej tydzień nie ma na co czekać - na dobre czy złe, tryby rządowej maszyny kręciły się powoli. Codziennie sprawdzaliśmy u Wtyki, którego nazwiska i twarzy możecie się domyślić, choć na nic się to nie przyda, jako że z pewnością ma już inne. Za każdym razem mówił, że nic się nie dzieje i nie zmienia. I mówił prawdę, bo urząd trwał ponury i uroczysty, nie zdradzając się z niczym. Nawet Hunt nie wiedział, że coś się wydarzyło w jego małym królestwie.

Ale nawet bez żadnych sygnałów, które mógłbym pokazać palcem, byłem okropnie nerwowy, a nocami nie umiałem zasnąć.

- Chodzisz, jakbyś musiał biec do ubikacji - mówi mi Pieser i słusznie. Coś nie gra, powtarzam sobie, coś strasznie nie gra, ale nie mam pojęcia co, więc milczę albo okłamuję się i próbuję znaleźć powody.

- To moja wielka szansa - tłumaczę. - Być w dwudziestu p: centach bogatym.

- Bogatym - poprawia. - Nie tylko w jednej piątej.

- Więc ty będziesz bogaty podwójnie.

A on się uśmiecha, bo jest silnym, milczącym facetem.

- Właściwie dlaczego nie sprzedasz tylko dziewięciu? - pytam. - Zostaw sobie jedną. Będziesz miał szmal, żeby za to płacić, i zieloną kartą, żeby jeździć, gdzie ci przyjdzie ochota.

Ale on tylko się śmieje.

- Głuptas z ciebie, mój miły, ostrogłowy, światłomózgi, mały przyjacielu. Jeśli ktoś zobaczy takiego alfonsa jak ja, wsuwającego gdzieś zieloną kartę, zawiadomi kogo trzeba, bo od razu się zorientuje, że zaszła omyłka. Tacy jak ja nie dostają otwartych zielonych.

- Przecież nie będziesz się ubierał jak alfons ani mieszkał w hotelach alfonsów.

- Jestem szmatławym alfonsiem - tłumaczy mi. - Jakkolwiek bym się ubrał, będzie to właśnie strój alfonsa. Gdziekolwiek się zatrzymam, będzie to szmatławy hotel alfonsów, dopóki nie wyjadę.

- Być alfonsiem to nie choroba - nie ustępuję. - Nie tkwi w gonadach ani w genach. Gdyby twoim ojcem był Kroc, a mamą Iacocca, nie byłbyś alfonsiem.

- Akurat bym nie był - mówi. - Tyle że wysokiej klasy, jak mama i tata. Jak ci się zdaje, kto używa zielonych kart? Nie da się sprzedawać dziewic na ulicy.

Myślałem wtedy, że nie ma racji, i dalej tak uważam. Jeśli ktokolwiek mógłby przeskoczyć z dna na szczyt w ciągu tygodnia, to tylko Pieser. Potrafił być każdym i robić wszystko. No, prawie wszystko. Gdyby nie to "prawie", jego historia skończyłaby się inaczej. Ale to nie jego wina. Chyba że ma się pretensje do świń, że nie fruują. To ja jestem wertykalny, nie? Powinienem opowiedzieć o swoich podejrzeniach. Wtedy by nie pchnął tych kart.

Trzymałem je w dłoni tam, w jego pokoiku, kiedy rozsypał je na łóżku. Wszystkie dziesięć. Z radości podskakiwał tak wysoko, że stukał głową o sufit, aż płytki się trzęsły i sypały kurzem dookoła.

- Błysnąłem mu jedną, tylko jedną- krzyczy. - A on rzucił okrągły milion. Pytam: a jeśli dziesięć? Roześmiał się i kazał samemu wypisać czek.

- Powinniśmy je sprawdzić - mówię.

- Nie można ich sprawdzić. Jedyne sposob to użyć jednej, ale wtedy twoje odciski i twarz zostają na stałe w jej pamięci i nie damy rady jej sprzedać.

- Więc sprzedaj jedną i upewnij się, że jest czysta.

- Umowa jest na całość - wyjaśnia. - Jeśli sprzedam jedną, oni pomyślą, że mam więcej i trzymam, żeby podnieść cenę. Mogę nie "Ożyć wypłaty za pozostałe dziewięć. Mogę mieć wypadek i stracić te maluszki. Dziś wieczorem spuszczam wszystkie dziesięć i na zawsze wychodzę z biznesu zielonych kart.

Ale tej nocy bałem się bardziej niż zwykle. On wyszedł i sprzedaje zielone grupie miłych

dżentelmenów, znanych jako Organiczna Mafia, a ja leżę w jego łóżku, drżę i śnię mi się koszmary, bo wiem, że coś pójdzie absolutnie fatalnie, a ciągle nie wiem co i dlaczego. Boisz się, bo nic ci nigdy nie wyszło, nie możesz uwierzyć, że kiedykolwiek staniesz się bogaty i bezpieczny. Powtarzam to sobie bez przerwy, aż w końcu sam zaczynam wierzyć, że w to wierzę, ale nie do końca, nie naprawdę, więc znów drżę i wybucham płaczem. Moje ciało wciąż zachowuje się, jakbym miał dziewięć lat, a kanały łzowe dziewięciolatków są bardzo łatwo dostępne, bez żadnych haseł. A on wraca późno i myśli, że śpię, więc chodzi po cichutku zamiast skakać z radości, ale słyszę tę radość we wszystkich jego ruchach i wiem, że ma pieniądze złożone bezpiecznie w banku i kiedy pochyła się nade mną, żeby się upewnić, że zasnąłem, pytam:

- Możesz mi pożyczyć stówę?

Wtedy klepie mnie w ramię, śmieje się, śpiewa i tańczy, a ja próbuję się przyłączyć, naprawdę, wiem, że powinienem się cieszyć, ale w końcu on mówi:

- Zwyczajnie nie umiesz się z tym pogodzić, co? Nie dajesz rady? Wtedy płaczę na całego, a on obejmuje mnie ramieniem jak filmowy tatuś i klepie mnie po głowie.

- Znajdę sobie żonę - mówi. - Może nawet samą Mamę Pyszczy. Adoptujemy cię i będziemy mieli mały domek w Summerfield, i kosiarkę do trawy, i prawdziwy trawnik.

- Jestem starszy od ciebie i Mamy Pyszczy - wtrącam, ale on tylko się śmieje. Śmieje się i ściska mnie, aż wreszcie myśli, że mi przeszło.

- Nie wracaj do domu - prosi mnie wtedy, ale ja wiem, że muszę iść, bo zaraz znowu zacznę płakać, ze strachu albo co, a nie chcę, żeby pomyślał, że jego kuracja nie wystarczyła na długo.

- Nie, dzięki - mówię, ale on nie słucha.

- Zostań tu i płacz, ile ci się podoba, Dobry, ale nie wracaj dziś do domu. Nie chcę być sam i widzę, że ty też nie.

Więc spałem w jego łóżku, jak z bratem, a on szturchał mnie, szczypał, łaskotał i opowiadał świńskie dowcipy o swoich dziwkach. To była najlepsza, najbardziej naturalna noc w moim życiu, z prawdziwym przyjacielem. Wiem, że nie uwierzycie, obracając, śliniąc i obściskując te swoje brudne myśli. Nic się nie stało wtedy, bo nikt nie szukał przyjemności cudzym kosztem, po prostu Pieser był szczęśliwy i nie chciał, żebym się smucił.

A kiedy zasnął, strasznie chciałem wiedzieć, komu je sprzedał, żebym mógł zadzwonić i powiedzieć:

- Nie używajcie tych zielonych, bo nie są czyste. Nie wiem jak i dlaczego, ale federalni w tym siedzą. Jeśli wykorzystacie karty, przybiją wam paluchy do twarzy.

Tylko pewnie by mi nie uwierzyli. Byli ostrożni. Inaczej nie zajęłoby to tygodnia. Dali jedną kartę jakiemuś nic nie znaczącemu facetowi, żeby ją sprawdził. Nic się nie stało. Wtedy oddali je swoim siedmiu grubym rybom, trzymając dwie w rezerwie. Nawet Organiczna Mafia, Wszystkowidzące Oko, przepuściła te karty tak samo jak my.

Myślę, że Pieser był jednak trochę wertykalny. Chyba wiedział, że coś się tu nie zgadza, tak samo jak ja. Dlatego sprawdzał naszą wtyczkę - nie wierzył, żeby udało się tak łatwo. Dlatego nie wydał ani centa ze swojej działki. Siedzieliśmy spokojnie, jedliśmy te same świństwa co przedtem i płaciliśmy tym, co on zarobił na ulicy albo ja na jakiejś kasacji zapisu.

- Jedzenie ludzi bogatych ma swój smak - mówił.

A może nie był wertykalny, tylko myślał, że może jednak mam rację sądząc, że coś nie zagrało. Cokolwiek jednak myślał, był dla mnie coraz gorszy, aż pewnego dnia poszedł zobaczyć się z wtyczką i wtyczki nie było.

Facet zniknął. Na czysto. Jakby nigdy nie istniał. Jego mieszkanie było do wynajęcia, oczyszczone od podłogi po sufit. Dzwoniliśmy do urzędu. Powiedzieli, że wyjechał na urlop, co znaczyło, że go mają, że nie przeprowadził się zwyczajnie, korzystając ze zdobytego bogactwa. Staliśmy tam, w tych jego pustych pokojach, w brudnym, pustym mieszkaniu, i tak dziesięć razy lepszym niż cokolwiek, w czym w życiu mieszkaliśmy. I Piesio mówi do mnie spokojnie. Tak mówi:

- O co chodzi? Co źle zrobiłem? Myślałem, że jestem jak Hunt. Myślałem, że przy tej robocie nie zrobiłem żadnego błędu. Przy tej jednej robocie.

I to było to, wtedy do mnie dotarło. Nie przed tygodniem, kiedy miałoby jakieś znaczenie. Właśnie wtedy zrozumiałem ostatecznie, co zrobił Hunt. Jesse nigdy nie popełniał błędów. Ale był też paranoikiem i zostawiał włosy w szufladach, żeby sprawdzić, czy opiekun dzieci nie próbuje go okraść. Więc choć nigdy przypadkiem nie pomylił H-sła, robił to celowo.

- Powtarzał za każdym razem - mówię Piesowi. - Jest tak diabelnie ostrożny, że zawsze wybija złe hasło, a potem powtarza z drugim palcem.

- No więc raz trafia od pierwszej próby. I co z tego? - pyta, bo nie zna komputerów tak jak ja, sam w połowie ze szkła.

- System pamiętał ten wzorzec, to z tego. Jesse H. jest tak dokładny, że nigdy go nie zmieniał, więc kiedy my trafiliśmy za pierwszą próbą, zadziałał alarm. To moja wina, Pies. Wiedziałem, że to paranoiczny wariat. Wiedziałem, że coś nie gra, ale aż do teraz nie miałem pojęcia co. Powinienem się domyślić, kiedy trafiłem jego hasło. Powinienem. Przepraszam... lepiej by było, gdybyś znalazł do tej roboty kogoś innego. Gdybyś mnie słuchał, kiedy mówiłem, że coś nie gra. Powinienem się domyślić. Przepraszam.

Co ja zrobiłem Piesiowi, choć nigdy tego nie chciałem! Co ja mu zrobiłem! Cały czas mogłem na to wpaść, wszystko było w mojej małej, szklanej głowie, ale nie, nic nie wymyśliłem, aż zrobiło się za późno. Może dlatego, że naprawdę chciałem się mylić co do tych zielonych, ale jakkolwiek by na to spojrzeć zrobiłem to, co zrobiłem. Nie jestem biskupem na złotym tronie, a to oznacza, że nie mogę być sprytniejszy, niż jestem.

Od razu zatelefonował do tych panów z Ofermiastej Mafii, żeby ich uprzedzić, ale ja podłączyłem się

już do biblioteki i ssałem wiadomości najszybciej, jak mogłem. Wiedziałem więc, że to na nic, bo złapali wszystkie siedem grubych ryb i tego nieważnego faceta-sondę. Zamknęli ich mocno i szczelnie za nadużycie kart.

To, co powiedzieli przez telefon, wyjaśniło wiele spraw.

- Jesteśmy martwi - stwierdził Pieser.

- Daj im czas na uspokojenie - poradziłem.

- Nigdy się nie uspokoją - on na to. - Nie mamy szans. Nigdy nam nie darują, nawet jeśli dowiedzą się całej prawdy. Spójrz, komu dali te karty: największym facetom z pogranicza, takim, co przekupują prezydentów mniejszych państw, ściągają szmal od takich ośmiornic jak Shell czy ITT, a od czasu do czasu zabijają kogoś i wychodzą z tego czyści. A teraz siedzą w pudle, a w ich mózgach czeka cała historia gangu. Nikogo nie zainteresuje, czy tego chcieliśmy, czy nie. Gang cierpi, a jedyny sposób, jaki mają na cierpienie, to przerzucić je na kogoś innego. Czyli na nas. Chcą, żebyśmy cierpieli, naprawdę mocno i bardzo długo.

W życiu nie widziałem tak przerażonego Piesera. Tylko dlatego sami poszliśmy do federalnych. Nie chcieliśmy sypać, ale potrzebowaliśmy ich ochrony. To był jedyny powód. Zaproponowaliśmy, że powiemy, jak to zrobiliśmy. Nawet nie za immunitet, byle tylko zmienili nam bużki i wsadzili do jakiegoś spokojnego więzienia, gdzie moglibyśmy odpracować wyrok i wyjść żywi. Tyle tylko chcieliśmy. Ale federalni nas wyśmiali. Mieli naszą wtyczkę i on miał zostać uniewinniony za zeznania.

- Nie jesteście potrzebni - mówią. - Nie obchodzi nas, czy pójdziecie siedzieć, czy nie. Chcieliśmy dorwać te grube ryby.

- Jeśli nas puścicie - nie ustępuje Pieser - oni pomyślą, że ich wystawiliśmy.

- Rozbaw nas jeszcze trochę - proponuje federalny. - My mamy pracować z takimi łachami z ulicy? Oni wiedzą, że nie schylamy się tak nisko.

- Od nas kupowali - upiera się Pieser. - Dla nich byliśmy dobrzy, więc dla glin też jesteśmy dobrzy.

- Co ty na to? - pyta federalny swojego bliźniaczego asystenta. - Te wesołki proszą, żeby ich posadzić. Słuchajcie uważnie, chłopcy. A może nie mamy ochoty brać was na utrzymanie podatników? Pomyśleliście o tym? Poza tym, u nas byście tylko siedzieli, a tamci załatwią wam coś więcej, co nas nie będzie kosztować nawet dziesiątaka.

Co mogliśmy zrobić? Pies wyglądał, jakby ktoś właśnie odessał mu ze trzy litry krwi, taki był blady.

- Teraz się dowiemy, co znaczy umierać - powiedział, kiedy wychodziliśmy z urzędu.

- Piesiu - mówię. - Nie wsadzili ci jeszcze lufy w zęby, nie wbili noża w oko. Jeszcze oddychamy, mamy nogi, więc chodźmy stąd.

- Chodźmy! - powtarza. - Kiedy wychodzisz z G-boro, szklanogłowy, trafiasz między drzewa.
- To co? - pytam. - Mogę się podłączyć i ściągnąć wszystkie dane na temat życia w lesie. Tam jest dużo pustych terenów. Jak myślisz, gdzie rośnie marihuana?
- Jestem miejski chłopak - mówi. - Miejski chłopak. Staliśmy na ulicy przed urzędem. Rozglądał się dookoła.
- W mieście mam jakąś szansę. Znam miasto.
- Może w Nowym Jorku albo w Dallas - próbuję. - G-boro jest za małe, niecałe pół miliona ludzi. Nie dasz rady się tu zgubić.
- No, dobra - przerywa mi i stale się rozgląda. - Teraz to i tak nie ja sprawa, Dobry. Oni nie mają pretensji do ciebie, tylko do mnie.
- Ale to moja wina. Zostaję z tobą, żeby im to powiedzieć.
- Myślisz, że będą słuchać?
- Pozwolą się naszprycować gadaczem, więc będą wiedzieć, że mówię prawdę.
- To niczyja wina. Do ćwierćmetrowego fiuta, nie interesuje mnie, czyja. Jesteś czysty, ale jeśli będziesz się mnie trzymał, też wpadniesz w bagno. Nie potrzebuję ciebie ani ty mnie. Robota skończona. Załatwione. Spływaj.

Tego nie mogłem zrobić. Tak samo, jak on nie potrafił ciągle rozprowadzać piesków. Nie mogłem prysnąć, żeby on oberwał za mój błąd.

- Oni wiedzą, że byłem twoim H-manem - mówię. - Na mnie też zaczną polować.
- Może przez parę dni. Ale prześlesz swoją działkę na Warsztat Twarzy Bobby Joe'ego, żeby nie chcieli od ciebie forsy, potem przesiedzisz gdzieś spokojnie jakiś tydzień i zapomną.

Miał rację, ale nic mnie to nie obchodziło.

- Wszedłem w interes za dwadzieścia procent bogactwa, więc wchodzę na pięćdziesiąt procent kłopotów.

Wtedy nagle zobaczył to, czego szukał.

- Tam są, Dobry. Te chłopaki, których po mnie wysłali. W tym mercedesie.

Spojrzałem, ale widziałem tylko światła. Potem poczułem jego rękę na ramieniu. Pchnął mnie tak, że poleciałem z chodnika prosto w krzaki, a kiedy się wyczołgałem, Pies zniknął. Przez jakąś minutę trząsałem się, że oberwę w rym gąszczu, zanim zrozumiałem, że usunął mnie z drogi, żeby mnie nie zastrzelili, zadźgali czy przecięli laserem, cokolwiek planowali dla niego, żeby wyrównać rachunki.



Byłem bezpieczny, nie? Powiniennem przyskać, zmyć się z miasta. Nie musiałem nawet zwracać forsy. Miałem dość, żeby wyjechać z kraju i spędzić resztę życia tam, gdzie nawet Odmóżdżona Mafia by mnie nie znalazła.

Myślałem o tym. Spędziłem noc w budzie Mamy Pryszcz, wiedząc, że będą pilnować mojego mieszkania. Całą noc myślałem o miejscach, gdzie mógłbym pojechać. Australia. Nowa Zelandia. Czy nawet jakiś obcy kraj. Stać mnie było na dobry kryształ słownikowy, więc bez trudu złapałbym nowy język.

Ale rano nie byłem w stanie. Mama Pryszcz nie prosiła mnie właściwie, żebym został, ale wydawała się taka zmartwiona, a ja mogłem tylko powiedzieć, że pchnął mnie w krzaki i teraz nie wiem, gdzie jest. Kiwnęła głową i dalej szykowała śniadanie. Tylko ręce jej drżały ze zdenerwowania. Wiedziała, że Pieser nie ma najmniejszej szansy przeciw Ogłupionej Mafii.

- Przykro mi - mówię.

- Co możesz poradzić? Kiedy cię chcą, to cię biorą. Jeśli federalni nie dadzą ci nowej twarzy, nigdzie się nie ukryjesz.

- A jeśli go nie chcą? Zaśmiała się.

- Cała ulica zna tę historię. O aresztowaniach było w gazetach i teraz wszyscy wiedzą, że mocni faceci szukają Piesera. Chcą go tak mocno, że wszyscy to czują.

- A gdyby wiedzieli, że to nie jego wina? - pytam. - Gdyby ktoś im powiedział, że to wypadek? Pomyłka?

Mama Pryszcz patrzy na mnie z ukosa - niewielu ludzi potrafi zgadnąć, kiedy patrzy z ukosa, ale ja tak - i mówi:

- Tylko jeden chłopak może im to powiedzieć tak, żeby uwierzyli. - Wiem.

- I jeśli ten chłopak wejdzie i powie: wytłumaczę wam, czemu nie chcecie robić krzywdy mojemu przyjacielowi Pieserowi...

- Nikt nie twierdzi, że życie jest bezpieczne - mówię. - Zresztą, co mogą mi zrobić gorszego niż to, co mi się zdarzyło, kiedy miałem dziewięć lat?

Wtedy podeszła i położyła mi rękę na głowie. Nic więcej. Po prostu trzymała ją tam przez chwilę i wiedziałem, co muszę zrobić.

I zrobiłem to. Poszedłem do Grubego Jacka i powiedziałem, że chcę pogadać z Małym Miętą o Pieserze. W pół minuty wynieśli mnie w alejkę, wrzucili do samochodu i powieźli gdzieś z buźką wciśniętą w podłogę, żebym nie domyślił się, gdzie jadę. Durnie. Nie wiedzieli, że ktoś tak wertykalny jak ja potrafi podać liczbę obrotów każdego koła i wykreślić dokładną trajektorię każdego zakrętu. Mogłem im wyrysować mapę miejsca, do którego mnie zabrali. Tyle że gdyby się o tym dowiedzieli, nigdy bym stamtąd nie wyszedł. A była spora szansa, że skończę napompowany

gadaczem. Więc wykasowałem pamięć. I bardzo dobrze - to była pierwsza rzecz, o jaką mnie zapytali zaraz po zastrzyku.

Dali mi dawkę dla dorosłego, więc praktycznie opowiedziałem im całą historię swojego życia, przekazałem opinie na temat ich samych i wszystkich innych oraz całą resztę. Sesja trwała parę godzin, według mnie przez wieczność, ale w końcu wiedzieli, wiedzieli z całą pewnością, że Pieser grał z nimi czysto. Więc kiedy działanie gadacza mijało i zaczynałem rozumieć, co mówię, prosiłem ich, błagałem: dajcie mu żyć! Puśćcie go. Odda pieniądze, ja też oddam, tylko go zostawcie.

- Dobra - mówi ten facet. Nie uwierzyłem.

- Nie, naprawdę, wypuścimy go.

- Macie go tutaj?

- Przywieźliśmy go, zanim jeszcze się zjawiał. To nie było trudne, - I nie zabiliście go?

- Zabić? Musieliśmy najpierw odzyskać szmal, więc był nam potrzebny żywy aż do rana. A potem ty przyszedłeś i twoja historyjka zmieniła naszą opinię, naprawdę. Zrobiło nam się głupio i żal tego szmatławego alfonsa.

Przez parę sekund naprawdę wierzyłem, że wszystko będzie dobrze. Ale zaraz wiedziałem - z tego, jak na siebie patrzyli, co robili - wiedziałem tak samo, jak wiem, kiedy szukam hasła.

Wprowadzili Piesera i dali mi książkę. Pieser był bardzo spokojny, sztywny i zdawało się, że wcale mnie nie poznaje. Nie musiałem nawet patrzeć na tę książkę, żeby wiedzieć, co to jest. Oni wymontowali mu cały mózg i zastąpili go szkłem, tak jak mnie, tyle że poza granicę, daleko, bardzo daleko poza granicę. W jego głowie nie została ani odrobina Piesera, tylko to dobro i światłowody. Książka była instrukcją obsługi i pouczała, jak go programować i sterować.

Patrzyłem na niego i to był Pieser, ta sama twarz, te same włosy, wszystko. A potem się ruszał albo odzywał i był martwy, był kimś innym żyjącym w ciele Piesera.

- Dlaczego? - pytam ich. - Czemu zwyczajnie go nie zabiliście, zamiast robić coś takiego?

- Za duża sprawa - mówią. - Wszyscy w G-boro wiedzą, co się stało, wszyscy w kraju, na całym świecie. Nawet jeśli to pomyłka, nie możemy puścić tej historii. Żadnych pretensji, Dobry. On żyje. Ty też. I tak zostanie, pod warunkiem, że będziesz się stosował do kilku prostych reguł. On jest powyżej granicy, więc musi mieć właściciela. Ty nim będziesz. Możesz go wykorzystywać, jak zechcesz - wynajmować do magazynowania danych, wypożyczać jako męską dziwkę, wszystko jedno. Tyle że zostaje z tobą. Na zawsze. I codziennie ma spacerować po ulicy, tutaj, w G-boro, żebyśmy mogli przywozić ludzi i pokazywać, co spotyka facetów, którzy popełniają błędy. Możesz nawet zachować swoją działkę z zielonych, żebyś nie musiał kombinować, jeśli nie masz ochoty. Sam widzisz, jak cię lubimy, Dobry. Ale jeśli on wyjedzie z G-boro albo nie wyjdzie na spacer choćby przez jeden dzień, będzie ci bardzo przykro przez ostatnie sześć godzin życia. Zrozumiałeś?

Zrozumiałem. Zabrałem go ze sobą. Kupiłem mieszkanie, ciuchy i tak to leci od tego czasu. Dlatego

codziennie wychodzimy na ulicę. Przeczytałem całą instrukcję i wyszło mi, że może zostało gdzieś w środku z dziesięć procent Piesera. I ta część nie może się przebić na powierzchnię, nie umie mówić, ruszać się ani nic w tym rodzaju, nie jest zdolna do wspomnień ani świadomego myślenia. Może jednak włóczy się po wnętrzu tego, co kiedyś było jego głową, może czasem ogląda dane, zmagazynowane przez to całe dobro. Może pewnego dnia trafi nawet na tę historię i będzie wiedział, że próbowałem go ratować.

Na razie jednak to jest moja ostatnia wola i testament. Widzicie, robię różne badania na temat Orgiastycznej Mafii, tak że pewnego dnia będę wiedział dosyć, by sięgnąć do wnętrza systemu i rozmontować go. Rozmontować całość, żeby te sukinsyny straciły wszystko, tak jak wszystko odebrały Pieserowi. Problem w tym, że do pewnych miejsc nie można zajrzeć bez zostawiania śladów. Dobro to tylko dobro, zawsze to powtarzam. Dowiem się, że nie jestem taki świetny, jak mi się wydawało, kiedy pewnego dnia ktoś podejdzie i wepchnie mi twarz w gorącą stalową szczotę. Wtedy rozwalę sobie mózg. Ale jest jeszcze ten drobiazg, ukryty w paruset lokalizacjach w systemie. Trzy dni po tym, jak nie prześlę swojego kodu do pewnego programu w pewnym punkcie, cała historia wyjdzie na jaw. Fakt, że ją czytacie, oznacza, że jestem trupem.

Albo też, że im odpłaciłem i przestałem ją ukrywać, bo już mi nie zależy. Tak więc może to moja pieśń łabędzia, a może pieśń zwycięstwa. Tego się nie dowiedziecie, chłopcy.

Ale będziecie się zastanawiać. To dobrze. Będziecie o nas myśleć, kimkolwiek jesteście, myśleć o starym Dobrym Chłopcu i Pieserze, zgadywać, czy te kły, które rozdarły czaszkę Piesia i zmieniły go w przedmiot, zapłaciły za wszystko, aż do ostatniej odrobinki.

Tymczasem mam maszynę napchaną dobrem, której muszę pilnować. To tylko w dziesięciu procentach człowiek, ale w końcu sam nim jestem w czterdziestu procentach. Razem tworzymy połówkę. Ale tę połówkę, która się liczy. Połówkę, która wciąż czegoś chce. Dobro w jego głowie i dobro w mojej to tylko światłowodowy i elektryczność. Świetlne śmieci. Ale mnie pozostało parę pragnień i może Pieserowi też, choć pewnie jeszcze mniej. I dostaniemy to, czego chcemy. Każdy okruch. Każdą iskierkę. Możecie mi wierzyć.

## 4. STARAMY SIĘ TEGO NIE OKAZYWAĆ

Nie było kolejki. Hiram Cloward zwrócił na to uwagę stojącemu za ladą człowiekowi o wąskiej twarzy.

- Nie ma kolejki.

- To departament skarg. Jesteśmy dumni, że tak niewiele osób się skarży. - Człowiek o wąskiej twarzy uśmiechał się z wyższością, co Hiram irytowało. - Co się stało z pańskim telewizorem?

- Pokazuje tylko mydlane opery, to się stało. I jakieś kretyńskie horrory.

- No cóż... to sprawa programowania, proszę pana, a nie uszkodzenie mechaniczne.

- Jest mechaniczne. Nie mogę tego draństwa wyłączyć.

- Proszę podać nazwisko i numer ubezpieczenia.

- Hiram Cloward. 528-80-693883-7.

- Adres? -ARF-487-U7b.

- To dla osób samotnych. Dlatego nie może pan wyłączyć telewizora.

- Czy to znaczy, że nie mogę wyłączyć telewizora, bo nie jestem żonaty?

- Według autoryzowanych przez Kongres badań naukowych, prowadzonych w okresie trzech lat od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego, niezbędne jest, aby osoba mieszkająca samotnie miała przez cały czas zapewnione towarzystwo telewizora.

- Lubię samotność i ciszę.

- Ale Kongres wydał takie prawo, proszę pana, a nie możemy naruszać prawa...

- Czy mogę porozmawiać z kimś inteligentnym? Człowiek o wąskiej twarzy rozżołościł się chyba, gdyż uszy zapłonęły mu czerwienią. Ale natychmiast się opanował.

- Szczerze mówiąc - odparł spokojnym głosem - gdy ktokolwiek ze składających skargę staje się agresywny czy złośliwy, natychmiast kierujemy go do sekcji A6.

- A co tam jest? Pluton egzekucyjny?

- To za tymi drzwiami.

Hiram spojrział we wskazanym kierunku, na szklane drzwi na drugim końcu poczekalni. Za nimi był gabinet pełen wygodnych domowych sprzętów: kilka krzeseł, biurko... I mężczyzna tak wyzywająco nordycki, że nawet Hitler by go nie cierpiał.

- Dzień dobry - powiedział ciepło Aryjczyk.

- Cześć.

- Proszę usiąść.

Uprzejmość i ciepło wzbudzały w Hiramie jeszcze większą odrazę. Czyżby chcieli go przekonać, że wcale nie nadużywają jego cierpliwości?

- A więc nie podoba się panu coś w pańskim oprogramowaniu -stwierdził Aryjczyk.

- W waszym oprogramowaniu, chciał pan powiedzieć. Na pewno nie jest moje. Nie wiem, dlaczego Bell Television uważa, że ma prawo przez dwadzieścia cztery godziny na dobę narzucać mi swoje pomysły co do zabawy i rozrywki. W każdym razie ja mam tego dosyć. Już wcześniej było źle, ale przynajmniej miałem jakąś odmianę, a przez ostatnie dwa miesiące zostały tylko mydlanki i horrory.

- I dopiero po dwóch miesiącach pan to zauważył?

- Staralem się nie zwracać uwagi na telewizor. Lubię czytać. Może być pan pewien, że jeśli miałbym trochę więcej pieniędzy niż ta idiotycznie mała emerytura od waszego ukochanego rządu, zapłaciłbym za pokój bez telewizora i miałbym wreszcie trochę spokoju.

- Nie mogę nic poradzić na pańską sytuację finansową. A prawo jest prawem.

- Tyle tylko od pana usłyszę? Prawo? To samo mówił ten chuderlawy czubek na zewnątrz.

- Panie Cloward, patrząc w pańskie akta, rzeczywiście widzę, że opery mydlane i horrory nie są dla pana właściwym programem.

- Nie są właściwe dla nikogo, kto ma IQ powyżej ośmiu. Aryjczyk pokiwał głową.

- Uważa pan, że ludzie, którzy lubią opery mydlane i horrory, nie dorównują inteligencją ludziom, którzy ich nie lubią.

- Jasne. Mam doktorat z literatury, na litość boską! Aryjczyk był uosobieniem współczucia.

- Oczywiście, że nie lubi pan oper mydlanych! Jestem pewien, że to pomyłka. Staramy się nie robić pomyłek, ale jesteśmy tylko ludźmi. Z wyjątkiem komputerów, oczywiście.

To miał być żart, ale Hiram się nie roześmiał. Aryjczyk paplał o niczym, patrząc na zakryty przed Hiramem ekran monitora.

- Może i jesteśmy jedyną siecią telewizyjną w mieście, ale...

- Ale staracie się tego nie okazywać.

- Tak. No cóż, musiał pan słyszeć nasze reklamy.

- Nieustannie.

- Zobaczmy. Hiram Cloward. Doktorat, Uniwersytet Nebraska 1981. Literatura angielska dwudziestego wieku i literatura rosyjska. Praca magisterska o wpływie Dostojewskiego na pisarzy anglojęzycznych. Prawie doskonały indeks obecności studentów na zajęciach, reputacja człowieka aroganckiego, lecz kompetentnego.

- Jak dużo w ogóle o mnie wiecie?

- Tylko standardowe dane badawcze konsumenta. Ale istotnie mamy pewien problem.

Hiram czekał, ale Aryjczyk wcisnął tylko klawisz, odchylił się i popatrzył na niego. Oczy miał łagodne, ciepłe, skupione. Hiram poczuł się nieswojo.

- Panie Cloward... - Tak?

- Jest pan bezrobotny.

- Nie z własnej woli.

-Niewielu ludzi jest bezrobotnych z własnej woli, panie Cloward. Nie ma pan pracy. Nie ma pan także rodziny. Nie ma pan przyjaciół.

- To są badania rynku? A co, tylko ludzie z przyjaciółmi kupują ryżowe chrupki?

- Jeśli już o tym mowa, chrupki ryżowe preferują ludzie samotni. Musimy wiedzieć, kto najprawdopodobniej będzie reagował na reklamę i zgodnie z tym układamy nasze programy.

Hiram przypomniał sobie, że prawie codziennie jada na śniadanie ryżowe chrupki. Poprzysiągł sobie, że przeczuci się na coś innego. Na owsiankę, na przykład. Na pewno jest bardziej towarzyska.

- Rozumie pan wagę ustawy o selektywnym doborze programów z roku osiemdziesiątego piątego, prawda?

- Tak.

- Sąd Najwyższy uznał, że to niesprawiedliwe, żeby wszystkie programy były kierowane do większości, przez co mniejszości są pokrzywdzone. Tak więc Bell Television uzyskał zamówienie na

przygotowanie indywidualnie dobieranego systemu nadawania, tak aby każdy uczestnik we własnym domu odbierał programy dla niego idealne.

- Wiem o tym wszystkim.

- Muszę jednak jeszcze raz panu przypomnieć, panie Cloward, ponieważ chcę pomóc panu zrozumieć, dlaczego nie możemy zmienić pańskiego programowania.

Hiram zeszywniał na krześle i zacisnął palce.

- Wiedziałem, że niczego nie zmienicie, dranie.

- Panie Cloward, my, dranie, z radością zmienilibyśmy pański program. Ale jesteśmy ściśle kierowani przez rząd i mamy obowiązek każdemu amerykańskiemu obywatelowi zapewnić najzdrowsze dla niego programy. A teraz, pozwoli pan, wrócę do wywiadu.

- A ja wrócę do domu, jeśli to panu nie przeszkadza.

- Panie Cloward, jesteśmy skłonni przygotować program dla mniejszości tak niewielkich, jak dziesięć tysięcy ludzi, ale nie mniej. Nawet dla dziesięciotysięcznych grup programowanie jest niesamowicie kosztowne. Produkcja wzrokominuty programu, oglądanego przez tak niewielką grupę, kosztuje o wiele więcej niż tego, który ogląda trzydzieści czy czterdzieści milionów osób. Jednak pan należy do mniejszości o wiele mniej licznej niż dziesięć tysięcy.

- Czuję się wyjątkowy.

- Co więcej, ustawa o ochronie konsumenta programów z sześćdziesiątego dziewiątego roku oraz zarządzenia konsumenckiej agencji telewizyjnej wytyczają nam bardzo ściśle tory działania. Panie Cloward, nie możemy pokazać panu programu, w którym występują akty przemocy.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ ma pan skłonność do agresji, którą oglądanie przemocy tylko podwyższy. Podobnie nie możemy pozwolić panu na oglądanie programu erotycznego.

Cloward zaczerwienił się.

- Nie ma pan żadnego życia seksualnego, panie Cloward. Czy zdaje sobie pan sprawę, jakie to niebezpieczne? Nawet się pan nie masturbuje. Pańskie wewnętrzne napięcia i stresy muszą być gigantyczne.

Cloward poderwał się na nogi. Są pewne granice tego, co człowiek może znieść spokojnie. Ruszył do drzwi.

- Przepraszam pana, panie Cloward. - Aryjczyk ruszył za nim. - Nie wymyślam sobie tego. Nie chciałby pan raczej wiedzieć, dlaczego zapadają takie decyzje?

Hiram zatrzymał się z ręką na klawiszu. Aryjczyk miał rację. Lepiej wiedzieć dlaczego, niż ich za to nienawidzić.

- Jak? - spytał Hiram. - W jaki sposób wiedzą, co robię, a czego nie robię w swoim domu?

- Nie wiemy, oczywiście, ale jesteśmy niemal pewni. Studiujemy ludzi od lat i wiemy, że ci, którzy realizują pewien wzorzec zakupów, pewien wzorzec życia, zachowują się w ten właśnie sposób. Niestety, ma pan bardzo silne skłonności destrukcyjne. Tłumienie i odmowa to pańskie główne sposoby reakcji na stres. Czasami także wybuch.

- Co to właściwie znaczy, do diabła?

- To znaczy, że okłamuje pan siebie, a gdy już nie pan dłużej może, wtedy zwraca się pan przeciwko sobie.

Hiram czuł żar na twarzy i pulsowanie w skroniach. Muszę wyglądać jak pomidor, pomyślał i z wysiłkiem się uspokoił. Nie obchodzi mnie to, stwierdził. I tak nie mają racji. Durne naukowe testy. .

- Czy nie ma żadnych filmów, które moglibyście mi zaprogramować?

- Przykro mi, ale nie.

- Nie we wszystkich filmach występuje seks i przemoc. Aryjczyk uśmiechnął się łagodnie.

- Te, w których nie występują, i tak by pana nie zaciekały.

- Więc wyłączcie to draństwo i pozwólcie mi czytać!

- Tego nie możemy zrobić.

- Nie możecie tego wyłączyć? - Nie.

- Rzygam już, słysząc o Sarze Wynn i jej cholernym życiu uczuciowym!

- A czy Sara Wynn nie jest atrakcyjna? - zapytał Aryjczyk. Hiram znieruchomiał. Czasami śnił o Sarze Wynn. Milczał. Nic

go w Sarze Wynn nie pociągało.

- Jest, prawda? - naciskał Aryjczyk. - Kto jest kim?

- Sara Wynn.

- A kto tu mówi o Sarze Wynn? A co z filmami dokumentalnymi?

- Panie Cloward, byłby pan wyjątkowo agresywny, gdybyśmy nadawali do pana wiadomości. Sam pan wie.



- Walter Cronkite już nie żyje. Może teraz by mi się bardziej podobało.

- Pana nie obchodzą wiadomości z prawdziwego świata, panie Cloward, prawda?

-Nie.

- Więc sam pan widzi, jak to wygląda. Ani sekunda naszych programów nie jest dla pana odpowiednia. Ale dziewięćdziesiąt procent jest dla pana wręcz szkodliwe. Nie możemy jednak wyłączyć telewizora ze względu na ustawę o samotności. Rozumie pan nasz problem?

- A pan rozumie mój?

- Oczywiście, panie Cloward. I bardzo panu współczuję. Proszę znaleźć jakichś przyjaciół, panie Cloward, a wyłączymy panu telewizor.

Spotkanie dobiegło końca.

Przez dwa dni Cloward chodził smętny. Przez cały ten czas Sara Wynn rozpaczała po swoim trzydniowym małżonku, który zginął w wypadku samochodowym przy Wiltshire Boulevard, gdziekolwiek by to było. Ale teraz, kiedy ciało już wystygło, jej dawni konkurenci ofiarowywali się z pomocą, próbowali dać swą miłość.

- Czy nie możesz uzależnić się ode mnie, choćby trochę? - pytał Teddy, ten przystojny i bogaty.

- Nie lubię być zależna od ludzi - odparła Sara.

- Byłaś zależna od George'a. - George to mąż, ten co zginął.

- Wiem - powiedziała i zapłakała. Płacz rzeczywiście dobrze jej wychodził.

Hiram Cloward odwrócił kolejną kartkę Braci Karamazow.

- Potrzebujesz przyjaciół - nalegał Teddy.

- Och, Teddy, wiem o tym - odparła szlochając. - Będziesz moim przyjacielem?

- Kto pisze te bzdury? - zapytał na głos Hiram Cloward. Może Aryjczyk w biurze stacji telewizyjnej miał rację? Znajdź przyjaciół. Niech wyłączą ten cholerny telewizor, niezależnie od kosztów.

Wstał i wyszedł na korytarz budynku. Na ścianach wywieszono kilka ogłoszeń:

Kółko szachowe 17-21 środy.

Grupy zapoznawcze codziennie o 19.

Robótki ręczne 18.30 (przynies włóczkę i druty).

Gry, gry i gry w pokoju gier (w piwnicy).

## Chcesz porozmawiać? Przyjaciele Rodziny

codziennie od 19.30 do 22.30

Przyjaciele Rodziny? Hiram parsknął. Rodzina to jego płaczliwa matka i jej bezustanny szloch rozpaczy nad życiem, które było dla niej takie trudne. Narzekała nieustannie, że nikt przy zdrowych zmysłach nie urodziłby się kobietą, gdyby tylko miał jakiś wybór. Ale nie było żadnego wyboru. Małżeństwo to tylko pułapka, jaką mężczyźni zastawiają na kobiety, dając im parę minut rozkoszy za całe życie harówki. Klnę się na Boga, że gdyby nie mój mały Hiramek, rzuciłabym drania na dobre. To dla ciebie zostanę, mój malutki, ponieważ gdybym odeszła, wyrósłbyś na takiego drania jak ten twój ojciec z brzuchem wielkim od piwa.

A przyjaciele? Jacy przyjaciele mogli się zjawić, gdy dobry tatuś pił wódę i bił pasem każdego, kogo tylko złapał?

Czytam. To właśnie robię. Książę i żebrak, Jankes na dworze króla Artura, Duma i uprzedzenie. Światy w światach, wszystkie takie śliczne, eleganckie i zabawne jak diabli.

Przyjaciele Rodziny... Może warto spróbować.

Hiram dotarł do windy i zjechał osiemnaście pięter w dół, na poziom rozrywkowy. Przyjaciół Rodziny znalazł w całkiem sporym pomieszczeniu z alkoholem po jednej stronie i z wodą sodową po drugiej. Zdziwił się, że powróciła nazwa "woda sodowa". Podeszedł do stołu i poprosił kobietę o coca-colę.

- Ile filiżanek kawy dziś pan wypił? - spytała. - Trzy.

- Przykro mi, ale nie mogę panu podać napoju z kofeiną. Mogę zaproponować sprite'a?

- Nie może pani - odparł Hiram, zaciskając zęby. - Za bardzo nas niańczą.

- Tak samo uważam - odezwała się kobieta ze sprite'em w ręku. - Chronią nas, chronią i chronią, i na co to wszystko? Ludzie i tak umierają.

- Podejrzywałem to - odparł Hiram, uśmiechając się z wysiłkiem. Nie był pewien, czy jego żart wyda się zabawny, czy tylko sarkastyczny. Chyba zabawny. Kobieta roześmiała się.

- Zabawny pan jest - powiedziała. - Czym się pan zajmuje? ·

- Byłem kiedyś wykładowcą literatury w Princeton.

- Ale jak może pan mieszkać tutaj i pracować tam? Wzruszył ramionami.

- Nie pracuję tam. Powiedziałem: byłem. Kiedy wprowadzili te nowe wykłady przez telewizję, miałem za mało studentów. Nie jestem osobowością telewizyjną.

- Niewielu z nas jest - odpowiedziała z mądrą miną. Kiwnęła głową i uśmiechnęła się. - Och, tęsknię

za dawnymi czasami. Kiedy brzydcy mężczyźni, tacy jak David Brinkley, mogli czytać wiadomości.

- Pamięta pani Brinkleya?

- Szczerze mówiąc, nie - odparła ze śmiechem. - Matka mi o nim opowiadała.

Hiram przyjrzał się jej z uznaniem. Nos niezbyt prosty, rzeczywiście, ale to chyba jedyne, co by jej przeszkadzało w telewizji. Miły głos. Ładna twarz. Ciało.

Położyła dłoń na jego udzie.

- Co dzisiaj robisz? - spytała.

- Oglądam telewizję- skrzywił się.

- Naprawdę? A co masz?

- Sarę Wynn. Pisnęła z radości.

- To cudownie! Musimy być pokrewnymi duszami! Ja też mam

Sara Wynn!

Hiram spróbował się uśmiechnąć.

- Czy mogę wstąpić do twojego mieszkania?

Sygnal zagrożenia. Dłoń na udzie. Zaproszenie do mieszkania. Seks. -Nie.

- Dlaczego nie?

Hiram przypomniał sobie, że aby pozbyć się telewizji, musi wykazać, że nie jest samotny. A ułożenie sobie życia seksualnego... to znaczy rozpoczęcie życia seksualnego, na pewno pozwoli na zmianę tych przeklętych profili.

- Chodźmy - powiedział i bez większych ceregieli zostawił Przyjaciół Rodziny.

W mieszkaniu natychmiast zdjęła buty, bluzkę i usiadła na staromodnej sofie przed telewizorem.

- Ojej - powiedziała. - Tyle książek. Naprawdę jesteś profesorem, co?

- Owszem - przyznał, wyczuwając, że następny ruch należy do niego. Tyle że nie miał pojęcia, co właściwie powinien zrobić.

Przypomniał sobie swoją jedyną niezręczną próbę seksu, kiedy miał (ile) trzynaście? (nie) czternaście lat, a dziewczyna piętnaście i robiła to dla kawału. Poszła z nim wzdłuż koryta strumienia (wtedy były jeszcze strumienie i otwarty teren), nagle zatrzymała się i odpięła mu spodnie (wtedy były jeszcze zaniki błyskawiczne), ale skończył, zanim ona jeszcze porządnie zaczęła. Więc

zrezygnowała niechętnie, zabrała jego spodnie i uciekła. Miała na imię Diana. Wrócił do domu bez spodni i nie potrafił sensownie wyjaśnić tego matce. Matka przyjęła go ze wzdrgnięciem i przez długie lata powracała do tego tematu, powtarzając, że mężczyzna zawsze pozostaje mężczyzną i choćby nie wiadomo jak go traktować, zależy mu tylko na jednym, a o biedną dziewczynę w ogóle nie dba. Ale Hiram przyzwyczyił się do takich rozmów i słowa spływały po nim jak woda. Wspominał tylko nieopanowane drżenie ciała, ekstazę, a potem wyraz niesmaku na twarzy dziewczyny. Pomyślał, że to dlatego... mniejsza z tym.

Mniejsza z tym, więcej o tym nie będę myślał.

- No chodź - powiedziała kobieta.

- Jak ci na imię? - zapytał Hiram. Spojrzała w sufit.

- Agnes, na miłość boską. No chodź.

Pomyślał, że zdjęcie koszuli może być niezłym początkiem. Przyglądała mu się przez chwilę, a potem próbowała pomóc.

- Nie - powiedział. - Co?

- Nie dotykaj mnie.

- Co z tobą, na miłość boską? Jesteś impotentem?

Nie. Wcale nie. Po prostu go to nie interesuje. A co, nie wolno?

- Posłuchaj: nie mam ochoty na zabawę z psycholem. Mam inne sprawy do załatwienia. Biorę stówę za numer. Standardowy, jasne?

Standardowe co? Hiram pokiwał głową, ponieważ nie śmiał spytać, o czym ona mówi.

- Ale ty najwyraźniej, Bóg wie w jaki sposób, chłopie, nie masz pojęcia, co się dzieje na świecie. Dwadzieścia dolców. Wystarczy za te dziesięć minut, które mi wyrwałeś. Zgoda?

- Nie mam dwudziestu dolców - oświadczył Hiram. Jej oczy spochmurniały.

- Niech to richo porwie. Ale trafiłam. Słuchaj chłopie, następnym razem, gdy zechcesz poderwać panienkę, najpierw się zastanów, co chcesz z nią robić. Dobra?

Zabrała buty i bluzkę, i wyszła. Hiram został sam.

- Nie, Teddy - powiedziała Sara Wynn.

- Ale jesteś mi potrzebna. Rozpaczliwie potrzebna – zapewniał Teddy na ekranie.

- Minęło dopiero kilka dni. Jak mogę iść do łóżka z innym mężczyzną kilka dni po śmierci George'a?

Ledwie cztery dni temu, razem z... nie, Teddy. Proszę.

- Więc kiedy? Jak długo? Tak bardzo cię Kocham.

Śmiecie, uznała analityczna część umysłu Hiram, w oczywisty sposób oparte na historii Penelopy. Bez wątplenia jej George, jej Odyseusz powróci, cudownie ożywiony, gotów porwać ją znowu w małżeńską rozkosz. Ale, jak na razie, są zalotnicy: wystarczająca ich liczba, żeby sprzedać piętnaście tysięcy samochodów, sto tysięcy pudełek podpasek i czterysta tysięcy paczek ryżowych chrupek.

Jednak nieanalityczna część mózgu zupełnie nie przejmowała się Penelopą. Nie wiedział dlaczego, ale zaciskał i rozprostowywał palce. Nie wiedział, dlaczego cały drżał. Nie wiedział, dlaczego osunął się na kolana przy sofie, ścisnął Zbrodnię i karę, a oczy próbowały płakać, lecz nie potrafiły.

Sara Wynn płakała.

Ale ona łatwo płacze, pomyślał Hiram. To nieuczciwe, że ona tak łatwo potrafi płakać. Tkaj len, Penelopo.

Zadzwonił budzik, ale Hiram już nie spał. Przy łóżku telewizor śpiewał o mydełku Dove z lanoliną. Produkty się nie zmieniają, myślał Hiram. Nigdy się nie zmieniają. Reklamowali Dove z lanoliną na takich małych straganach wokół krzyża, na którym Jezus wykrwawił się na śmierć. Był tego pewien. Dla delikatnej skóry.

Wstał, ubrał się i usiłował czytać, nie mogąc sobie przypomnieć, co zdarzyło się zeszłej nocy i dlaczego jest taki rozdrażniony i nerwowy. Nie potrafił. W końcu postanowił wrócić do Aryjczyka w biurze Bell Television.

- Pan Cloward - powitał go Aryjczyk.

- Jest pan psychiatrą, prawda? - spytał go Hiram.

- Nie, panie Cloward, jestem przedstawicielem biura skarg poziomemu A6 w Bell Television. Co mogę, dla pana zrobić?

- Nie mogę już wytrzymać z Sara Wynn - odparł Hiram.

- To fatalnie. Mniej więcej za dwa tygodnie wszystko jej się zacznie lepiej układać.

Wbrew sobie, Hiram miał ochotę spytać, co się stanie. To nieuczciwe, że ten nordycki nadczłowiek na długie tygodnie przede mną wie, co robi mała Sara. Zwalczył jednak to uczucie, zawstydzony, że dał się wciągnąć głupiej mydlance.

- Proszę mi pomóc.

- Jak mam panu pomóc?

- Może pan zmienić moje życie. Może pan usunąć z mojego mieszkania telewizor.

- Ależ dlaczego, panie Cloward? - spytał Aryjczyk. - Przecież to w życiu jedyna rzecz, która jest absolutnie za darmo. Tyle że musi pan oglądać reklamy. A wie pan równie dobrze jak ja, że reklamy są zabawne. Nie uwierzy pan, ale są nawet ludzie, którzy podwajają czas reklam w swoich osobistych programach. Dostajemy dziennie tysiące próśb o ostatni filmik McDonalda. Nie ma pan nawet pojęcia.

- Mam doskonałe pojęcie. Chcę czytać. Chcę być sam.

- Wręcz przeciwnie, panie Cloward, marzy pan, żeby nie być samotnym. Rozpaczliwie potrzebuje pan przyjaciela.

Gniew.

- A skąd jest pan taki cholernie pewien?

- Ponieważ, panie Cloward, pańskie reakcje są całkowicie typowe dla pańskiej grupy. To grupa, o którą bardzo się martwimy. Nie dysponujemy budżetem, żeby specjalnie dla was opracować program. Jest was tylko dwa tysiące w całym kraju. Zresztą budżet niewiele by tu pomógł, bo nie wiemy, jakich programów tak naprawdę chcecie.

- Nie należę do żadnej grupy.

- Należy pan do niej tak bardzo, że można by pana nazwać typowym. Dominująca matka, nieobecny lub wrogi ojciec, żadnych długoterminowych związków. Żadnego życia seksualnego.

- Mam życie seksualne.

- Jeżeli istotnie próbował pan podjąć aktywność seksualną, to z pewnością z prostytutką, a ona oczekiwała od pana zbytniego wyrafinowania. Łatwo pana zawstydzić, nie mógł pan sobie z tym poradzić, a zatem do stosunku nie doszło. Zgadza się?

- Kim pan jest?! Co pan chce ze mną zrobić?!

- Jestem psychoanalitykiem, oczywiście. Każdy, czyjej skargi nie potrafi załatwić nasza biurokratyczna figura w pierwszym pokoju, potrzebuje pomocy, a nie innego biurokraty. Chcę panu pomóc. Jestem pańskim przyjacielem.

Nagle gniew został zastąpiony przez całkowicie bzdurną wizję nordyckiego nadcześniaka, który chce pomóc małemu Hiramowi Clowardowi. Bezrobotny profesor roześmiał się głośno.

- Humor! Bardzo zdrowo! - pochwalił go Aryjczyk".

- O co tu chodzi? Myślałem, że psychiatrzy powinni być subtelni.

- Wobec pewnych ludzi, zwłaszcza typów paranoidalnych, którym pan nie jest, i schizoidalnych, którym także pan nie jest.

- A czym jestem?

- Powiedziałem panu. Strategia odmowy i represji. Bardzo niezdrowe. Niezdolny do działania, jeszcze mniej zdrowe. Ale jest pan wyjątkowo inteligentny, pod wieloma względami uzdolniony. Osobiście uważam za skandal, że nie może pan uczyć.

- Jestem świetnym nauczycielem.

- Testy ze studentami wykazały, że wyjątkowo silnie podkreśla pan wszystko, co ezoteryczne. Tylko ludzie podobni do pana lubiliby wykłady takiej osoby, jak pan. A nie ma wielu takich ludzi. Nie pasuje pan do typowych kategorii.

- Dlatego jestem prześladowany.

- Niech pan nie próbuje udawać paranoika. - Aryjczyk uśmiechnął się.

Hiram odpowiedział uśmiechem. To szaleństwo. Lewisie Carrollu, gdzie jesteś, kiedy naprawdę cię potrzebuję?

- Jeśli jest pan psychiatrą, to powinienem swobodnie z panem rozmawiać.

- Jeśli tylko pan chce.

- Nie chcę.

- A dlaczego?

- Dlatego, że jest pan tak cholernie doskonałym Aryjczykiem. Aryjczyk pochylił się z zaciekawieniem.

- Czy to panu przeszkadza?

- Mam ochotę się wyrzygać.

- Dlaczego?

Zaciekawiony wzrok był zbyt czujny, zbyt zachwycony. Hiram nie mógł się oprzeć.

- Nic pan nie wie o moich przeżyciach z czasów wojny, nie mylą się, prawda?

- Jakiej wojny? Nie mieliśmy ostatnio żadnej...

- Byłem jeszcze bardzo mały. W Niemczech. Wie pan, moi rodzice nie są moimi prawdziwymi rodzicami. Pracowali w Niemczech w ambasadzie amerykańskiej. W Berlinie, w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, zanim wybuchła wojna. Moi prawdziwi rodzice też tam byli: niemieccy Żydzi albo na wpół Żydzi. Prawdziwy ojciec, dajmy temu spokój, nie potrzebuje pan pełnej genealogii. Powiedzmy tyle, że miałem dopiero jedenaście dni, gdy zdążyli mnie zarejestrować i mój żydowski

ojciec zabrał mnie do swojego przyjaciela, pana Clowarda z ambasady amerykańskiej, którego żona niedawno poroniła. "Weź moje dziecko", powiedział ojciec. "Dlaczego?", spytał Cloward. "Ponieważ mamy z żoną doskonały, całkowicie pewny plan zamordowania Hitlera. Tyle że w żaden sposób nie zdołamy tego przeżyć". I tak Cloward, mój adoptowany ojciec, wziął mnie na wychowanie. A następnego dnia przeczytał w gazecie, że moi rodzice zginęli w "wypadku" na ulicy. Zbadał tę sprawę i odkrył, że całkiem przypadkiem, kiedy wprowadzali w życie swój doskonały plan, jakieś brunatne koszule zauważyły ich na ulicy. Ktoś krzyknął, że to Żydzi. Młodzi nudzili się i dlatego zaatakowali. Naturalnie nie mieli pojęcia, że ratują życie Hitlerowi. Ci nordyccy nadludzie zaczęli bić moją matkę i zmusili ojca, by patrzył, jak rozbierają ją i gwałcą, a potem rozpruwają brzuch. Na ojcu potem eksperymentowano najnowszy model zgniatacza jąder. W końcu z bólu odgryzł sobie język i wykrwawił się na śmierć. Nie lubię nordyckich typów.

Hiram usiadł. Oczy miał pełne łez i żalu. Uświadomił sobie, że rzeczywiście potrafi płakać - nie za wiele, ale dawało to nadzieję, i

- Panie Cloward - powiedział Aryjczyk. - Urodził się pan w Missouri w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku. Pańscy zarejestrowani rodzice są naturalnymi rodzicami.

Hiram uśmiechnął się.

- Ale to była wściekle freudowska fantazja, prawda? Zgwałcona matka, wykastrowany ojciec, pozbawiony dziedzictwa i tak dalej...

Aryjczyk uśmiechnął się.

- Powinien pan być pisarzem, panie Cloward.

- Wolę czytać. Proszę, pozwólcie mi czytać.

- Nie mogę zabronić panu czytania.

- Wyłączcie Sarę Wynn. Wyłączcie te posiadłości, skąd młode dziewczyny uciekają przed groźbą małżeństwa z mężczyzną, który okazuje się przyjazny i kochający. Wyłączcie reklamówki samochodów i prezerwatyw.

- I zostawić pana samego, żeby zatopił się pan w kataleptycznych fantazjach pośród przytłaczających, posępnych rosyjskich powieści?

Hiram pokręcił głową. Czyżbym zebrał?, zastanowił się. Tak,

zdecydował.

- Błagam. Moje rosyjskie powieści nie są przytłaczające ani posępne. Są zachwycające, pobudzające, wspaniałe.

- To jeden z objawów pańskiej choroby, panie Cloward. Pragnie pan być przytłoczony.



- Za każdym razem, kiedy czytam Dostojewskiego, czuję się

spełniony.

- Po dwadzieścia razy przeczytał pan wszystkie teksty Dostojewskiego. I dziesięć razy wszystko Tolstoja.

- Za każdym razem, kiedy czytam Dostojewskiego, to jest pierwszy raz!

- Nie możemy zostawić pana samego.

- Zabiję się! - krzyknął Hiram. - Nie potrafię tak dłużej żyć!

- Więc niech się pan z kimś zaprzyjaźni - odparł z prostotą Aryjczyk.

Hiram dyszał ciężko, próbując zapanować nad wściekłością. To się nie zdarzyło. Nie jestem zły. Odsuń to, schowaj, opanuj się, uśmiechnij. Uśmiechnij się do Aryjczyka.

- Jest pan moim przyjacielem, tak? - spytał Hiram.

- Jeśli mi pan pozwoli - odparł Aryjczyk.

- Pozwolę panu - powiedział Hiram. Po czym wstał i wyszedł z gabinetu.

W drodze do domu minął kościół. Często go widywał. Co prawda religia nie bardzo go interesowała - jak na jego gust, została zbyt dokładnie przeanalizowana w powieściach. To co żyło jeszcze po Twainie, zwiędło po Dostojewskim i zginęło po Pasternaku. Ale matka Hirama była szczerą prezbiterianką. Dlatego zajrzał do kościoła.

W przedniej części budynku znajdował się olbrzymi ekran telewizyjny. Z ekranu przemawiał charyzmatyczny młody człowiek. Głos wiał przyciszony i tylko ci przed ekranem mogli go słyszeć. Ci z tyłu chyba medytowali. Cloward ukląkł w ławce, aby także pomedytować.

Nie potrafił jednak oderwać spojrzenia od ekranu. Młody człowiek odsunął się, a jego miejsce zajął starszy, intonując coś o Chrystusie. Hiram słyszał tylko słowo "Chrystus", żadnych innych.

Ściany ozdabiałały krzyże, kolejne rzędy krzyży. Kościół był protestancki, więc na żadnym nie wisiła krwawiąca postać Chrystusa, jednak wyobraźnia Hirama uzupełniła ten brak. Jezus z dłońmi i stopami przybitymi do krzyża i z szyją na przecięciu ramion.

Właściwie dlaczego krzyż? Przecięcie dwóch całkowicie przeciwstawnych linii prostopadłych, które stykają się tylko w jednym punkcie. Wizerunek życia człowieka, płynącego przez wieczność i nie oglądającego się na tych, których spotyka po drodze, każdego na własnej nieskończonej rozbieżnej linii. Krzyż. Ale to nie jest symbol dnia dzisiejszego, uznał Hiram. Dzisiaj żyjemy w kulach. Dzisiaj jesteśmy krzywymi, nie prostymi, i splatamy się w sobie, stykamy ze wszystkimi, jeszcze raz i znowu, owijamy się małymi kulami, nikt nie ośmiela się wyjść na zewnątrz. Wciągnijcie mnie do środka, krzyczymy, wciągnijcie i trzymajcie tam bezpiecznie, nie pozwólcie wypaść, nie pozwólcie skoczyć z

krawędzi świata.

Ale świat ma dzisiaj krawędź, uznał Hiram. Wszyscy to widzą. Wiemy, gdzie ona jest, i nie chcemy pozwolić, by ktokolwiek znalazł własną drogę na górę.

Czy ja chcę zostać na górze?

Wiek krzyży się skończył. Weszliśmy w wiek sfer. Kul.

- Jesteśmy twoimi przyjaciółmi - powiedział starszy mężczyzna na ekranie. - Możemy ci pomóc.

Jest pewna chwała w tym, odparł bezgłośnie Hiram, że brnie się samemu.

- Czemu masz być sam, skoro Jezus może wziąć twoje brzemię? - zapytał mężczyzna na ekranie.

Gdybym był sam, odpowiedział Hiram, nie miałbym żadnego brzemienia.

- Podnieś swój krzyż, stań do walki po stronie dobra. Gdybym tylko potrafił znaleźć krzyż do podniesienia.

I wtedy Hiram uświadomił sobie, że nadal nie słyszy głosu z telewizora. Zamiast tego wypowiada własną modlitwę i to na głos. W głębi kościoła przyglądała mu się trójka ludzi. Uśmiechnął się skrępowany, przepaszając skinał głową i wyszedł. Pogwizdując wrócił do domu.

Powitał go głos Sary Wynn.

- Teddy! Teddy! Co my zrobiliśmy? Patrz, co zrobiliśmy.

- To było piękne - odparł Teddy. - Cieszę się z tego.

- Och, Teddy! Jak zdołam to sobie wybaczyć? - I Sara zapłakała. Hiram znieruchomiał wpatrzony w ekran. Penelopa się poddała. Penelopa porzuciła len i poszła do łóżka z zalotnikiem! To błąd, pomyślał.

- To błąd - powiedział.

- Kocham cię, Saro - powiedział Teddy.

- Nie mogę tego znieść, Teddy - odparła. - W głębi serca czuję się tak, jakbym zamordowała George'a! Zabiłam go!

Penelopo, czy już nie ma cnoty na świecie? Czy nie ma Artemidy na łowach? Tylko Afrodyta, kładąca się co godzinę z każdym człowiekiem, bogiem czy baranem, który obiecuje wieczność, a darowuje tylko chwilę? Takie umowy nigdy nie są dotrzymywane, nigdy, myślał Hiram.

I w tej właśnie chwili na ekranie pojawił się George.

- Kochana - zawołał. - Moja najdroższa Saro! Przez długie dni włóczyłem się po mieście z amnezją! To jakiś autostopowicz spłonął w moim wozie! Wróciłem do domu!

A Hiram krzyczał, krzyczał i krzyczał.

Wiadomość o tym dotarła do Aryjczyka dość szybko, w tym samym czasie, co alarmujące meldunki od grup badawczych analizujących opery mydlane. Pokręcił głową, czując, że żołądek podchodzi mu do gardła. Biedny pan Cloward. Boże, pomyślał, jakich cierpień przysparzamy w imię ochrony ludzi.

- Przykro mi - powiedział Hiramowi.

Lecz Hiram nie zwracał na niego uwagi. Siedział na podłodze, wpatrując się w telewizor. Oczywiście, gdy tylko nadeszły raporty, wszystkie opery mydlane, a zwłaszcza Sara Wynn, zeszyły z anteny. Teraz pokazywali teleturnieje - chwilowo, dopóki nie zastaną poprawione wszystkie błędy.

- Przykro mi - powtórzył Aryjczyk, ale Hiram tylko wzruszył ramionami.

Czarna kobieta właśnie zamieniła jakieś pudełko na pieniądze w kopercie. Hiram też by to zrobił, i opłacało się. Pięć tysięcy dolarów zamiast osiołka ciągnącego wózek z małpką w środku. Niewiele brakowało, by ją wykiwali.

- Panie Cloward. Myślałem, że to z panem są kłopoty, ale to nieprawda. Owszem, jest pan marginalny, to fakt. Ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, co robi z ludźmi Sara Wynn.

Sara-poczwara, pomyślał wpatrzony w ekran Hiram. Czarna kobieta podskakiwała z radości.

- To całkowicie nasza wina. Tysiącom tak marginalnych osobników jak pan Sara Wynn bardzo poważnie zaszkodziła. Nie mieliśmy pojęcia, jak silna jest identyfikacja. Nie mieliśmy pojęcia.

Oczywiście, że nie, pomyślał Hiram. Za mało czytacie. Nie wiecie, co robią z ludźmi mity. Ale teraz zbliżał się Wielki Finał i Hiram pokręcił głową, żeby Aryjczyk już sobie poszedł.

- Oczywiście Agencja Ochrony Konsumenta będzie panu dożywotnio wypłacać zadośćuczynienie. Trzykrotną wartość pańskich obecnych dochodów i koszty wszelkich możliwych kuracji.

Cierpliwość Hiram w końcu się wyczerpała.

- Idź sobie! - zawołał. - Muszę się dowiedzieć, czy ta kobieta wygra samochód.

- Nie wiem, co wybrać - powiedziała kobieta.

- Bramkę numer trzy! - krzyknął Hiram. - O Boże, proszę, bramkę numer trzy!

Aryjczyk przyglądał mu się w milczeniu.

- Bramka numer dwa! - powiedziała w końcu kobieta. Hiram jęknął. Prowadzący uśmiechnął się.

- A więc - powiedział - czy samochód znajduje się za bramką numer dwa? Sprawdźmy!

Rozsunęła się kurtyna; za nią siedział mężczyzna w ubraniu trapera i brzdąkał na odrapanym banjo. Publiczność jęknęła z zawodu. Mężczyzna śpiewał Domek w górach. Kobieta westchnęła.

Rozsunęli wszystkie zasłony i samochód stał za bramką numer trzy.

- Wiedziałem - powiedział Hiram. - Nigdy mnie nie słuchają, i Bramka numer trzy, mówię, a oni zawsze swoje.

Aryjczyk podszedł do drzwi.

- Mówiłem przecież, prawda? - szlochał Hiram.

- Tak - przyznał Aryjczyk.

- Wiedziałem. Zawsze wiedziałem. Miałem rację. - Hiram ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

- Tak - odparł Aryjczyk, po czym wyszedł, aby podpisać dokumenty kierujące Hiramem na zamknięte leczenie psychiatryczne. Teraz należał już do jakiejś kategorii. Nikt nie może istnieć poza nimi, uświadomił sobie Aryjczyk. Tworzymy nowego człowieka. Homo categoricus, człowieka sklasyfikowanego.

Ale okazało się, że jednak nie musi nic podpisywać. Hiram poszedł do łazienki, napełnił wodą wannę i dołączył do największej kategorii ze wszystkich.

- Niech to szlag - powiedział Aryjczyk, kiedy się o tym dowiedział.

## 5. GENOTOPIA

Podróż zajęła nam trzy tygodnie - dłużej niż ktokolwiek za naszej pamięci przebywał w przestrzeni. W dodatku we czwórkę tłoczyliśmy się w małym kutrze Hunter III. Wzbudziło to w nas serdeczny podziw dla pionierów, którzy pełzali przez kosmos z jedną dziesiątą prędkości światła. Nic dziwnego, że założyli tylko trzy kolonie. Pozostali pozjadaliby się żywcem po pierwszym miesiącu lotu.

Harold zaatakował Amaur ostatniego dnia. Gdybyśmy nie złapali sygnału naprowadzającego, kazałbym zmienić kurs i wracać do Niincamais, gdzie mamusia czekała z szarlotką na wszystkich oprócz mnie - ja jestem z Pensylwanii. Ale trafiliśmy na sygnał, komputer przeskanował stare mapy i po paru godzinach stanęliśmy na orbicie stacjonarnej nad Prescott w Arizonie.

Tak przynajmniej twierdził geolog, a komputery nie kłamią. Chociaż nie przypominało to Arizony według starych ksiąg.

Był jednak sygnał naprowadzający, powtarzający w staroangielskim: "Boże, błogosław Amerykę. Przybywajcie, gwarantujemy bezpieczne lądowanie". Komputer zapewnił nas, że w staroangielskim słowo "gwarantujemy" nie jest obsceniczne, ma raczej związek ze stwierdzeniem szczególnie wiarygodnym - z czego się trochę pośmialiśmy.

Byliśmy też bardzo podekscytowani. Kiedy nasi praprapra do którejś tam potęgi dziadowie i babki osiemset lat temu startowali w swoich balonach ze starej Terra Firma, uciekali przed zniszczeniami wojny mikrobiologicznej, która właśnie się zaczynała (parę zarazków w podstępny atak na Madagaskar, szybko rozrastające się do epidemii, i cały świat jako zakładnik Afryki Południowej, posiadającej antidotum; szybkie uderzenia odwetowe wirusowym rakiem; reszty można się domyślać). Nawet z wysokości paru mil w kosmosie było jasne, że wojna na tym się nie skończyła. A mimo to odbieraliśmy sygnał naprowadzający.

- Obviamente automatica - zauważył Amauri.

- Que maquina, que nao pofa em tantos anos, bichinha! Nao acredito! - odwarknął Harold i zacząłem się obawiać, że czeka nas powtórka poprzedniego dnia.

- Po angielsku - powiedziałem. - Możemy od razu się do tego przyzwyczajać. Będziemy musieli mówić po angielsku przynajmniej przez kilka dni.

Vladimir westchnął:

- Merda. Roześmiałem się.

- No, dobrze, swoje skatologiczne komentarze możesz wygłaszać w lingua deporto.

- Jesteś taki pewien, że ktoś tam jeszcze żyje? - zapytał spokojnie Vladimir.

Co mogłem odpowiedzieć? Że czuję to w kościach? Rzuciłem w niego tylko gąbką, przez co woda pitna rozprysnęła się po całej kabinie i przez parę minut polewaliśmy się nią nawzajem. Wiem: dyscyplina, dyscyplina. Ale nie jesteśmy armią. Zresztą, do diabła z rym wszystkim. Wolę, żeby moja załoga zachowywała się jak zwariowane dzieciaki niż jak zwariowani dorośli.

Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że przy tym poziomie techniki, jaki nasi przodkowie osiągnęli w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim, potrafili zbudować maszynę działającą do roku dwa tysiące osiemset dziewiątego. Na dole musiał pozostać ktoś żywy -albo nagle zmądrzeli. Chociaż wygląd starej Terry nie sugerował, żeby ktokolwiek tam nagle zmądrzał.

Ktoś na dole żył. A właśnie o tym mieliśmy się przekonać.

Nie byli zachwyceni, kiedy natychmiast kazałem im włożyć małpie skafandry.

- Przecież na dole jest Matka Ziemia! - przekonywał Harold. Jak na halibuta z IQ 150, czasem rzeczywiście zachowywał się jak baran.

- Pokaż mi miasta - odparłem. - Pokaż mi miliony ludzi, którzy biegają w koło na słońcu w swoich letnich kostiumach ze skóry.

- Mogą tam być zarazki - dodał Amauri swoim najbardziej złośliwym tonem i natychmiast wybuchła kolejna kłótnia między dwójką ludzi dostatecznie brązowych, żeby oczekiwać od nich większego rozsądku.

- Postępujemy - powiedziałem surowym głosem dowódcy -według standardowej procedury planetarnej, czy mamy tam Matkę Ziemię, czy matkę...

W tej właśnie chwili monotony sygnał naprowadzający zmienił się nagle.

- Odpowiedzcie, podajcie identyfikację, odpowiedzcie, bo inaczej zestrzelimy wam tyłki z nieba.

Odpowiedzieliśmy. I wkrótce potem spacerowaliśmy w małpich skafandrach poprzez gęstą grochówkę sięgającą nam po pępki (gdybyśmy potrafili znaleźć bez mapy nasze pępki, otoczone aparaturą ochronną), czekając, aż ktoś otworzy nam drzwi.

W końcu się otworzyły i musieliśmy się podnieść z bardzo twardej podłogi. Trochę grochówki spadło przez właz razem z nami. Do sterylnej komory, gdzie czekaliśmy, wpuścili jakiś gaz i wkrótce potem grochówka opadła, zmieniając się w błoto.

- Mariajoseijesus! - mruknął Amauri. - Aquela merdi vivia!

- Po angielsku - mruknąłem do mikrofonu. - I wyrażaj się bardziej elegancko.

- To głównie żyje - powiedział Amauri, zmieniając język i wyrażając się bardziej elegancko.

- Teraz już nie, ale my owszem. - Trudno było zachować cierpliwość.

Nic nie wiedzieliśmy. Równie dobrze to, co tutaj uchodziło za ludzi, mogło zjadać astronautów. Albo składało ich w ofierze jakimś miejscowym bóstwom. Spędziliśmy w tej kabinie cztery nerwowe godziny. Ułożyłem już pięć beznadziejnych planów ucieczki, kiedy nagle drzwi się otworzyły i w progu stanął jakiś człowiek.

Ubrany był w biały kombinezon farmerski albo coś tym rodzaju. Był bardzo niski. Uśmiechnął się uprzejmie i skinął na nas. Dowód pozytywny: żywe istoty ludzkie. Misja zakończona sukcesem. Teraz wiemy, że nie było się z czego cieszyć, lecz wtedy bardzo się ucieszyliśmy. Klepiąc po plecach i obejmując naszego gospodarza (delikatnie, żeby go nie zgnieść), weszliśmy w labirynt Bazy Broni Mikrobiologicznej 004.

Wszyscy tu byli bardzo niscy, nie więcej niż metr czterdzieści, i od razu przyszła mi do głowy myśl, że ludzkość bardzo przez ten czas wyrosła. Gwiazdy dobrze nam zrobiły, pomyślałem.

Spokojny, metodyczny Vladimir, jak zwykle blady jak duch, znacząco nacisnął kławkę i dotknął przełącznika światła (naprawdę były mechaniczne). Oba były na poziomie oczu naszych małych przyjaciół. To nie my, koloniści, wyrosliśmy - to nasi kuzyni ze starej Gai znaleli.

Próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś o historii, ale ich interesowała tylko polityka.

- Czy jesteście Amerykanami? - pytali ciągle.

- Pochodzę z Pensylwanii - odparłem - ale te ofermi są z Nuncamais.

Nie zrozumieli.

- Nuncamais. To znaczy "nigdy więcej" w lingua deporto. Znowu zdziwienie. Ale zadali kolejne pytanie.

- A skąd się wzięła wasza kolonia? - Myśleli tylko o jednym.

- Pensylwania została zasiedlona przez Amerykanów z Hawajów. Nie próbujemy nawet zgadywać, dlaczego nazwali tę cholerną planetę Pensylwanią.

- To jasne - zapiszczał jeden z maluchów. - Kolebka wolności. A oni?

- Z Brazylii - odparłem.

Naradzali się przez moment. Potem najwyraźniej uznali, że chociaż brazylijskie pochodzenie nie jest zbrodnią, nie implikuje jednak w pełni ludzkiego statusu. Od tej chwili nie próbowali nawet rozmawiać z moją załogą. Obserwowali ich tylko uważnie i mówili do mnie.

Mnie kochali.

- Boże, błogosław Amerykę - powiedzieli. Byłem skłonny do zgody.

- Boże, błogosław Amerykę - odparłem.

A potem znowu chórem wygłosili obsceniczną sugestię, co takiego powinienem zrobić z Rosjanami. Zerknąłem na moich współwędrowców i wzruszyłem ramionami. Powtórzyłem życzenia maluchów, dotyczące seksualnych rozkoszy Rosjan.

Pora na fakty. Nie będę was nudził referowaniem wszystkich sprytnych pytań i sugestii, które pozwoliły mi uzyskać poniższe informacje. Po części dlatego, że nie wymagało to żadnych pytań. Wydawało się, że przez lata ćwiczyli, co powiedzą gościom z kosmosu, a zwłaszcza potomkom dawno zapomnianych kolonistów. Mówili tak:

Wojna biologiczna zaczęła się na dobre jakieś trzy lata po naszym odlocie, kiedy wypuszczono trzy bardzo chytrze zaprojektowane rakotwórcze wirusy. Pozornie nie było winnych, gdyż Rosjanie i Amerykanie zgodnie zaprzeczali, a Chińczycy byli już martwi. Wtedy właśnie naukowcy zacisnęli pasa i wzięli się do pracy.

Kiedy moi przodkowie wyruszali do gwiazd, wiedza o rekombinacjach DNA była jeszcze w powijakach, zresztą przez ten czas nie rozwinęliśmy jej zbyt. Kiedy zasiedla się dzikie planety, człowiek ma ważniejsze rzeczy do roboty. Ale pod naciskiem wojny, genetyka na Ziemi dokonała prawdziwych postępów.

- Cały czas opracowujemy nowe szczepy wirusów i bakterii - mówili, - Cały czas jesteśmy bombardowani przez najnowszą broń Rosjan.

Mieli mnóstwo roboty. Niewielu ich już zostało na tym stanowisku bojowym, a ataki wroga były coraz sprytniejsze.

Wreszcie, wszyscy równocześnie, zrozumieliśmy sytuację. To Harold powiedział głośno:

- Fossa-me mae! Chcecie powiedzieć, króliczki, że od ośmiuset lat tkwicie tutaj na dole?

Nie odpowiedzieli, dopóki to ja nie zadałem pytania - tylko uprzejmiej, gdyż zauważyłem pewne zaciśnięcie szczęk, kiedy Harold nazwał ich króliczkami. No cóż, byli króliczkami, tak białymi, jak to tylko możliwe. Jednak to nieładnie, że Harold tak ich nazwał, zwłaszcza wobec Vladimira, który też miał pewne tendencje do jasnej karnacji.

- Czyżbyście wy, Amerykanie, byli tu uwięzieni od początku wojny? - zapytałem, starając się wyrazić głosem pewien podziw, co się udało. Zresztą groza nie jest aż tak od podziwu odległa.

Rozpromienili się, chyba z dumy. Nauczyłem się interpretować pewne wyrazy ich twarzy. Dopóki dobrze mówiłem o Ameryce, wszystko było w porządku.

- Tak, kapitanie Kane Kaneo, my i nasi przodkowie przebywamy tu od samego początku.

- Nie było wam trochę ciasno?



- Amerykańscy żołnierze nie dbają o takie rzeczy, kapitanie. Za prawo do życia, wolności i pogoni za szczęściem jesteśmy skłonni poświęcić wszystko. - Nie pytałem nawet, w jaki sposób w tej dziurze możliwe są wolność i pogoń za szczęściem. Nasz bohater mówił dalej: - Walczymy, by miliony mogły żyć swobodnie, oddychając świeżym amerykańskim powietrzem, nie zagrożone szponami komunizmu.

Potem chórem odśpiewali parę hymnów na temat błękitnych gór i złocistych fal, z powtarzającym się jak refren "Boże, błogosław Amerykę". Zakończyli głośnym okrzykiem "Lepiej zarażony niż czerwony". Kiedy skończyli, spytałem, czy możemy się już położyć, gdyż według czasu naszego statku trwała noc.

Umieścili nas w niewielkim pokoju z trzema zbyt krótkimi dla nas kojami. Zresztą, to bez znaczenia. W naszych małych skafandrach i tak nie byłoby nam wygodnie.

Gdy tylko zostaliśmy sami, Harold chciał przejść na lingua deporto, ale zdołałem go przekonać, nie naciskając nawet klawisza dyscyplinera w moim skafandrze. Nasi gospodarze nie powinni podejrzewać, że mamy przed nimi jakieś tajemnice. Przyjęliśmy bez dyskusji, że nas podsłuchują.

W efekcie prowadziliśmy rozmowę, której bezpiecznie mogła słuchać banda obłąkanych patriotów.

Amauri:

- Jestem zdumiony ich miłością do Ameryki, niezmienną od tylu wieków.

I tłumaczenie:

- Dlaczego tym czubkom odbija na punkcie czegoś tak martwego, jak starożytne imperium Stanów Zjednoczonych?

Ja:

- Może dzięki swej niezachwianej lojalności wobec sztandaru, Boga, ojczyzny i wolności (przynaję, że trochę przesadziłem, ale lepiej się zabezpieczyć) zdołali tak długo przetrwać.

Tłumaczenie:

- Może tylko fanatyzm utrzymał ich przy życiu w tej dziurze. Harold:

- Ciekawe, jak długo możemy pozostać w tym bastionie demokracji, zanim niechętnie powrócimy do naszej kolonii, będącej spełnieniem amerykańskich marzeń.

Tłumaczenie:

- Jakie są szanse, że nas wypuszczą? Są tak szurnięci, że mogą uznać nas nawet za szpiegów.

Vladimir:

- Mam tylko nadzieję, że będziemy się mogli od nich uczyć. Ich nauka nieskończenie przewyższa wszystko, co dotąd osiągnęliśmy przy naszych skromnych możliwościach.

Tłumaczenie:

- Nigdzie się nie ruszymy, dopóki nie będę mógł wykonać swojej roboty, to znaczy zbadać miejscową florę i faunę. Osiemset lat rekombinacji DNA na pewno doprowadziło do czegoś, co możemy zabrać na Nuncamais.

I tak to trwało, aż dostawaliśmy już mdłości od spływających nam z ust kwiatów i słodczy. Potem poszliśmy spać.

Następny dzień był dniem wycieczki, rosyjskiego ataku, a niewiele brakowało, by stał się dniem ostatnim dla załogi dobrego statku Pollywog.

Podczas wycieczki prawie przez cały ranek na przemian wchodziliśmy i schodziliśmy. Vladimir włączył śledzenie na komputerze swojego skafandra. Mój był zbyt zajęty analizą ich komentarzy, a Amauri rejestrował dane naukowe. Harold natomiast próbował znaleźć sposób na dłubanie w nosie w rękawicach. Harold zabrał się z nami jako ekspert od broni, tak na wszelki wypadek. I dzięki Bogu.

Zaczęliśmy odróżniać jednego malucha od drugiego. George Washington Steiner był naszym przewodnikiem. Główny szef, który wykladał nam wczoraj historię, nazywał się Andrew Jackson Wallichinsky. A facet, który dyrygował chórem, to Richard Nixon Dixon. Komputer wyjaśnił nam, że są to imiona ukochanych amerykańskich prezydentów, do których dodane zostały nazwiska.

Analiza komputera w moim skafandrze wyjaśniła też, że ten muzyczny dyrygent jest prawdziwym szefem, a Andy Jack Wallichinsky to po prostu dyrektor naukowy. Wychodzi na to, że politycy kierują mózgowcami zamiast odwrotnie.

Nasz przewodnik G.W. Steiner był bardzo dumny z tej funkcji. Pokazał nam wszystko. To znaczy, że chociaż małpi skafander likwidował trzy czwarte grawitacji, w porze lunchu (szybki łyk regenerującego xixi i coco) bolały mnie już nogi. To robiło wrażenie. Znowu opowiem to w formie skróconej.

Baza była w zasadzie hermetyczna, ale wrogie wirusy i bakterie dość swobodnie przenikały do środka. Zdaje się, że na początku dwudziestego pierwszego wieku Rosjanie zaprzestali nadawania jakichkolwiek audycji radiowych. (Wiem, wydaje się, że to nie ma związku. Ale cierpliwości.) Z początku Amerykanie z 004 sądzili, że zwyciężyli. A potem nastąpił kolejny atak zupełnie inną chorobą. Do tego czasu załogi 004 żadna choroba nie zaatakowała bezpośrednio - hermetyzacja działała znakomicie. Ale ich ówczesny dowódca. Rodney Fletcher, był bardzo podejrzliwy.

- Uważał, że to komunistyczna sztuczka - tłumaczył nam George Washington Steiner.

Zaczynałem pojmywać źródła patriotyzmu w historii 004.

I tak Rodney Fletcher polecił naukowcom zająć się wzmacnianiem systemu antyciał u personelu bazy.

Po trzech tygodniach opracowali trzy nowe szczepy bakterii, które selektywnie pochłaniały praktycznie wszystko, co nie powinno znaleźć się w ludzkim ciele. I w samą porę, bo właśnie wtedy uderzyła nowa choroba. Nie zatrzymał jej system hermetyzacji, ponieważ nie był to wirus, tylko dwa drobne aminokwasy i molekula laktozy, złożone razem tak jak trzeba. Przecisnęły się przez filtry i przebiły barierę antybiotyków. Znalazły się w płucach każdego mężczyzny, kobiety i dziecka w Bazie 004. I gdyby Rodney Fletcher nie był paranoikiem, wszyscy by umarli. Dzięki niemu przeżyła połowa.

Te dwa aminokwasy i molekula laktozy miały zdolność wpasowania się w pewien konkretny punkt ludzkiego DNA i zmuszania go do replikacji w pewien konkretny sposób. Jedna drobna zmiana i wkrótce przestawały działać nerwy.

Udało się spowolnić działanie tych aminokwasów i molekuly laktozy do czasu, gdy znaleziono zatyczkę, która jeszcze lepiej pasowała do tego punktu w DNA i nie dopuszczała do niego rosyjskich maszynek. (Czy można je nazwać wirusami? Czy były żywe? Pozostawiam ten problem ludziom pobożnym i filozofom.)

Niestety, zatyczki powodowały, że dzieci żołnierzy były bardzo niskie, na ogół traciły zęby i ślepy w wieku trzydziestu lat. G.W. Steiner był bardzo dumny z faktu, że po czterech pokoleniach udało im się skorygować problem oczu. Uśmiechnął się po raz pierwszy i zauważyliśmy, że naprawdę ma inne zęby niż my.

- Budujemy je z bakterii, które twardnieją wystawione na działanie pewnego szczególnego wirusa. Wymyśliła to moja własna praprababka - wyjaśnił Steiner. - Stale tworzymy nowe i użyteczne narzędzia.

Poprosiłem, żeby nam pokazał, jak to robią, co znowu doprowadziło nas do tego, co już oglądaliśmy podczas wycieczki. Widzieliśmy laboratoria, gdzie jedenastu naukowców bawiło się z DNA. Niczego nie rozumiałem, ale małpi skafander zapewnił, że komputer wszystko rejestruje.

Obejrzeliśmy też system użycia broni. Bardzo sprytny. Polegał na umieszczeniu w małym pudełku płytki z kulturą wyjątkowo paskudnej broni. Potem zamykano klapkę i naciskano guzik, który otwierał drugą, prowadzącą z pudełka w zewnętrzny świat.

- Czekamy, aż wiatr je rozniesie - wyjaśnił Steiner. - Według naszych szacunków, mniej więcej po roku nowa broń dociera do Rosji. Przez ten czas muruje się tak mocno, że jest nie do powstrzymania.

Spytałem, czym żywią się bakterie. Roześmiał się.

- Czymkolwiek - odparł.

Okazuje się, że podstawą wszelkiej broni są bakterie, zdolne równocześnie do fotosyntezy i rozpuszczania wszelkich postaci żelaza.

- Cokolwiek zmieniamy w konkretnym typie broni, to pozostaje na zawsze - wyjaśnił Steiner. - Dzięki temu może dotrzeć wszędzie bez gospodarza. Kwarantanna na nic się nie przyda.

Harold wpadł na pewien pomysł. Był z niego dumny.

- Jeśli te małe zarazki mogą rozpuszczać stal, George, to dlaczego, do diabła, nie rozpuszczą całej tej instalacji?

Steiner zrobił minę, jakby miał nadzieję, że zadamy to pytanie.

- Kiedy stworzyliśmy naszą kulturę podstawową, wyhodowaliśmy też pleśń, która powstrzymuje bakterię od reprodukcji i odżywiania się. Pleśń rośnie tylko na metalu, a zarodniki giną, jeśli nie zetkną się zarówno z pleśnią czy metalem w ciągu jednej siedemdziesiątej siódmej sekundy. To oznacza, że pleśń porasta całą instalację i nic więcej. Opracował to mój czternasty prawujek, William Westmoreland Hannamaker.

- Dlaczego - spytałem - cały czas powołujesz się na swoje więzy rodzinne z wynalazcami? Przecież po ośmiuset latach wszyscy są tu spokrewnieni?

Zdawało mi się, że zadaję proste pytanie, ale G.W. Steiner spojrzał na mnie z niechęcią i odwrócił się, prowadząc nas do kolejnego pokoju.

Znaleźliśmy tam bakterie, które przerabiały inne bakterie, które przerabiały jeszcze inne bakterie, które zmieniały ludzkie ekskrementy w smaczne i pożywne jedzenie. Uwierzylimy im na słowo, że było smaczne. Wiem, przez rurki skafandrów ciągle zjadaliśmy zutylizowanych siebie. Ale przynajmniej wiedzieliśmy, gdzie nasze jedzenie było wcześniej.

Mieli bakterie, które bez pomocy światła słonecznego przerabiały dwutlenek węgla i wodę z powrotem na tlen i skrobię. To tyle, jeśli chodzi o fotosyntezę.

Dostaliśmy też listę wszystkiego, co kolejne próbki broni mogą zrobić z nieprzygotowanym ludzkim ciałem. Gdyby ktokolwiek stłukł je na Nuncamais, Pensylwanii czy Kijowie, wszyscy by zniknęli, całkowicie pochłonięci i wbudowani w systemy życiowe bakterii, wirusów i programowanych aminokwasów.

Gdy tylko o tym pomyślałem, powiedziałem głośno. Ale doszedłem tylko do słowa "Kijów".

- Kijów? Jedna z kolonii nazywa się Kijów? Wzruszyłem ramionami.

- Są tylko trzy skolonizowane planety. Kijów, Pensylwania i Nuncamais.

- Rosyjskiego pochodzenia?

O żesz, pomyślałem. "O żesz" to słowo ogólnego stosowania, zastępujące dowolne przekleństwo, bluźnierstwo oraz wszelkie pornograficzne i fekalno-analne wyrażenia, jakie przychodziły mi wtedy do głowy.

W tym miejscu wycieczka dobiegła końca.

W sypialni zdaliśmy sobie sprawę, że gościnność naszych gospodarzy uległa wyczerpała się. Po

chwili Harold zrozumiał, że to moja wina.

- Kapitanie, do licha, gdyby pan nie wspomniał o Kijowie, nie zamknęliby nas w ten sposób!

Zgodziłem się w nadziei, że to go uspokoi, ale wściekał się dalej, dopóki nie nacisnąłem klawisza dyscyplinera w moim małym skafandrze.

Potem skonsultowaliśmy się z komputerami.

Mój poinformował, że we wszystkim, co nam mówiono, pominięto całkowicie dwie dziedziny wiedzy. Po pierwsze, było jasne, że w przeszłości małe ludziki intensywnie pracowały nad ludzkim DNA, ale nikt nawet nie sugerował, że jakiegokolwiek badania prowadzone są współcześnie. Po drugie, chociaż pokazywano nam różnego rodzaju broń wysyłaną przeciwko Rosjanom na drugim końcu świata, tutaj nie zobaczyliśmy nawet śladu broni osobistej.

- Oho - ucieszył się Harold. - Czyli jeśli tylko uda się wyważyć drzwi, nic nas nie powstrzyma. A mogę to zrobić, kiedy tylko zechcę - oznajmił, bawiąc się klawiszami skafandra.

Poprosiłem go, żeby zaczekał, dopóki nie skończymy raportów.

Amauri oświadczył, że zgromadził dość informacji z rozmów i przez małpie oczy, więc możemy wracać do domu z całą wiedzą o rekombinacjach DNA, zmagazynowaną w naszych komputerach.

A potem skafander Vladimira wyświetlił holomapę Bazy 004.

Jaskrawozielone, nieskończone cienkie linie oznaczały ściany, drzwi i korytarze. Natychmiast rozpoznaliśmy te, po których chodziliśmy przez cały ranek. Odnaleźliśmy laboratorium i pokój, gdzie nas uwięziono. A potem zauważyliśmy na środku holomapy dość spory obszar, który wydawał się pusty.

- Widzieliście taką salę? - spytałem.

Pokręcili głowami. Vladimir spytał holomapę, czy tam byliśmy. Skafander odpowiedział swoim szeleszczącym małym głosem:

-Nie. Oznaczyłem tylko niespenetrowany obwód i otwory, które być może stanowią wejścia.

- A więc tam nas nie wpuścili - uznał Harold. - Wiedziałem, że dranie coś ukrywają.

- Możemy zgadywać - powiedziałem. - Ta sala ma coś wspólnego z bronią osobistą albo z pracami nad ludzkim DNA.

Przez krótką rozważaliśmy wszystkie te wnioski i stwierdziliśmy, że niewiele nam dają. Wreszcie przemówił Vladimir. Taki półkrólik zawsze wpadnie na jakiś pomysł niedostępny trzem brązowym. Niezły dowód na to, że teoria rasowa jest tylko stekiem bzdur.

- Do diabła z bronią osobistą - rzucił Vladimir. - Nie potrzebują żadnej broni osobistej. Wystarczy,

że zrobią nam małe dziurki w skafandrach i pozwolą dostać się zarazkom.

- Skafandry natychmiast się zamkną - odparł Amauri, ale od razu się poprawił. - Wirus chyba nie potrzebuje tyle czasu, żeby się przedostać, prawda?

Harold nie zrozumiał.

- Niech tylko któryś z tych króliczków spróbuje mnie dotknąć nożem, a rozpruję go od dupy po pachy.

Nie zwracaliśmy na niego uwagi.

- Dlaczego sądzisz, że są tu jakieś wirusy? Nasze skafandry niczego nie wykazują- zauważyłem.

Vladimir już wszystko przemyślał.

- Pamiętaj, co mówili o Rosjanach, którzy wprowadzili tutaj te swoje potworki z aminokwasów.

- Rosjanie - parsknął lekceważąco Amauri.

- Masz rację - przyznał Vladimir. - Ale nie podnoś głosu, viado. Amauri zaczerwienił się.

- Quem e que ce chama de viado! - zawołał gniewnie. Przycisnąłem klawisz dyscyplinera. Nie mieliśmy wcześniej czasu na kłótnie.

- Uważaj, co mówisz, Vladimir. Mamy już dość problemów.

- Przepraszam, kapitanie, i ciebie, Amauri. Jestem trochę zdenerwowany.

- Jak wszyscy.

Vladimir nabrał tchu i mówił dalej.

- Kiedy te zarazki się tu dostały, 004 była pewnie całkiem przepuszczalna. Ci, hm, Rosjanie, pompowali tu wtedy coraz więcej odmian.

- Dlaczego wszyscy nie umarli?

- Myślę, że wielu ludzi zginęło, lecz ocalili ci, których ciała lepiej przyjmowały te wymyślone zatyczki. Teraz zatyczki są normalnymi elementami przemian chemicznych w ich ciele. Przecież muszą być, prawda? Mówili, że są przekazywane z DNA kolejnym pokoleniom.

Zrozumiałem. Amauri również.

- A zatem mieli siedem czy osiem wieków doboru ze względu na adaptowalność - zauważył.

- Czemu nie? - odparł Vladimir. - Zauważyłeś? Jedenastu badaczy rozwija nowe środki ataku, a tylko dwóch zajmuje się obroną. Nie martwią się specjalnie.

- Matko Ziemi... - pokręcił głową Amauri. - Co w ciebie wstąpiło?

- Przeziębła się - stwierdził Vladimir i roześmiał się głośno. - To wirus. Tak zwana ludzkość.

Przez chwilę przyglądaliśmy się holomapie. Znalazłem cztery różne drogi z naszej celi do tej tajnej sali, gdybyśmy chcieli się tam dostać. Znalazłem też trzy trasy do wyjścia. Pokazałem je pozostałym.

- Tak - przyznał Harold. - Kłopot w tym, że nie wiadomo, czy te drzwi naprawdę prowadzą do nieznanego obszaru. To znaczy, że za trzema lub czterema mogą być komórki na szczotki albo jakieś warsztaty.

Racja.

Zastanawialiśmy się, czy powinniśmy raczej uciekać do statku, czy przekonać się, co przed nami ukrywali. I wtedy właśnie rosyjski atak pomógł nam podjąć decyzję. Podłoga zadrżała, jakby jakiś gigantyczny pies wziął Bazę 004 w zęby i potrząsnął nią mocno. Potem światła zamigotały i zgasły.

- Idealna okazja - powiedziałem w małym usta.

Zgodzili się. Zapaliliśmy reflektory skafandrów i skierowaliśmy je na drzwi. Harold poczuł się nagle bardzo ważny. Podszedł i przesunął magicznym płetwopalcem wzdłuż futryny. Potem cofnął się i dotknął dźwigni na skafandrze.

- Lepiej się odwróćcie - poradził. - Może mocno błysnąć. Chociaż patrzyłem na tylną ścianę celi, wybuch i tak oślepił mnie na parę sekund. Gdy się odwróciłem, światło wydawało się lekko zielonkawe. Drzwi leżały na podłodze w kawałkach, a sam otwór po nich też nie wyglądał zbyt równo.

- Niezła robota, Haroldzie - pochwaliłem go.

- Gracias a deus - odparł i musiałem się roześmiać. Zabawne, że te religijne frazy nie giną nawet u takiego bezbożnego filho de punta jak Harold.

Potem przypomniałem sobie, że do mnie należy wydawanie rozkazów. Więc wydałem.

Drugie ze sprawdzanych drzwi prowadziły do sal, które chcieliśmy obejrzeć. Ale w chwili, gdy tam weszliśmy, zapaliły się światła.

- Do licha. Przywrócili funkcjonowanie bazy - mruknął Amauri. Ale Vladimir tylko wskazał ręką korytarz.

Grochówka przedostała się do wewnątrz. Przelewała się w naszą stronę.

- Cokolwiek zrobili Rosjanie, wybili sporą dziurę w powłoce stacji - stwierdził Vladimir, mierząc w maż laserowym palcem. Nawet przy pełnej mocy, zmienił w parę tylko niewielki punkt. Reszta zbliżała się nadal.

- Ktoś ma ochotę popływać? - spytałem. Nikt nie chciał. Pogoniłem ich więc do niespecjalnie ukrytego pomieszczenia.

Było tam kilku małych ludzików, kulących się w ciemności. Harold owinał ich w kokony i wepchnął do kąta. Mogliśmy się rozejrzeć.

Właściwie nie było nic do oglądania. Typowe wyposażenie laboratoryjne i trzydzieści dwa akwaria, mniej więcej po metrze kwadratowym. Nad nimi paliły się lampy kwarcowe. Zajrzeliśmy do środka.

Zwierzęta wyglądały na galaretowate. Wtedy nie dotknąłem jeszcze żadnego, ale widziałem, jak powoli wysuwają nibynóżki. Uznałem, że ten, któremu się przyglądam, ma dość twardą skórę, a w środku galaretę. Wszystkie były jasnobrązowe, jaśniejsze nawet niż skóra Vladimira. Ale tu i tam widziałem zielone punkty. Ciekawe, czy są zdolne do fotosyntezy, pomyślałem.

- Patrz, w czym one pływają - rzucił Amauri i zdałem sobie sprawę, że to grochówka.

- Pewnie wyhodowali gigantyczne ameby, które żywią się wszystkimi innymi mikroorganizmami - stwierdził Vladimir. - Może wytresowali je do przenoszenia bomb. Przeciwno Rosjanom.

W tej właśnie chwili Harold otworzył ogień ze swojego arsenału. Zauważyłem, że małe ludziki zebrały się przy drzwiach, wyraźnie podniecone. Kilku z nich, z przodu, wyglądało na martwych.

Harold pewnie pozabijałby wszystkich, tyle że wciąż staliśmy przy akwarium z gigantyczną amebą. Kiedy krzyknął, zobaczyliśmy, że paskudztwo chwyciło go za nogę. Na naszych oczach upadł, dolna połowa nogi odpadła, a ameba dalej wżerała się w udo.

Gapiliśmy się tak długo, że malcy zdążyli nas złapać. Było ich tylu, że opór stracił sens. Poza tym nie mogliśmy oderwać wzroku od Harolda.

Ameba przestała jeść mniej więcej na wysokości pachwiny. Ale to nie miało już znaczenia. Harold nie żył. Nie wiedzieliśmy, jaka choroba go zabiła, ale gdy tylko skafander się rozerwał, zaczął wymiotować, a twarz pokryła się krostami. Krótko mówiąc, Vladimir miał rację co do obecności wirusów w Bazie 004.

Ameba ukształtowała się w pięciokąt. Pięcioro gładkimi bokami siedziała na wielkiej ranie, która kiedyś była miednicą. Nagle, po krótkiej konwulsji, wszystkie boki podzieliły się na połowy, tworząc ostre kąty, tak że teraz było ich dziesięć. Potem pośrodku pojawiły się cieniutkie pęknięcia i - jak rozcięta w połowie galareta, która postanowiła się wreszcie rozdzielić - obie połówki opadły na boki. Szybko utworzyły dwa nowe pięciokąty, a potem znów zmieniły się w nieregularne bryły i wróciły do pożerania Harolda.

- No tak - rzekł Amauri. - Mają broń osobistą.

Gdy przemówił, pękł czar milczenia. Ludziki rozciągnęły nas na stołach, kierując w naszą stronę ostre przedmioty. Gdyby choć jeden z nich przebił skafander, bylibyśmy martwi. Leżeliśmy nieruchomo.



Richard Nixon Dixon, czołowy halibut, przesłuchiwał nas osobiście. Zaczęło się od pytania o Rosjan. Kiedy ich odwiedziliśmy, dlaczego postanowiliśmy służyć im, a nie Amerykanom, itd. Powtarzaliśmy, że to bzdura.

Ale kiedy zagrozili, że wytną otwór w skafandrze Vladimira, uznałem, że dość tego.

- Powiedz im! - krzyknąłem w małpie usta, a Vladimir zawołał:

- Dobrze. Ludziki odstąpiły.

- Nie ma żadnych Rosjan - powiedział Vladimir. Ludziki przygotowały się do wycinania dziury.

- Nie, czekajcie, to prawda! Kiedy odebraliśmy wasz sygnał namiarowy, przed lądowaniem, kilka razy oblecieliśmy całą planetę. Nie ma tam żadnego życia. Tylko tutaj!

- Komunistyczne łgarstwa - uznał Richard Nixon Dixon.

- Święta prawda! - zawołałem. - Nie dotykaj go, człowieku! On mówi prawdę. Na całej planecie jest tylko ta grochówka. Pokrywa każdą piędź ziemi, każdy centymetr wody, z wyjątkiem paru dziur na biegunach.

Dixon trochę się zmieszał, a ludziki poszeptowały między sobą. Chyba mój głos zabrzmiał szczerze.

- Jeżeli nie ma tam ludzi - zapytał Dixon - to skąd się biorą rosyjskie ataki?

Odpowiedział Vladimir. Szybko myślał, jak na królika.

- Spontaniczna rekombinacja. Wy i Rosjanie wyhodowaliście nowe szczepy każdego mikroba, a one rozwijały się jak szalone. Wszyscy ludzie, wszystkie zwierzęta i wszystkie rośliny zginęły. Przeżyły tylko mikroby, lecz ciągle wprowadzaliście nowe szczepy, współzawodniczące z tymi potworkami na zewnątrz. Te, które nie mogły się zaadaptować, ginęły. A teraz zostały tylko takie, które się adaptują. Bez przerwy.

Andrew Jackson Wallichinsky, szef naukowców, pokiwał smutno głową.

- To brzmi rozsądnie.

- Przez ostatnie tysiąc lat jednego nauczyliśmy się o komunistach - rzekł Richard Nixon Dixon. - Nie można im ufać.

- No cóż - zauważył Andy Jack. - Łatwo to sprawdzić.

- Próbuj. - Dixon skinął głową.

Trzech ludzików podeszło do akwariów i każdy wyjął amebę. W jednej chwili stało się jasne, że chcą je na nas położyć. Amauri wrzasnęła. Vladimir pobladł. Też bym krzyknął, gdybym nie był zajęty połykaniem własnego języka.

- Spokojnie - powiedział Andy Jack. - Nie zrobią wam krzywdy.

- Acredito! - wrzasnąłem. - Tak jak Haroldowi!

- Harold zabijał ludzi. Te nic wam nie zrobią. Chyba że będziecie kłamać.

Świetnie, pomyślałem. To jak próba czarownic. Rzuca sieje do wody i jeśli się potopia, są niewinne, a jeśli pływają, są winne, więc się je zabija.

A może Andy Jack mówił prawdę i rzeczywiście ameby nic nam nie zrobią... Jeśli nie pozwolimy położyć na sobie tych bestii, będą wiedzieli, że kłamaliśmy, i przekłują nam skafandry.

Powiedziałem więc ludzikom, żeby spróbowały tylko ze mną. Nie muszą sprawdzać nas wszystkich.

Potem wsunąłem język między zęby, gotów zgryźć mocno i wciągnąć krew do płuc, gdyby to draństwo zaczęło mnie pożerać. Uznałem, że przyjemniej będzie zejść z tego świata samodzielnie.

Położyli stwora na moich ramionach. Nie przebił skafandra. Przelał się tylko w stronę głowy.

Potem objął szybę hełmu i zapadła ciemność.

- Kane Kanea - rozległa się delikatna vibracja szyby.

- Meu deus - szepnąłem.

Ameba potrafiła mówić. Ale ja nie musiałem jej odpowiadać. Pytania dochodziły przez vibrację szyby hełmu. Leżałem bez ruchu, a ona znała odpowiedź. Prosta sprawa. Byłem tak przerażony, że w czasie tej rozmowy dwa razy się zsikałem. Ale mój niezawodny małpi skafander oczyścił wszystko i zamienił w śniadanie - jak zwykle.

Wreszcie przesłuchanie się skończyło. Ameba zsunęła się z hełmu i wróciła na ramiona jednego z ludzików, który przeniósł ją do Andy'ego Jacka i Ricky'ego Nicka. Obaj położyli na niej dłonie, a potem spojrzeli na nas zaskoczeni.

- Mówiliście prawdę. Nie ma Rosjan. Vladimir wzruszył ramionami.

- Dlaczego mielibyśmy kłamać?

Andy Jack ruszył w moją stronę, trzymając w rękach monstrum, które mnie przesłuchiwało.

- Prędeż się zabiję, niż pozwolę, by to mnie znowu dotknęło. Andy Jack zatrzymał się zdziwiony.

- Wciąż się boisz?

- Jest inteligentne - odparłem. - Czytało w moich myślach. Vladimir był zaskoczony, a Amauri mruknął coś pod nosem.

Andy Jack tylko się uśmiechnął.

- Nie ma w tym nic tajemniczego. Potrafi czytać i interpretować fale elektromagnetyczne twojego mózgu w połączeniu z amitronową emisją tarczycy.

- Co to jest? - spytał Vladimir. Andy Jack spojrzał z dumą.

- Ten jest moim synem.

Czekaliśmy na puentę tego dowcipu. Nie nadeszła. I nagle zrozumieliśmy, że znaleźliśmy to, co nas interesowało: wynik badań małych ludzików nad rekombinacjami ludzkiego DNA.

- Pracowaliśmy nad nimi od dawna. W końcu udało nam się, jakieś cztery lata temu - wyjaśnił Andy Jack. - Są naszą ostatnią linią obrony. Ale teraz, gdy wiemy, że Rosjanie są martwi, nie ma powodu, żeby pozostawały w gniazdach.

Pochylił się i włożył amebę do grochówki, która zalewała już podłogę na głębokość około sześćdziesięciu centymetrów. Ameba rozplaszczyla się natychmiast na powierzchni, aż osiągnęła jakiś metr średnicy. Przypomniałem sobie szepczący głos, słyszany przez szybę skafandra.

- To jest zbyt elastyczne, żeby mieć mózg - stwierdził Vladimir.

- Bo nie ma - przyznał Andy Jack. - Funkcje mózgu są rozdzielone na całe ciało. Gdyby go pociąć na czterdzieści kawałków, każdy z nich miałby dość pamięci i funkcji mózgowych, żeby żyć dalej. Jest niezniszczalny. A kiedy kilka z nich zbierze się razem, generują pole współczulne. I stają się wtedy bardzo inteligentne.

- Klasowy prymus i w ogóle. Jasna sprawa - mruknął Vladimir. Nie potrafił ukryć obrzydzenia w głosie.

Co do mnie, to starałem się nie wymiotować.

Więc to jest kolejny etap ewolucji, myślałem. Człowiek rżnie planetę, aż nadaje się tylko dla mikrobów, a potem zmienia sam siebie tak, że żyje na diecie z bakterii i wirusów.

- To naprawdę idealny krok ewolucyjny - oznajmił Andy Jack. - Ten maluch niemal odruchowo adaptuje się do nowych odmian pasożytniczych bakterii i wirusów. Świadomie kontroluje swój zestaw DNA. Manipuluje DNA innych organizmów, absorbując je przez półprzepuszczalne membrany specjalizowanych komórek, potem przekształca je i uwalnia.

- Jakoś nie mam ochoty go karmić ani zmieniać mu pieluch. Andy Jack roześmiał się lekko.

- Rozmnażają się przez podział, więc nigdy nie są dziećmi. Oczywiście, jeśli któryś kawałek jest za mały, potrzebuje czasu, aby zyskać pełnię możliwości. Ale w normalnym trybie zawsze są dorosłe.

Andy Jack wyciągnął rękę i pozwolił, by syn owinał mu się wokół ramienia. Potem ruszył do miejsca, gdzie stał Richard Nixon Dixon. Andy Jack położył mu rękę z amebą na ramieniu.

- A przy okazji, sir- powiedział. - Kiedy Rosjanie są martwi, to cholerna wojna jest zakończona, sir.

- I co? - zdziwił się Dixon.

- Nie potrzebujemy już dowódcy.

Zanim Dixon zdążył odpowiedzieć, ameba przegryzła mu szyję i już nie żył. Dość gwałtowny przewrót, pomyślałem i zerknąłem na pozostałych ludzików, oczekując jakiejś reakcji. Zdaje się, że nikomu to nie przeszkadzało. Najwyraźniej ich superpatriotyczny militarizm nie sięgał zbyt głęboko. Poczulem niejasną ulgę. Może jednak mieli ze mną coś wspólnego.

Postanowili nas wypuścić, a my z zadowoleniem skorzystaliśmy z oferty. W drodze do wyjścia pokazali nam jeszcze, co spowodowało wybuch przy ostatnim "rosyjskim" ataku. Ta pleśń, która pokrywała stalowe powierzchnie instalacji, w jednym miejscu zmutowała się lekko, dopuszczając stalożerne bakterie do symbiozy. Mutacja przypadkiem nastąpiła w miejscu, gdzie o ścianę opierały się zbiorniki wodoru. Kiedy powstał otwór, jeden z pierwszych układów aminokwasów, jaki wlał się z grochówką, okazał się takim, który reaguje gwałtownie z czystym wodorem. Skutkiem była trzysekundowa eksplozja populacji. Wyrwała solidny kawał Bazy 004.

Kiedy wróciliśmy na kuter, byliśmy zadowoleni, że zostawiliśmy starą dobrą Pollywog, unoszącą się jakieś czterdzieści metrów nad ziemią. I tak nie obeszło się bez uszkodzeń. Jeden z powietrznych mikrobów miał talent zagłębiania się w cieniutkie szczeliny i gwałtownego rozmnażania, przez co poszerzał mikroskopowe pęknięcia w strukturze statku. Mimo to Amauri uznał, że możemy startować.

Nikogo nie ucałowaliśmy na pożegnanie.

I tak przekazałem wam teraz prawdziwą historię naszych odwiedzin na Matce Ziemi w roku dwa tysiące osiemset dziesiątym. Odniesienia do obecnej sytuacji powinny być oczywiste. Jeśli pozwolimy, aby Pensylwania dała się wciągnąć w tę nędzną wojenkę między Kijowem a Nuncamais, będziemy zasługiwali na to, co nas spotka. Bo to, co robią te przekłete konwertery antymaterii, sprawi, że wojna biologiczna wyda się przyjemna jak wążanie goździków.

A jeżeli cokolwiek ludzkiego przetrwa tę wojnę, na pewno nie będzie przypominało tego, co nazwalibyśmy człowiekiem.

Być może obecnie nie ma to dla nikogo znaczenia. Dla mnie ma. Nie podoba mi się perspektywa ameb jako wnuków, a posiadanie kuzynów z antymaterii pociąga mnie jeszcze mniej. Przez całe życie byłem człowiekiem i zdążyłem się przyzwyczaić.

Dlatego radzę: włączmy nasze represory i przeczekajmy tę wojnę. Czekajmy do chwili, aż unicestwią się nawzajem, a potem weźmy się do pracy nad zachowaniem ludzkości żywej i ludzkiej.

Tyle traktatów politycznych. Jeśli zagłosujecie za wojną, obiecuję, że niejeden kuter wyruszy w pustkę. Kiedyś kolonizowaliśmy planety, więc możemy to zrobić raz jeszcze. Na wypadek, gdyby ktoś nie zrozumiał aluzji, jest to wezwanie dla ochotników - o ile, jeśli i kiedy. Skończyłem.

Nie całkiem skończyłem. Po pierwszym wydruku tego programu otrzymałem wiele pytań, dlaczego

nie złożyliśmy meldunku, kiedy wróciliśmy do domu. Odpowiedź jest prosta. Na Nuncamais fałszowanie dziennika statku jest zbrodnią. A musieliśmy to zrobić.

Gdy tylko wystartowaliśmy z Matki Ziemi, Vladimir kazał komputerowi przedstawić wszystkie znaleziska, wszystkie dane, wszystkie wnioski na temat rekombinacji DNA. A potem je wykasował.

Pewnie bym go powstrzymał, gdybym się zorientował, co zamierza. Ale kiedy skończył, obaj z Amaurim zrozumieliśmy, że miał rację. Na takie merda nie ma miejsca we wszechświecie.

Potem systematycznie zatarliśmy wszystkie ślady. Usunęliśmy wpisy dotyczące Bazy 004, wymazaliśmy wspomnienia o sygnale namiarowym. W komputerze pozostał tylko zapis naszego lotu orbitalnego, ukazujący wyłącznie sięgającą od morza do morza grochówkę. Nie było to łatwe, ale w drodze do domu dodaliśmy jeszcze poważne uszkodzenie systemu podtrzymywania życia w skafandrze, które kosztowało nas istnienie naszego drogiego przyjaciela i towarzysza Harolda.

A potem zapisaliśmy w dzienniku statku: "Planeta niezdatna do zamieszkania przez ludzi. Nie odkryto żadnych śladów ludzkiego życia".

Do diabła. To nawet nie było kłamstwo.

## 6. W PSIEJ BUDZIE

Kiedy Mklıkluln się zbudził, odczuwał taką samą depresję jak wtedy, kiedy zasypiał dziewięćdziesiąt siedem lat temu. I chociaż wiedział, że jego nastrój tylko się pogorszy, natychmiast przeskanował tylną część nieba, szukając gwiazdy, która była słońcem. Nie znalazł jej. To znaczyło, że nawet po dodaniu czasu przyspieszania i hamowania, światło nowej czy supernowej nie dotarło jeszcze do systemu, który był jego celem.

Mniejsza z sentymentalizmem, pomyślał, skupiając uwagę na danych zbliżającego się układu. To co, że lodowe urwiska stopnieją, a lądy zmieniają się w ogromne, pokrywające całą planetę jeziora? To co, że atmosfera uleci w żarze? Kogo to obchodzi? Ludzkość jest bezpieczna.

Tak bezpieczna, jak tylko mogą być bezcielesne umysły, spoczywające we własnych polach myślowych gdzieś w kosmosie, czekające na natychmiastowy przekaz wieści, że tutaj dostępne są ciała, tutaj jest dom dla milionów, dla których zabrakło statków, tutaj możemy raz jeszcze...

Raz jeszcze co?

Nieważne, jak daleko szukamy, przypomniał sobie Mklıkluln; nie ma żadnej szansy natrafienia na te piękne, symetryczne, heksagonalnie delikatne ciała, jakie pozostawiliśmy za sobą na pastwę płomieni.

Oczywiście, Mklıkluln wciąż jeszcze miał swoje ciało, ale tylko na krótko.

Trzyście planet, z których dwie współorbitowały jako planeta podwójna na pozycji trzeciej. Ignorując gazowe giganty i zamrożone odpryski poza zasięgiem strefy życia, Mklıkluln uzyskiwał coraz ciekawsze złożone dane o planecie podwójnej i o pojedynczym czerwonym karzełku na czwartej orbicie.

Czerwona była martwa, mniejsza z podwójnej pary jeszcze gorsza, ale większa, błękitno-zielona, nadawała się idealnie. Nie dlatego, że warunki na niej odpowiadały ojczyźnie Mklıklulna, to było niemożliwe. Ale dlatego, że istniało na niej życie. Nie tylko życie, lecz życie inteligentne.

A przynajmniej dość rozumne. Promieniowanie energetyczne w widmie sub- i suprawidzialnym przewyższało odbicie promieniowania gwiazdy (nie, muszę myśleć o niej jako słońcu) i to dość znacznie. Energia najwyraźniej pochodziła z rozbijania składowych węglowych; aktualna teoria (aktualna? nie, sprzed dziewięćdziesięciu siedmiu lat) uznawała, że jest to logiczna baza energetyczna cywilizacji rozwijającej się w takiej temperaturze. Naukowcy będą zachwyceni.

Po kilku miesiącach manewrów pojazdem znalazł się na orbicie stacjonarnej wokół większej z planet

podwójnych. Zaczął monitorować komunikację na suprawidzialnych długościach fal. Szybko nauczył się języka, chociaż oczywiście jego ciało nie mogło wydawać takich dźwięków. Westchnął tylko, gdy zrozumiał, że obcy, tak jak jego własny lud, nazwali swą małą gwiazdę "słońcem", mniejszą podwójną "księżycem", a swoją nędzną przegrzaną planetę "ziemią" (terra, mundi itd.). Zestaw języków był imponujący; pomyśleć, że ludzie zadali sobie tyle trudu, by dla samej miłości logicznego myślenia stworzyć setki całkowicie różnych sposobów komunikacji. Muszą mieć wspaniałe umysły!

Przez moment błysnęła mu myśl, żeby przejąć dla jego ludu te dwunożne ciała dominującej rasy inteligentnej. Ale prawo to prawo. Jego rodacy popełniliby masowe samobójstwo, gdyby zrozumieli -a musieliby zrozumieć - że zdobyli ciała kosztem innej inteligentnej rasy. Takie dwunogi można by uznać za prawie ludzi, nie brakowało im nawet poczucia humoru, które przypominało Mklıklulnowi jego żonę (och, Glundnindn, byłaś pilotem, który zgłosił się, by zanurkować w słońce i pobrać próbki; ciebie to zabiło, ale ocaliło cywilizację!); nie chciał jednak po niej rozpaczać.

Dominująca była wykluczona Inne podobne dwunogi żyły w zbyt małej liczbie, budziły lęk i niezrozumienie w rasie dominującej. Innym zwierzętom o właściwie rozwiniętych populacjach brakowało funkcji ciała, które mogłyby bez większych przeróbek podtrzymać inteligencję. Wiele było zbyt słabych, żeby przeżyć bez pomocy, i żyło zbyt krótko, żeby stworzyć cywilizację.

I tak jego wybór ograniczył się do dwóch czworonogów, zupełnie różnych typów, oczywiście, ale w dopuszczalnych granicach. Oba miały pełny dostęp do mieszkań rasy dominującej, a także odpowiednią konstrukcję ciała, pozwalającą na utrzymanie intelektu. Oba posiadały potencjalne środki komunikacji; było ich dostatecznie wiele, by przyjąć umysły czekające w międzygwiazdnej przestrzeni.

Mklıkluln w myślach wykonał odpowiednik rzutu monetą; rzuciłby monetą, gdyby nie to, że nie miał ani rąk, ani monety, ani odpowiedniej grawitacji.

Dokonał wyboru, wskazując bardziej hałaśliwy typ o większej inteligencji, cieszący się już miłością większości osobników rasy panującej, i zaczął planować, jak wprowadzić przetworniki, które przywołają jego lud. (Rasa dominująca nie może wiedzieć, co się dzieje; jednocześnie nie można tego zrobić bez ich pomocy.)

Sześć wierzchołków Mklıklulna wibrowało delikatnie, gdy się zastanawiał.

Abu był źle opłacany, niedożywiony, wychudzony i miał mniej więcej dwanaście minut do końca żywota. Rozmyślał właśnie o pierwszym problemie, kiedy pojawił się czwarty.

- Dlaczego płacą mi mniej niż Fajsalowi, który siedzi na tyłku przy bramie, kiedy ja muszę przez cały dzień spacerować przed drzwiami cel? - mruzczał ze słusznym oburzeniem, cichutko, żeby zwierzchnik go nie usłyszał. - Czy nie jestem dobrym mahometaninem? Czy nie jestem równie mądry? Czy nie jestem równie lojalny wobec partii?

Pogrążył się w słusznej niechęci do nieludzkiego traktowania -nie ludzkości jako takiej, lecz konkretnie Abu ibn Assura - kiedy nagle w pustynnym więzieniu rozległ się huk, a po nim dmuchnął straszliwy, gorący wichur, niosący suchy piasek. Abu wrzasnął i zasłonił oczy, jednak za późno -

piasek otworzył mu je siłą, a gorące powietrze wysuszyło na wiór.

Dlatego właśnie nie zobaczył dziury w zewnętrznej ścianie celi nr 23, gdzie siedział więzień polityczny, skazany na rozstrzelanie następnego ranka za zabójstwo swojej żony. Zwykle nie było to żadne przestępstwo polityczne, chyba że żona była także córką kogoś, kto mógł dzwonić w pewne miejsca i wsadzać ludzi do więzienia.

Dlatego nie zobaczył również swojego zwierzchnika, który nadbiegł, odkrył pustą celę nr 23, a potem wymierzył w Abu pistolet maszynowy, co miało być pierwszym krokiem do uczynienia z nieszczęsnego strażnika oficjalnego kozła ofiarnego tej afery. Abu usłyszał jednak i poczuł wystrzał, a zanim zginął, zdążył jeszcze pomyśleć, co się stało.

Mklikluln rozprostował nowe ramiona i nogi (poczwórność tego ciała, dwustronność, przytłaczająca seksualność - wszystko to było zadziwiające, cudowne) i obszedł dookoła swój mały statek kosmiczny. Piętność i dziesiętność palców rąk i nóg! (Co byśmy mogli zrobić z palcami rąk i nóg! Tyle że pewnie wtedy nie rozwinęlibyśmy myślowo i skończylibyśmy na wibracji powietrza, tak jak ci ludzie.) Wewnątrz statku widział, jak jego własne ciało rozpłaszcza się szybko, gdy gorące powietrze rolniczego Kansas podniosło temperaturę powyżej punktu topnienia lodu.

Sam złamał prawo, ale nie miał innego wyjścia. Choć ten akt był konieczny, choć postarał się ukraść ciało człowieka i tak skazanego na śmierć, wiedział, że własny lud osądzi go, skaze i wykona egzekucję za to, że pozbawił życia inteligentną istotę.

Tymczasem jednak dysponował nowym ciałem i doznawał mnóstwa nowych wrażeń. Przesunął językiem po zębach. Wydobył z gardła brzęczący dźwięk, którego używali do komunikacji. Spróbował coś powiedzieć.

To było niemożliwe. Przynajmniej tak się wydawało, gdyż język, wargi i szczeka starały się wydawać arabskie dźwięki, do których były przyzwyczajone, podczas gdy Mklikluln próbował mówić językiem dominującym na falach radiowych.

Wciąż ćwiczył, gdy roztopił się statek (był wprawdzie przezroczysty dla większości fal elektromagnetycznych, jednak wywołałby wiele komentarzy, gdyby ktoś go znalazł), a kiedy wyruszył w drogę do najbliższego miasta, potrafił się już porozumiewać dość swobodnie. Na tyle dobrze, aby zamówić w Korporacji Rozwoju Miasta Kansas produkcję urządzenia, które zaprojektował; umówić się z firmą Farber, Farber i Mayanard, aby zgłosić patenty na każdy szczegół maszynierii; i z warsztatem stolarskim Sidneya, żeby produkowali psie budy.

Sprzedał wystarczająco dużo diamentów, aby zapłacić za pierwsze dwa tysiące egzemplarzy. A potem ruszył w drogę, podśpiewując w języku, którego nauczył się z radia.

- Żeby śmiać się i cieszyć, zawsze są powody - śpiewał sobie. -Zawsze jest coca-cola i supernagrody.

Słońce zachodziło, kiedy zameldował się w motelu na przedmieściu Manhattanu w stanie Kansas.



- Ilu? - zapytał recepcjonista.

- Jeden - odparł Mklıkluln.

- Nazwisko?

- Redford - powiedział, używając imienia, które wybrał sobie z wielu tysięcy wspomnianych na falach radiowych. - Robert Redford.

- Ha, ha - uśmiechnął się recepcjonista. - Na pewno często się z pana śmieją.

- Owszem, ale też często widuję ważnych ludzi. Recepcjonista śmiał się dalej. Mklıkluln także się uśmiechnął.

Mówienie było zabawne. Na przykład można było kłamać. To sztuka, jakiej jego lud nigdy nie opanował.

- Zawód?

- Akwizytor.

- Naprawdę, panie Redford? Co pan sprzedaje? Mklıkluln wzruszył ramionami, ćwicząc przy tym lekko zakłopotany wyraz twarzy.

- Psie budy - powiedział.

Royce Jacobsen otworzył frontowe drzwi swojego gorącego domu i westchnął. Akwizytor.

- Niczego nie chcemy - powiedział.

- Owszem, chce pan - zapewnił mężczyzna z uśmiechem. Royce był trochę zdziwiony. Akwizytorzy zwykle nie kłócą się z potencjalnymi klientami; na ogół proszą. A ci, którzy się kłócą, rzadko robią to z takim spokojem i pewnością siebie. Facet był dupkiem, uznał Royce. Spojrzał na teczkę z próbkami. Napis z boku głosił: "Psie Budy SA".

- Nie mamy psa - powiedział Royce.

- Ale ma pan bardzo ciepły dom, jak zauważyłem - odparł akwizytor.

- Owszem. Gorąco jak w piekle, jak mawia pastor. Ha. - Śmiech trwałby dłużej niż to jedno "ha", ale Royce był zgrzany, zmęczony i rozmawiał tylko z akwizytorem.

- Przecież ma pan klimatyzator.

- Mam - przyznał Royce. - Ale nie mam pozwolenia na zużycie prądu za więcej niż sto dolarów. Cholernaenergetyka. Więc jeżeli włączę klimatyzator na jeden dzień w miesiącu, muszę wyłączyć lodówkę albo kuchenkę, albo coś jeszcze.

Akwizytor okazał zrozumienie.

- Tylko tacy faceci jak ja - tłumaczył Royce - zawsze źle na tym wychodzą. Może się pan założyć o własne buty, że burmistrz ma tyle klimatyzacji, ile sobie zażyczy. Może się pan założyć o własne buty i gacie, jak mawiają farmerzy, że prezes cholernej energetyki bierze trzy gorące prysznice dziennie i trzy zimne nocą, a zimą zostawia otwarte okno. Jestem tego pewien.

- Racja - powiedział akwizytor. - Zakłady energetyczne są właścicielami całego kraju. Właścicielami całego świata, wie pan? Myśli pan, że w Anglii czy Japonii wygląda to inaczej? Mają paliwo, a to znaczy, że mają złoto.

- Zgadza się - przytaknął Royce. - Podoba mi się pan. Niech pan wejdzie. W domu jest gorąco jak w piekle, jak mawia pastor, ale na pewno w nim przyjemniej niż stać w słońcu.

Usiedli na wytartej kanapie, a Royce szczegółowo wyjaśnił, co mu się nie podoba w cholernej energetyce, co myśli o urzędnikach cholernej energetyki i w jaką część ciała powinni sobie wcisnąć swoje przydziały, rachunki, raty i okresy maksymalnego i minimalnego zużycia.

- Mam już śmiertelnie dosyć pryszniców o drugiej w nocy! - wrzasnął Royce.

- Więc niech pan coś z tym zrobi! - poradził akwizytor.

- Jasne. Tylko co?

- Niech pan kupi ode mnie psią budę.

Royce uznał, że to zabawne. Śmiał się przez dłuższą chwilę. Lecz wtedy akwizytor zaczął bardzo spokojnie mówić, pokazywać rysunki, wykresy, analizę kosztów, które dowodziły... czego?

- Że przetwornik energii słonecznej, zamontowany w psiej budzie, może regularnie zasilać cały pański dom, dając cztery razy więcej energii, niż mógłby pan zużyć, włączając wszystkie domowe odbiorniki, bez przerwy. A kosztuje to dokładnie zero, oprócz tej niewielkiej jednorazowej opłaty.

Royce pokręcił głową, chociaż psia buda bardzo mu się spodobała.

- Nie mogę. To nielegalne. O ile pamiętam, jeszcze w osiemdziesiątym piątym czy osiemdziesiątym szóstym wydali prawo zakazujące numerów z energią słoneczną. Żeby chronić energetykę.

Akwizytor roześmiał się głośno.

- Myśli pan, że energetyka potrzebuje ochrony?

- No tak - przyznał Royce. - To ja potrzebuję ochrony. Ale co z odczytem liczników? Jeśli przestanę zużywać prąd, zameldują o tym, przeprowadzą śledztwo...

- Dlatego nie przełączymy całego domu. Tylko to, co zużywa dużo prądu, a potem stopniowo będziemy odłączać urządzenia z normalnego zasilania na słoneczne, aż będzie pan płacił jakieś

piętnaście dolarów na miesiąc. Zgoda? Tylko że zamiast piętnastu dolarów na miesiąc, gotowania na ogniu i pocenia się na śmierć, będzie miał pan klimatyzator działający cały dzień, grzejnik pracujący przez całą zimę, prysznic, kiedy tylko przyjdzie panu ochota. I może pan otwierać lodówkę, ile razy pan zechce.

Royce wciąż nie był pewien.

- Co pan ryzykuje? - spytał akwizytor.

- Mój tyłek - odparł Royce. - Rozumie pan? Mój tyłek.

- Dlatego montujemy je w psich budach; żeby nikt niczego nie podejrzewał.

- Dobra, czemu nie? Rób pan swoje. Wchodzę w to. I tak nie głosowałem na tego cholernego kongresmana, który uchwalił głupie prawo.

Klimatyzator szumiał cicho, gdy przyszli goście. Royce i jego żona, Junie, wprowadzili ich do salonu. Obok grał telewizor, w kuchni chodził malakser, a Royce spokojnie włączył światło. Jedna z kobiet syknęła. Mężczyzna szepnął coś żonie do ucha. Royce i Junie zaczęli rozmowę jeszcze przy otwartych drzwiach.

Gość to zauważył. Pan Detweiler był znajomym z kręgielni.

- Hej - zawołał i poderwał się z krzesła. Royce zatrzymał go.

- Spokojnie, spokojnie, zaraz zamknę. Może orzeszków? Goście ze zgrozą wpatrywali się w drzwi, podczas gdy Royce częstował ich orzeszkami. Dopiero potem stanął przy drzwiach.

- Piękny mamy dzień - zauważył, trzymając je otwarte jeszcze przez kilka chwil.

Ktoś w pokoju wymienił imię bóstwa. Ktoś inny jednym słowem omówił defekację. Royce uznał, że pokazał, o co mu chodzi.

Zamknął drzwi.

- A przy okazji, chciałem wam przedstawić mojego przyjaciela. Nazywa się Robert Redford.

Ha, ha, oczywiście żartujesz. Robert Redford, ale żarcik.

- Naprawdę nazywa się Robert Redford, ale oczywiście nie jest gwiazdą filmową wszech czasów i piątkowego wieczoru, jak mówią dyskdzokeje, ha, ha. Jest on, najkrócej mówiąc, moi drodzy, sprzedawcą psich bud.

Mklikluln wszedł i przywitał się ze wszystkimi.

- Wygląda na Araba - szepnęła kobieta.

- Albo Żyda - odszepnął jej mąż. - Trudno poznać. Royce powitał Mklıklulna i poklepał go po ramieniu.

- Redford jest najlepszym handlowcem, jakiego spotkałem.

- Z pewnością, jeśli sprzedał ci psią budę, a nie masz nawet psa - stwierdził pan Detweiler z kręgielni; przemawiał z wyższością, ponieważ z całej drużyny on jeden stracił wszystkie kręgle.

- Jeśli ma się stać to, co stać się musi, jak mawiała Lady Makbet, ha, ha, ha, to może od razu pokażę wam moją psią budę.

I Royce poprowadził gości przez kuchnię, gdzie paliły się wszystkie światła, a lodówka była otwarta ("Royce, lodówka otwarta!" "Och, pewnie któryś z dzieciaków ją tak zostawił". "Chyba bym zabił, gdyby to zrobił któryś z moich!"), i gdzie kuchenka, mikrofalówka, malakser i grzejnik wody działały równocześnie. Niektóre kobiety wyglądały, jakby miały zemdleć.

A kiedy goście próbowali wybiec wszyscy naraz tylnymi drzwiami, żeby oszczędzać energię, Royce uspokoił ich.

- Powoli, skąd ta panika, pali się czy co? Ha, ha, ha. Ale goście spieszyli się i tak.

Po drodze do budy, która stała na samym środku podwórza, Detweiler odciągnął Royce'a na stronę.

- Słuchaj, Royce, kogo masz znajomego w cholernej energetyce? Jak powiększyłeś sobie przydział?

Royce pokręcił głową.

- Przydział mam taki sam, Detweiler. - A potem, podnosząc trochę głos, żeby wszyscy słyszeli, oznajmił: - Za prąd płacę piętnaście dolarów miesięcznie.

- Hau, hau, hau - odezwał się mały piesek uwiązany do haka w budzie.

- Skąd się wziął ten pies? - szepnął Royce do Mklıklulna.

- Sąsiad chciał go utopić - odparł Mklıkluln. - Poza tym, jeśli nie masz psa, to energetyka będzie coś podejrzewać. To maskowanie.

Royce z mądrą miną pokiwał głową.

- Niezły pomysł, Redford. Mam nadzieję, że to przyjęcie to też dobry pomysł. A jak zaczną gadać?

- Nie zaczną- zapewnił spokojnie Mklıkluln.

A potem zaczął pokazywać gościom co ciekawsze rozwiązania psiej budy.

Kiedy w końcu wyszli, Mklıkluln miał dwadzieścia trzy spotkania na najbliższe dwa tygodnie. Ponadto czeki wypisane na "Psią Budę SA", każdy na dwieście dwadzieścia jeden dolarów i

dwadzieścia trzy centy, w tym VAT, i wielu nowych przyjaciół. Nawet pan Detweiler zostawił czek w ręku Mklıklulna i wyszedł z uśmiechem, chociaż szczeniak narobił mu na buty.

- Tu masz swój udział - powiedział Mklıkluln, wypisując czek na trzysta dolarów dla Royce'a Jacobsena. - Trochę więcej, niż się umawialiśmy, ale uczciwie je zarobiłeś.

- Trochę głupio się czuję - stwierdził Royce. - Jakbym zakładał spisek w celu złamania prawa albo coś takiego.

- Nonsens - uspokoił go Mklıkluln. - Myśl o tym jak o prezentacji garnków Zeptera.

- Jasne - zgodził się Royce po chwili namysłu. - W końcu ja sam niczego nie sprzedawałem, prawda?

Jednak po tygodniu Detweiler, Royce i czterech innych obywateli Manhattanu w stanie Kansas wyruszyło w drogę do rozmaitych dalekich miast Stanów Zjednoczonych z walizkami "Psich Bud SA" w rękach.

Po miesiącu dla Mklıklulna pracowało trzysta osób w siedmiu miastach. Budowali psie budy i instalowali je. A do każdej psiej budy trafiał wesoły szczeniak. Mklıkluln wykonał pewne obliczenia. Mniej więcej za rok, uznał. Jeden rok i mogę wezwać mój lud.

- Co się dzieje ze zużyciem energii w Manhattanie? - spytał Bili Wilson, robiący karierę młody urzędnik w wydziale analizy statystycznej Centralnego Biura Energetyki w Kansas, znanego powszechnie jako cholemaenergetyka.

- Obniżyło się - odparła Kay Błock, relikwida dawnej akcji afirmatywnej w Centralnym Biurze Energetyki; osiągnęła stanowisko analityka danych, zanim cofnięto poprawkę o równouprawnieniu i uczyniono łazienki bezpieczniejszymi dla ludzkości.

Bili Wilson parsknął, jakby chciał powiedzieć: sam tyle wiem, kobieto. A Kay Błock uśmiechnęła się, jakby odpowiadając: no, no, ten chłopak ma jednak jakieś IQ.

Na ogół jednak żyli zgodnie, więc w ciągu godziny uzyskali alarmujące dane statystyczne: zużycie energii elektrycznej Manhattanu w stanie Kansas obniżyło się o czterdzieści procent.

- A ile zużywali w poprzednim trymestrze? Normalnie. Wszystko w normie.

- Czterdzieści procent! To śmieszne! - wściekał się Bili.

- Nie wściekaj się na mnie - odparła Kay, zirytowana, że jej szef podnosi głos. - Idź i wrzeszcz na ludzi, którzy wyłączają lodówki!

- Nie - odparł Bili. - To ty wrzeszcz na ludzi, którzy wyłączają lodówki. Tam coś jest nie w porządku. Jeśli to nie fałszowanie liczników, to znaczy, że ludzie znaleźli sposób na oszukanie systemu rozliczeń.

Po dwóch tygodniach śledztwa Kay Błock siedziała w budynku administracji Uniwersytetu Stanu

Kansas (dziewięć zwycięstw, dwie porażki w ostatnim sezonie futbolowym, niewiele brakowało, a zdobyliby mistrzostwo dziewięćdziesiątego ósmego roku), nie chcąc przyznać, że jej wyniki to wielkie okrągłe zero. Badanie losowo wybranych trzydziestu ośmiu liczników nie wykazało żadnych śladów przeróbek. Dokładna kontrola ksiąg rachunkowych w miejscowym biurze energetycznym też niczego nie wykryła. Natomiast analiza zużycia energii przeprowadzona przez uniwersytet to już całkowita klęska. Żadnych zmian w poborze mocy, żadnych zmian w systemie naliczania rachunków, a jednak gwałtowny spadek zużycia.

- Taki spadek zwykle można umiejscowić - Kay zwróciła się do siwowłosej kobiety, która była jej przewodniczką w czasie śledztwa. - Stadion z pewnością zużywa tyle samo światła, co zawsze, a zatem spadek musiał nastąpić gdzieś indziej, na przykład w laboratoriach naukowych.

Siwowłosa kobieta pokręciła głową.

- To możliwe, ale właśnie te dane do nas dotarły.

Kay westchnęła i spojrzała przez okno. W dole widziała nowy budynek wydziału botaniki. Przyglądała mu się obojętnie, a w myślach na próżno starała się znaleźć jakiś sens w dostarczanych danych. Ktoś oszukiwał, ale w jaki sposób? Na dachu botaniki stała psia buda.

- Co robi psia buda na dachu? - zdziwiła się Kay.

- Przypuszczam - odparła siwowłosa kobieta - że mieszka w niej pies.

- Na dachu?

Kobieta uśmiechnęła się.

- Może ma tam świeże powietrze.

Kay przyglądała się budzie jeszcze chwilę, tłumacząc sobie, że jest podejrzliwa, bo szuka czegokolwiek niezwykłego, co mogłoby wyjaśnić anomalie w systemie zużycia energii Manhattanu.

- Chcę obejrzeć tę budę - oświadczyła.

- Po co? - zdziwiła się siwowłosa kobieta. - Nie myśli pani chyba, że można w psiej budzie schować generator? Albo baterie słoneczne! Przecież one zajmują całe budynki!

Kay przyjrzała się jej z uwagą i uznała, że trochę zbyt mocno protestuje.

- Nalegam na obejrzenie tej budy - powtórzyła. Kobieta uśmiechnęła się.

- Czego sobie pani tylko życzy, panno Błock. Zawołam dozorcę, żeby otworzył drzwi na dach.

Zadzwoniła. Schodami zeszły na parter budynku administracyjnego, na trawnik, a potem po schodach na górę, na dach wydziału botaniki.

- Co się dzieje? Nie ma tu windy? - zapytała Kay, skwaszona i zdyszana po wspinaczce.

- Przykro mi - odparła kobieta. - Nie budujemy już wind. Zużywają za wiele energii. Tylko firmy energetyczne mogą sobie pozwolić na windy.

Dozorca stał przy drzwiach wiodących na dach i wyglądał na skruszonego.

- Przepraszam, jeżeli stary Reks sprawiał kłopoty, proszę pani. Trzymam go na dachu, odkąd w zeszłym roku próbowali się włamać przez te drzwi. Od tego czasu nikt nie majstrował przy zamku.

- Hau - odezwał się wesoły przyjazny mieszaniec słonia i labradora (oczywiście na pierwszy rzut oka), który podbiegł do nich natychmiast.

- Reks, stary kundlu - powitał go dozorca. - Tylko nikogo nie ugryź.

- Hau - odparł pies, starając się wyśliznąć ze skóry i wyglądał, jakby miało mu się udać.

Kay obejrzała drzwi z zewnątrz.

- Nie widzę żadnych śladów włamania - oświadczyła.

- Oczywiście, że nie - zgodził się dozorca. - Ktoś z administracji zauważył włamywaczy, zanim dostali się do drzwi.

- Aha. Więc po co trzyma pan tu psa?

- A gdyby nikt ich wtedy nie zauważył? - odparł dozorca, a jego ton sugerował, że tylko kretyń może zadać takie pytanie.

Kay obejrzała psią budę. Wydawało się, że jest taka sama, jak każda inna psia buda na świecie. Wyglądała jak psie budy z kreskówek, tak była zwyczajna. Miała proste, hakowate wejście i skośny dach z okapami. Brakowało tylko miski z wodą, psich kupek i starych kości. Żadnych psich kupek?

- Co za mądry pies - zauważyła Kay. - Chodzi nawet do toalety.

- Ehm - odpowiedział dozorca. - Tak naprawdę to jest pies pokojowy. Nic nie robi, dopóki nie wyprowadzę go na trawnik, prawda, Reks?

Kay zbadała ściany nadbudówki, przez którą przeszli.

- Dziwne. Nawet nie znaczą ścian.

- Mówiłem pani. To właściwie pies pokojowy. Nigdy nie brudzi koło siebie.

- Hau - stwierdził pies, obsuszył drzwi, a potem zrobił elegancki stosik u stóp Kay. - Hau, hau, hau - oznajmił z dumą.

- Tyle szkolenia i wszystko na nic - stwierdził dozorca.

Czy odpowiedź dozorca tłumaczyła tylko, co zrobił pies, czy też wyrażała jakiś głębszy sens, nie miało już znaczenia. Najwyraźniej psia buda nie była zwykle mieszkaniem psa. A jeśli tak, to co robiła na dachu wydziału botaniki?

Cholernaenergetyka wystąpiła do sądu przeciwko miastu Manhattan w stanie Kansas, a sąd orzekł, że wszystkie psie budy mają być odłączone od kabli elektrycznych. Miasto natychmiast wniosło skargę przeciwko cholernejskiej energetyce (bardzo popularne posunięcie) i wniosło apelację od wyroku.

Cholernaenergetyka odcięła dopływ prądu na Manhattanie.

Nikt na Manhattanie tego nie zauważył, z wyjątkiem lokalnego biura cholernejskiej energetyki. Pracownicy odkryli, że są jedynym nieoświetlonym budynkiem w mieście.

“Wojna o psie budy” zyskała pewną sławę. W magazynach pojawiły się duże artykuły o Psich Budach SA i tajemniczym założycielu firmy, Robercie Redfordzie, który odmawiał wszelkich wywiadów, a właściwie - szczerze mówiąc - nie można go było znaleźć. Wszystkie pięć sieci telewizyjnych pokazało specjalne programy o tanich źródłach energii. Badania opinii wykazały, że nie tylko siedem procent amerykańskiej publiczności posiada psie budy, ale że dziewięćdziesiąt dziewięć i osiem dziesiątych procent chciałoby je mieć. Te dwie dziesiąte procent stanowili zapewne akcjonariusze i pracownicy firm energetycznych. Większość polityków umiała dodawać albo mieli doradców, którzy to potrafili, a perspektywa wyborów za niecały rok przesądziła sprawę.

Prawo zakazujące wykorzystania energii słonecznej zostało cofnięte.

Cena akcji firm energetycznych na giełdach spadła niemal do zera.

Rozpoczął się najmniej zauważamy kryzys światowy.

Z szokującą prędkością runęła gospodarka oparta na kosztownej energii. Rozpadł się monolit OPEC. W ciągu pięciu miesięcy cena ropy spadła do trzydziestu ośmiu centów za baryłkę - ropa była już przydatna tylko do produkcji smarów i tworzyw sztucznych, a producenci od lat wydobywali jej za dużo.

Powodem, dla którego prawie nikt nie zauważył depresji, był fakt, że Psie Budy SA bez trudu zaspokajały popyt na swoje produkty. Wyczuwając okazję do zysku, rząd nałożył ogromne cło na psie budy. Firma odpowiedziała publikacją pełnych planów psich bud i oświadczeniem, że zagraniczne firmy nie będą wykorzystywane do ich produkcji.

Rząd Stanów Zjednoczonych natychmiast odwołał cło, na co Psie Budy SA ogłosiły, że opublikowane plany nie są kompletne. I nadal opanowywały rynek na całym świecie.

Rząd za rządem, dzięki podstępom, przekupstwu, a w kilku przypadkach rewolucji, zmuszony był do wypuszczenia Psich Bud SA na własny rynek. Robert Redford (psia buda numer jeden) stał się bardziej popularny niż Robert Redford (dawny aktor). Podwórkowe legendy, opiewające niegdyś Kuana Yu czy Gautama Buddę, coraz częściej mówiły o Robercie Psiej Budzie Redfordzie.



Aż w końcu każda rodzina na świecie, która tego chciała, otrzymała tanie, nieograniczone źródło energii, i wszyscy byli szczęśliwi. Tak szczęśliwi, że dzielili się swym nowym bogactwem ze wszystkimi żywymi stworzeniami. Zimą karmili ptaki, wystawiali miseczki mleka dla bezdomnych kotów i wprowadzali psy do psich bud.

Mklıkluln podparł dłonią głowę i pomyślał ironicznie, że niechcący ocalił świat dla dwunożnej rasy dominującej, co było jedynie produktem ubocznym kampanii mającej dać dom każdemu psu. Ale wynik jest wynikiem i ludzkość, czy to jego własna, czy dwunogów, nie mogła całkiem go potępić za zamordowanie w zeszłym roku arabskiego więźnia politycznego.

- Co się stanie, kiedy przybędziecie? - zapytał swój lud, chociaż oczywiście nikt nie mógł go usłyszeć. - Ocaliłem ten świat, ale kiedy te istoty, choć inteligentne, skontaktują się z naszym nieskończenie wyższym intelektem, czy to ich nie zniszczy? Czy nie będą cierpieć poniżenia, kiedy pojmą, że jesteśmy potężniejsi od nich, kiedy zrozumieją, że możemy z prędkością światła pokonywać odległości galaktyczne, porozumiewać się telepatycznie, oddzielać nasze umysły i pozwalać, by ciało umarło, gdy my sami szybujemy nietknięci w kosmosie, a potem na wezwanie prostego urządzenia przybywamy natychmiast i zasiedlamy ciała zwierząt całkowicie różne od naszych dawnych ciał?

Martwił się, lecz nie miał wątpliwości, że odpowiada przed własnym ludem. Jeśli dwunoga rasa jest aż tak zarozumiała, by nie poradzić sobie ze swoją niższością, to już nie jego problem.

Otworzył górną szufladę biurka w biurze Psich Bud SA w San Diego, w jego ostatniej kryjówce przed wścibską prasą, i wcisnął guzik na niewielkiej skrzynce.

Potężny impuls elektromagnetyczny pomknął z tej skrzynki do osiemdziesięciu milionów psich bud w Południowej Kalifornii. Każda z nich przekazała ten sygnał w nieskończonym łańcuchu, który stopniowo objął cały świat, gdziekolwiek tylko stały psie budy.

Gdy ostatnia z nich włączyła się do sieci, wszystkie jednocześnie nadały coś zupełnie innego. Sygnał, który tylko musnął prędkością światła i niemal natychmiast pokonał dystans lat świetlnych. Sygnał, który wezwał miliony umysłów śpiących w polach myślowych. Umysły usłyszały wezwanie, obudziły się i ruszyły w stronę źródła, znowu z prędkością o wiele wyższą niż wlokące się wolno światło.

Zebrały się wokół większej z podwójnych planet na orbicie nowego słońca i wysłuchały pełnego raportu Mklıklulna. Były zachwycone jego pracą, udzieliły mu pochwały, a dopiero potem skazały za morderstwo arabskiego więźnia politycznego i rozkazały popełnić samobójstwo. Czuł się dumny, gdyż pochwała, którą otrzymał, rzadko była udzielana. Z uśmiechem strzelił sobie w skroń.

A potem umysły zsunęły się do psich bud, które wciąż je wołały.

- Hauarrhauarrgh - powiedział pies Royce'a, podskakując na podwórku.

- Zwierzak zwariował - stwierdził Royce, ale jego dwaj synowie roześmiali się tylko i biegali w kółko za zwierzakiem, który pięć razy okrążył podwórze i padł zmęczony przed budą.

- Griffigroff- powiedział, sapiąc z zadowoleniem. Podbiegł do Royce'a i pchnął go nosem.

- Miły łobuz - stwierdził Royce. .

Pies podszedł do stosu gazet, czekających na wywóz śmieci, ściągnął jedną i zaczął wpatrywać się w stronicę.

- Niech zaćwierkam - zawołał Royce do Junie, która właśnie wynosiła jedzenie na kolację przy grillu. - Ten pies wygląda, jakby czytał gazetę.

- Chodź tu, Robby! - krzyknął najstarszy syn Royce'a, Jim. -Robby, chodź! Masz patyk.

Pies nauczył się z gazety czytać i pisać, pobiegł po patyk, przyniósł z powrotem i zamiast oddać Jimowi, zaczął kreślić nim na ziemi:

“Witaj człowieku - pisał. - Być może dziwisz się, widząc, jak piszę”.

- Coś takiego - mruknął Royce, patrząc na dzieło psa. - Junie, popatrz tylko. Niezły pies, co? - Poklepał zwierzę po głowie i usiadł do kolacji. - Ciekawe, czy ludzie zapłacą za obejrzenie czegoś takiego.

“Nie chcę skrzywdzić twojej rasy”, napisał pies.

- Jim - zawołała Junie, nakładając sałatkę ziemniaczaną na talerzyki. - Dopilnuj, żeby nie grzebał tym patykiem w petuniach.

- Chodź, Robby - powiedział Jim. - Pora cię przywiązać.

- Hau - odparł nieco zaniepokojony pies i cofnął się przed łańcuchem.

- Tato! - krzyknął Jim. - Pies nie chce przyjść, kiedy go wołam. Royce niecierpliwie odłożył kanapkę z kurczakiem i wstał z krzesła.

- Do licha, Jim, jeśli pies cię nie słucha, to będziemy musieli się go pozbyć. I tak trzymamy go tylko ze względu na was!

Wziął psa za obrozę i pociągnął na miejsce, gdzie Jim czekał już z łańcuchem.

Klik.

- Naucz się posłuszeństwa, bo jak nie, to cię sprzedam, choćbyś nie wiadomo jakie sztuczki pokazywał.

- Hau.

- Właśnie. I zapamiętaj to sobie.

Przez całą kolację pies obserwował ich smutnym, niemal przerażonym wzrokiem. Royce miał trochę wyrzutów sumienia, więc dał mu reszkę szynki.

Nocą Royce i Junie przeprowadzili poważną rozmowę. Rozważali, czy pochwalić się psią zdolnością pisania, i uznali, że lepiej nie. Dzieci kochały Robby'ego, a to okrutne zmuszać zwierzęta do takich sztuczek. Byli w końcu ludźmi wykształconymi.

Następnego ranka odkryli, że podjęli bardzo rozsądną decyzję. Wszyscy znajomi rozmawiali tylko o tym, że ich psy nagle nauczyły się pisać, odkręcać ogrodowe zraszacze, układać drewno i rozpalać w całkowicie wygasłym kominku.

- Mam najmądrzejszego psa na świecie - wołał Detweiler, ale zaraz umilkł ponuro, gdy wszyscy inni z drużyny kręglarskiej zaczęli się przechwalać własnymi.

- Mój teraz chodzi do toalety i spłukuje wodę! - zawołał ktoś.

- A moja suczka składa pranie, ale najpierw myje łapy, żeby niczego nie zabrudzić.

W gazetach pełno było takich historii. Stało się jasne, że nagły wzrost inteligencji u psów jest fenomenem ogólnokrajowym, a nawet światowym. Jeśli nie liczyć grupy zabobonnych Nowogwinejczyków, którzy spalili swoje psy jako czarowników, i pewnych Chińczyków, u których dziwne zachowanie nie ocaliło psów przed spotkaniem z patelnią, większość ludzi była zadowolona i dumna z przemiany swoich ulubieńców.

- Jest teraz dla mnie wart dwa razy tyle - przechwalał się Bili Wilson, niegdyś robiący karierę urzędnik cholernej energetyki. - Nie tylko łapie ptaki, ale skubie je, patroszy i wkłada do piekarnika.

A Kay Błock uśmiechnęła się i wróciła do domu, do swojego mastifa, który dotrzymywał jej towarzystwa i którego bardzo, ale to bardzo kochała.

- W ciągu pięciu lat od nagłego wzrostu psiej inteligencji - mówił profesor Wheelwright do swoich studentów - dowiedzieliśmy się bardzo wiele o tym, skąd się bierze zwierzęca inteligencja. Sama nagłość tego zjawiska sprawiła, że ponownie przyjrzelśmy się ewolucji. Najwyraźniej mutacje mogą być pełniejsze, niż wcześniej przy. puszczaliśmy, w każdym razie jeśli dotyczą funkcji wyższych. Naturalnie, większą część semestru poświęcimy na studiowanie i badanie psiej inteligencji, więc teraz tylko krótkie streszczenie. - W chwili obecnej uważa się, że inteligencja psów przewyższa inteligencję delfinów, choć nadal jest niższa od ludzkiej. Jednakże gdy inteligencja delfinów jest dla nas praktycznie bezużyteczna, psy można wytresować do roli cennych, choć prostych domowych służących. Wreszcie wydaje się, że człowiek nie jest już sam na tej planecie. Trudno powiedzieć, któremu ze zwierząt przytrafi się jeszcze taki skok inteligencji, zresztą nie jesteśmy pewni, czy taki skok w ogóle się jeszcze zdarzy.

Pytanie z sali.

- No cóż, boję się, że przypomina to teorię wielkiego wybuchu. Możemy domyślać się i zgadywać przyczyny pewnych zjawisk, ale ponieważ nie potrafimy ich powtórzyć w laboratorium, nigdy nie

będziemy mieć pewności. Jednakże można spekulować, że została osiągnięta pewna masa krytyczna całkowitej populacji psów w stosunku do całkowitej masy psiego mózgu, a to pchnęło gatunek na wyższy poziom inteligencji. Zmiana ta nie wpłynęła jednak na wszystkie psy w tym samym stopniu; dotknęła głównie psy z obszarów cywilizowanych. Wielu badaczy wyciąga z tego wniosek, że istotnym czynnikiem skoku było stałe towarzystwo ludzi. Jednakże sam fakt, że wiele psów, głównie w małych, niecywilizowanych częściach świata, nie uległo tej przemianie wcale, całkowicie obala teorię promieniowania czy innego czynnika z kosmosu jako generatora zmian. Przede wszystkim każde takie działanie byłoby wykryte przez astronomów, bez przerwy nasłuchujących nocnego nieba na wszystkich długościach fal, a po drugie, takie działanie wywarłoby wpływ na wszystkie psy jednocześnie.

Inne pytanie studenta.

- Kto wie? Ale wątpię. Psy nie są zdolne do mowy, choć wiele nauczyło się pisać proste zdania w sposób najwyraźniej mnemoniczny, coś pomiędzy ślepym powtarzaniem papug a bardziej sensownym powtarzaniem na wyższych prędkościach przez delfiny... oj, wpakowałem się w to zdanie i nie mogę go skończyć!

Studenci śmieją się.

- Psy, jak już mówiłem, nie są zdolne do kolejnego skoku inteligencji, a zwłaszcza do skoku, który zrówna ich z ludźmi, ponieważ nie potrafią komunikować się werbalnie i brakuje im rąk. Niewątpliwie osiągnęły szczyt ewolucyjnego rozwoju. Mieliśmy szczęście, że wskutek zbiegu tak wielu okoliczności człowiek znalazł się w miejscu, które obecnie zajmuje. Możemy przypuszczać, że gdzieś na jakiejś planecie innemu gatunkowi przytrafiła się jeszcze szczęśliwsza kombinacja, prowadząca do wyższej niż nasza inteligencji. Miejmy jednak nadzieję, że nie! - zakończył profesor, drapiąc za uszami swego psa B.F. Skinnera. - Mam rację, B.F.? Ponieważ człowiek mógłby sobie nie poradzić z istnieniem bardziej inteligentnej rasy. Śmiech.

- Hau - odpowiedział B.F. Skinner, który kiedyś nazywał się Hihiwkn i żył na planecie, gdzie białe sześciokąty telepatycznie pokonywały przestrzeń. Sześciokąty, które w obecnej sytuacji znalazły się z winy procesów słonecznych, jakich jeszcze nie nauczyły się kontrolować. To, co chciał powiedzieć, brzmiałoby:

- Niech się pan nie martwi, profesorze. Ludzkość nigdy nie będzie cierpieć z powodu istnienia wyższej inteligencji. Jest zbyt zarozumiała, żeby ją zauważyć.

Zamiast tego jednak zawarczał cicho, wychłęptał z miski trochę wody i położył się w kącie sali wykładowej. Profesor mówił dalej.

We wrześniu roku dwutysięcznego w Kansas spadł śnieg. Kiedy z nieba spłynęły pierwsze płatki, Jim (nie mówcie już do mnie Jim-my, jestem duży) był na dworze i bawił się z psem Robbym.

Robby pazurami i kłami wykopywał z ziemi jakieś zielsko, do czego zwykle zachęcali go Royce i Junie, kiedy Jim krzyknął nagle "Śnieg!" i płatek wylądował na trawie tuż przed nosem psa. Płatek stopniał natychmiast, ale Robby patrzył na następny, a potem jeszcze następny. Zobaczył wiele

płatków: delikatne sześciokątne figury, tak rzadkie i niezwykle, tak znajome i piękne. Zapłakał.

- Mamo! - zawołał Jim. - Robby chyba płacze!

- To tylko woda w oczach - odkrzyknęła Junie z kuchni, gdzie przy otwartym oknie myła rzodkiewki.  
- Psy nie płaczą.

Ale tej nocy śnieg okrył miasto grubą warstwą i wiele psów stało na nim i patrzyło, jak spada, dzieląc niewypowiedziany zachwyt.

- Nie możemy? - Raz za razem napływała myśl z setek, z tysięcy umysłów.

- Nie, nie, nie - padała rozpaczliwa odpowiedź.

Ponieważ - bez palców - jak mogą zbudować maszyny, które pozwolą im na ponowne odłączenie umysłów i opuszczenie planety?

W tej rozpacz po raz milionowy przeklęli tego durnia Mkli-klulna, który wpakował ich w taką sytuacją.

- Śmierć była za dobra dla drania - zgodzili się wszyscy i w ogólnoświatowym głosowaniu cofnęli podziękowanie za jego działalność. A potem zajęli się rodzeniem szczeniąt i uczeniem ich wszystkiego, co sami wiedzieli.

Szczeniaki przeżywały to lżej. Nigdy nie znały swoich przodków, więc śnieżne płatki były tylko zabawą, a zima tylko chłodem. I zamiast stać w śniegu, zwijały się w ciepłych budach i zasypiały.

## 7. ORIGINISTA

Leyel Forska siedział przed ekranem lektora i przeglądał ostatnio publikowane prace naukowe. W powietrzu przed nim unosił się hologram dwóch stron tekstu. Ekran był większy niż zwykle, ponieważ i oczy Leyela nie były młodsze od reszty ciała. Kiedy doszedł do końca, nie wcisnął klawisza PAGE, by kontynuować lekturę artykułu. Wcisnął NEXT.

Dwie strony przesunęły się o jakiś centymetr do tyłu, dołączając do kilkunastu zawieszonych nad lektorem, przeczytanych wcześniej artykułów. Z cichym dźwiękiem brzęczyka pojawiły się dwie nowe.

Deet jadła śniadanie.

- Dajesz temu biedakowi tylko dwie strony, zanim skażesz go na śmietnik? - spytała.

- Skazuję go na zapomnienie - odparł wesoło Leyel. - Nie, skazuję go na piekło.

- Co? Czyżbyś w tym wieku na nowo odkrył religię?

- Tworzę ją. Nie ma w niej nieba, za to jest straszliwe, wieczne piekło dla młodych uczonych, którzy sądzą, że mogą zdobyć sławę, atakując moje prace.

- A więc masz także teologię? - uśmiechnęła się Deet. - Twoje dzieło to pismo święte, a wszelkie ataki są bluźnierstwem?

- Cieszę się z inteligentnych ataków. Ale ten młody, zarozumiały profesor z... no tak, oczywiście, z Uniwersytetu Minus...

- Z Minus U?

- Myśli, że może mi zaprzeczyć, zniszczyć mnie, zetrzeć na proch, a przy tym cytuje jedynie prace opublikowane przez ostatni tysiąc lat.

- Zasada milenijnej głębokości wciąż jest szeroko stosowana...

- Zasada milenijnej głębokości to wyznanie współczesnych naukowców, że nie mają ochoty poświęcać na badania tyle czasu, ile na politykę akademicką. Już trzydzieści lat temu obaliłem zasadę milenijnej głębokości. Udowodniłem, że jest...

- Głupia i nierozsądna. Ale mój ukochany, najdroższy Leyelu, dokonałeś tego, wydając część niewyobrażalnie wielkiego majątku Forsków na poszukiwania niedostępnych i zapomnianych archiwów we wszystkich sektorach Imperium.

- Zaniebanych i niszczących archiwów. Połowę musiałem rekonstruować.

- Na badania prowadzone dla "Ludzkich początków na Planecie Zero" wydałeś więcej, niż wynoszą budżety bibliotek tysiąca uniwersytetów.

- Ale kiedy wydałem już te pieniądze, archiwa stanęły otworem. Są dostępne od trzydziestu lat. Poważni uczeni z nich korzystają, ponieważ zasada milenijnej głębokości daje im tylko przetrwioną i wydaloną masę. Przeszukują odchody szczurów, które pożarły słonie, i mają nadzieję znaleźć kość słoniową.

- Cóż za barwne porównanie. Śniadanie od razu bardziej mi smakuje. - Wsunęła tacę w szczelinę zmywarki i spojrzała na niego z irytacją. - Dlaczego jesteś taki nerwowy? Kiedyś czytałeś mi fragmenty tych niemądrych artykułików i śmialiśmy się razem. Teraz jesteś tylko złośliwy.

Leyel westchnął.

- Być może kiedyś marzyłem, że zmienię galaktykę, a poczta codziennie dostarcza mi dowodów, że galaktyka nie chce się zmienić.

- Nonsens. Hari Seldon przewiduje, że Imperium upadnie lada dzień.

Teraz... Wymówiła imię Hariego. Chociaż jest zbyt taktowna, żeby otwarcie mówić, co go dręczy, sugeruje, że przyczyną złego humoru Leyela jest długie oczekiwanie na odpowiedź Hariego Seldona. Może i tak - Leyel nie zaprzeczy. To rzeczywiście irytujące, że Hari tak długo nie odpisuje. Leyel spodziewał się wiadomości tego samego dnia, kiedy wysłał swoje podanie. Najwyżej w ciągu tygodnia. Ale nie miał zamiaru dawać jej satysfakcji i przyznawać, że czekanie go denerwuje.

- Imperium zostanie zgładzone przez własną niechęć do zmiany. Zamykam sprawę.

- Cóż, mam nadzieję, że przyjemnie spędzisz rano, burcząc i narzekając na głupotę wszystkich badaczy originistów, z wyjątkiem swojej szacownej osoby.

- Dlaczego akurat dzisiaj naśmiewasz się z mojej próżności?

Zawsze byłem próżny.

- Uważam, że to jedna z twoich najbardziej rozczulających cech.

- Przynajmniej staram się dorównać własnej opinii o sobie.

- To głupstwo. Dorównujesz nawet mojej opinii o tobie.

Pocałowała go w łysinę na czubku głowy i pobiegła do łazienki.

Leyel wrócił do lektury nowego eseju na ekranie. Nie znał nazwiska autorki. Spodziewając się pretensjonalnego stylu i niedojrzałych myśli, ze zdziwieniem zauważył swoje rosnące zaciekawienie.

Kobieta podążała szlakiem studiów nad naczelnymi - dziedziną tak dawno zarzuconą, że po prostu nie istniały prace w zakresie milenijnej głębokości. Wiedział, że jest prawdziwym naukowcem, jak on. Wspomniała nawet, że korzysta z archiwów udostępnionych przez Fundację Naukową Forski. Leyer nie wstydził się zadowolenia z tego eleganckiego wyrazu wdzięczności.

Jak się zdaje, kobieta - doktor Thoren Magolissian - podążała tropem Leyela i poszukiwała raczej źródeł pochodzenia człowieka, nie tracąc czasu na nieistotną pogoń za jedną szczególną planetą. Odkryła skarbiec prac dotyczących badań naczelnych, pochodzących sprzed trzech tysięcy lat i opartych na obserwacjach goryli i szympanсів sprzed siedmiu tysięcy lat. Najwcześniejsze z nich powoływały się na badania tak stare, że mogły być przeprowadzone jeszcze przed powstaniem Imperium -jednak tych pradawnych raportów nie udało się zlokalizować. Prawdopodobnie już nie istniały. Bardzo trudno jest odtworzyć teksty porzucone na dłużej niż pięć tysięcy lat; starsze niż osiem tysięcy są po prostu nieczytelne. To tragiczne, jak wiele takich tekstów zostało zmagazynowanych przez bibliotekarzy, którzy nigdy ich nie sprawdzali, nie odświeżali i nie kopiowali. Zarządzali ogromnymi archiwami, które utraciły każdy strzęp zrozumiałej informacji. I wszystko równo skatalogowane, ma się rozumieć, dzięki czemu dokładnie wiadomo, co takiego ludzkość na zawsze utraciła. Mniejsza z tym.

Artykuł Magolissian... Leyela zaskoczył jej wniosek, że prymitywna zdolność tworzenia języka wydaje się wrodzoną cechą umysłów naczelnych. Nawet naczelne niezdolne do artykulacji mowy łatwo uczą się innych symboli - przynajmniej dla prostych rzeczowników i czasowników. Potrafią układać zdania, wyrażać idee, których nigdy im nie przekazywano. To znaczy, że tworzenie języka jako takiego jest cechą przedludzka, a w każdym razie nie jest czynnikiem decydującym o człowieczeństwie.

To szokująca idea. Wynikało z niej, że różnica pomiędzy ludźmi i nieлюдźmi - a więc prawdziwy początek człowieka w rozpoznawalnej ludzkiej postaci - był w istocie postlingwistyczny. Oczywiście, stało to w jawnej sprzeczności z jednym z założeń samego Leyela, umieszczonym we wczesnej pracy. Napisał tam, że "ponieważ to język odróżnia człowieka od zwierzęcia, lingwistyka historyczna może nam dostarczyć klucza do zagadki pochodzenia człowieka". Ale takie sprzeczności witał z radością. Żałował, że nie może zawołać do poprzedniego autora: Widzisz? Tak się to robi! Trzeba podawać w wątpliwość założenia, nie wnioski, i robić to za pomocą nowych dowodów, zamiast wciąż przedstawiać stare. Rozświetlić mrok, a nie tylko mieszać ten sam muł na dnie rzeki.

Zanim jednak dotarł do głównej treści artykułu, komputer domowy poinformował go, że ktoś czeka przed drzwiami. Wiadomość przesunęła się powoli u dołu ekranu, wypisana literami dostatecznie dużymi, by mógł je przeczytać. Po raz tysięczny pożałował, że gdzieś w dekamileniach ludzkiej historii nikt nie zbudował komputera zdolnego do mowy.

- Kto to? - wpisał Leyer.

Chwila oczekiwania, kiedy komputer wypytywał przybysza. Na ekranie pojawiła się odpowiedź.



- Kurier specjalny z wiadomością dla Leyela Forski.

Sam fakt, że kurier przedostał się przez system bezpieczeństwa, oznaczał, że wiadomość jest prawdziwa - i ważna.

- Od kogo? - wpisał Leyel. Znów chwila przerwy.

- Od Hariego Seldona z Fundacji Encyklopedii Galaktycznej. Leyel poderwał się z fotela. Był przy drzwiach, zanim jeszcze

domowy komputer zdążył je otworzyć. Bez słowa odebrał wiadomość. Drżącymi palcami ścisnął czarny romb, wykazując odciskiem palca, że on to on, a temperaturą ciała i pulsem, że jest żywy. Kiedy kurier i jego ochrona zniknęli, wrzucił wiadomość do komory swojego lektora i czekał, aż pojawi się przed nim stronica.

Na górze umieszczono trójwymiarową wersję logo Fundacji Encyklopedycznej Hariego. Wkrótce będzie to również mój znak, pomyślał Leyel. Hari Seldon i ja, dwóch największych uczonych naszych czasów, pracujących wspólnie nad projektem, którego zakres przewyższa wszystko, co kiedykolwiek próbował osiągnąć człowiek.

Zebranie razem całej wiedzy Imperium, usystematyzowanie jej dla łatwego dostępu, w celu przechowania jej w nadchodzącej erze anarchii, aby nowa cywilizacja szybko mogła powstać z popiołów starej. Hari miał wizję i przewidział taką potrzebę. A ja, Leyel Forska, poznałem stare archiwa, dzięki którym Encyklopedia Galaktyczna będzie możliwa.

Leyel zaczął czytać ze spokojem i pewnością płynącymi z doświadczenia. Czy kiedykolwiek pragnął czegoś i nie uzyskał?

Drogi przyjacielu,

Byłem zdziwiony i zaszczycony, widząc Twoje podanie, postanowiłem więc odpowiedzieć Ci własnoręcznie. Świadomość, że wierzysz w Fundację tak bardzo, by chcieć w niej pracować, przyniosła mi niezmierną radość. Mogę Ci szczerze wyznać, że nie wpłynęła do nas podobna prośba od żadnego z uczonych, dorównujących Ci sławą i osiągnięciami.

Oczywiście, pomyślał Leyel. Przecież nie ma innego uczonego o mojej pozycji, z wyjątkiem samego Hariego, no i może Deet, kiedy opublikuje już swoją aktualną pracę. W każdym razie nie mamy sobie równych według norm, które Hari i ja zawsze uznawaliśmy. Hari stworzył nauką psychohistorii, ja przetworzyłem i ożywiłem dziedzinę originizmu.

A mimo to ton listu Hariego nie był właściwy. Przypominał... pochlebstwa. Właśnie. Hari chciał złagodzić cios. Leyel bez czytania wiedział, co znajdzie w następnym akapicie.

Niemniej jednak, Leyelu, muszę odpowiedzieć odmownie. Fundacja na Terminusie ma za zadanie zbieranie i przechowywanie wiedzy. Dziełem Twego życia jest jej poszerzanie. Jesteś

przeciwieństwem badaczy, jakich potrzebujemy. O wiele lepiej będzie, jeśli zostaniesz na Trantorze, by kontynuować swoje bezcenne studia, gdy mniejszego kalibru mężczyźni i kobiety odejdą na wygnanie na Terminusa.

Szczerze oddany

Hari

Czy Hari wyobrażał sobie, że Lylel jest tak próżny, by czytać te pochlebne słowa i puszyć się z zadowolenia? Czy myślał, że Lylel uwierzy, iż taki jest prawdziwy powód odrzucenia jego prośby? Czy Hari Seldon mógł tak zupełnie nie znać przyjaciela?

Niemożliwe. Hari Seldon znał się na ludziach lepiej niż ktokolwiek w Imperium. Owszem, jego wielkie dzieło, psychohistoria, zajmowało się wielkimi masami ludzkimi, populacjami i prawdopodobieństwami. Ale zainteresowanie społeczeństwami brało się u Hariego z przychylności i zrozumienia dla pojedynczych ludzi. Poza tym byli przyjaciółmi od dnia, gdy Hari pierwszy raz zjawił się na Trantorze. Czy to nie grant z Fundacji Naukowej Leyela sfinansował większą część jego początkowych badań? Czy w tamtych dniach nie prowadzili długich rozmów, nie przerzucali się ideami, nie pomagali sobie wzajemnie w precyzowaniu myśli? Owszem, nie widzieli się już prawie... ile? Pięć lat? Sześć? Ale przecież są dorosłymi ludźmi, nie dziećmi. Nie potrzebują ciągłych odwiedzin dla podtrzymania przyjaźni. A to nie był list, jaki prawdziwy przyjaciel wysłałby Lylelowi Forsce. Gdyby nawet - choć to wątpliwe - Hari Seldon naprawdę chciał mu odmówić, nie sądziłby nawet przez chwilę, że Lylel zadowolony się takim listem.

Z pewnością Hari Seldon wiedział, że dla Leyela Forski byłaby to drwina. "Mniejszego kalibru mężczyźni i kobiety", akurat! Fundacja na Terminusie jest dla Hariego tak cenna, że gotów był zaryzykować śmierć pod zarzutem zdrady, byle tylko uruchomić projekt. To całkiem nieprawdopodobne, żeby wysłał na Terminusa badaczy drugiej kategorii. Nie, to standardowy list, wysyłany, by ułagodzić znanych uczonych, nie nadających się dla Fundacji. Hari z pewnością by wiedział, że Lylel natychmiast to zrozumie.

Istniało tylko jedno możliwe wyjaśnienie.

- Hari nie mógł napisać tego listu - oświadczył Lylel.

- Oczywiście, że mógł - odpowiedziała Deet, szczerza jak zawsze.

Wyszła z łazienki w szlafroku i przeczytała mu list przez ramię.

- Jeżeli nawet ty tak myślisz, to naprawdę jestem urażony - rzekł Lylel.

Wstał, nalał sobie kubek peshatu i sączył go wolno. Demonstracyjnie unikał wzroku Deet.

- Nie dąsaj się, Lylelu. Pomyśl o problemach, jakie musi pokonać Hari. Sto tysięcy ludzi do przetrzucenia na Terminusa, większość zbiorów Biblioteki Imperialnej do skopiowania...

- On miał już tych ludzi...

- A wszystko to w sześć miesięcy od zakończenia procesu. Nic dziwnego, że nie widzieliśmy go prywatnie ani służbowo od jak dawna? Od dziesięciu lat?

- Chcesz powiedzieć, że już mnie nie zna? Wykluczone.

- Chcę powiedzieć, że zna cię bardzo dobrze. Wiedział, że rozpoznasz w tej wiadomości standardową odmowę. I wiedział, że natychmiast zrozumiesz, co oznacza.

- W takim razie, moja droga, przecenił mnie. Nie rozumiem, co oznacza ta wiadomość, chyba tylko tyle, że nie sam ją wysłał.

- W takim razie starzejesz się i wstyd mi za ciebie. Będę zaprzeczać, że jesteśmy małżeństwem, i udawać, że jesteś moim zidiociałym wujem, któremu z litości pozwałam u siebie mieszkać. Powiem dzieciom, że pochodzą z nieprawego łoża. Bardzo je zasmuci, że nie odziedziczą ani cząstki majątku Forsków.

Rzucił w nią okrucieństwem grzanki.

- Jesteś okrutną, nielojalną ladacznicą i żałuję, że wyniosłem cię z nędzy i zapomnienia. Wiesz, że zrobiłem to tylko z litości.

Często się tak przekomarzali. Deet dysponowała sporym osobistym majątkiem, choć oczywiście skromnym wobec fortuny Forsków. I - formalnie rzecz biorąc - był jej wujem, gdyż jej macochą była Zenna, starsza przyrodnia siostra Leyela. Wszystko to bardzo skomplikowane. .. Matka Leyela urodziła Zennę, kiedy była żoną kogoś innego, zanim jeszcze wyszła za ojca Leyela. Dlatego, choć Zenna otrzymała godziwy posąg, nie miała praw do majątku Forsków. Rozbawiony tą sytuacją ojciec Leyela powiedział mu kiedyś: „Biedna Zenna. A ty masz szczęście. Moje nasienie spływa złotem”. Los bywa ironiczny, kiedy ma do czynienia z wielką fortuną. Ludzie biedni nie muszą czynić tak strasznych różnic między dziećmi.

Jednak ojciec Deet wierzył, że Forska to Forska. Kilka lat po ślubie Deet i Leyela uznał, że nie wystarczy wydać córkę za niezmiernie bogactwo; sobie też powinien wyświadczyć podobną przysługę. Twierdził, oczywiście, że kocha Zennę do szaleństwa, ale nikt prócz niej mu nie wierzył. Dlatego wyszła za niego. W ten sposób przyrodnia siostra Leyela została macochą Deet, co czyniło samego Leyela wujem żony - i własnym także, choć tylko przez spowinowacenie. Ta dynastyczna płatanina niezwykle śmieszyła ich oboje.

Brak prawa do spadku Leyel zrekompensował siostrze dożywotnim stypendium w wysokości dziesięciokrotnie przekraczającej zarobki męża. Szczęśliwie podtrzymało to miłość ojca Deet do Zenny.

Dziś jednak Leyel tylko po części żartował. Bywały chwile, kiedy szukał u niej potwierdzenia i poparcia. A ona często mu się wtedy sprzeciwiała. Niekiedy skłaniało go to do przemyślenia sytuacji

i lepszego jej zrozumienia - teza, antyteza, synteza, dialektyka małżeństwa, wynik związku z kimś równym sobie intelektualnie. Czasem jednak jej docinki bywały bolesne, zniechęcające, irytujące...

Nie wiedząc o wzbierającym w nim gniewie, ciągnęła dalej.

- Hari zakładał, że ten oficjalny list uznasz za to, czym jest w istocie: nieodwołalnym, końcowym "nie". Niczego nie ukrywa, nie planuje żadnych biurokratycznych sztuczek, nie bawi się z tobą w politykę. Nie próbuje budzić nadziei, licząc na pomoc finansową. Gdyby o to chodziło, sam wiesz, że by zwyczajnie poprosił.

- Sam wiem, czego nie robi.

- Robi tyle, że odmawia ci definitywnie. To odpowiedź, od której nie ma odwołania. Uznał, że masz dość rozumu, by to pojąć.

- Byłoby ci wygodniej, gdybym w to uwierzył. Teraz wreszcie zrozumiała, że jest zły.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Możesz zostać na Trantorze i kontynuować badania ze swoimi biurokratycznymi przyjaciółmi.

Zesztywniała.

- Już ci mówiłam. Z radością odleczę z tobą na Terminusa.

- I mam w to uwierzyć? Teraz? Nie możesz na Terminusie kontynuować studiów nad tworzeniem społeczności wśród imperialnej biurokracji.

- Zakończyłam już najważniejsze badania. Teraz wykonuję tylko testy z pracownikami Biblioteki Imperialnej.

- Nawet nie naukowe testy, bo brakuje ci grupy kontrolnej. Zdenerwowała się.

- Sama ci o tym mówiłam.

To prawda. Leyel nigdy nie słyszał o grupach kontrolnych, dopóki nie wyjaśniła mu całej koncepcji eksperymentu. Znalazła te zasady w jakichś bardzo starych pracach dotyczących rozwoju dzieci, z lat trzy tysiące setnych ery Imperium.

- Fakt. Chciałem tylko przyznać ci rację - odpowiedział pokornie.

- Chodzi o to, że swoją książkę mogę pisać równie dobrze na Terminusie, jak gdziekolwiek indziej. I tak, Leyelu, powinieneś uwierzyć, że z radością będę ci towarzyszyć, ponieważ tak właśnie powiedziałam, a zatem to prawda.

- Wierzę, że sama w to wierzysz. Ale wierzę też, że w głębi serca jesteś bardzo zadowolona z

mojego niepowodzenia, I nie chcesz, żebym dłużej zajmował się tą sprawą, dzięki czemu w żaden sposób nie będziesz musiała lecieć na zapomniany przez Boga kraniec wszechświata.

To były jej własne słowa, sprzed miesiąca, kiedy pierwszy raz zaproponował przyłączenie się do Fundacji Seldona. "Będziemy musieli lecieć na zapomniany przez Boga kraniec wszechświata!" Pamiętała o tym nie gorzej od niego.

- Wiecznie będziesz mi to wypominał, tak? Uważam, że moja pierwsza reakcja zasługuje na wybaczenie. Zgodziłam się lecieć, prawda?

- Zgodziłaś się, owszem. Ale nigdy nie chciałaś.

- No cóż, Leyelu, to rzeczywiście prawda. Nigdy nie chciałam. Czy tak sobie wyobrażasz nasze małżeństwo? Mam wtopić się w ciebie tak głęboko, że nawet twoje pragnienia staną się moimi? Sądziłam, że wystarczy, byśmy od czasu do czasu zgodzili się coś dla siebie poświęcić. Nie wymagałam, żebyś chciał opuścić posiadłości Forsków i lecieć na Trantor, kiedy ja kończyłam tu badania. Poprosiłam tylko, żebyś to zrobił, chcesz czy nie, ponieważ ja chciałam. Uznałam i uszanowałam twoją ofiarę. I teraz z przykrością stwierdzam, że ty wzgardziłeś moją.

- Twoja ofiara nadal nie została złożona. Wciąż jesteśmy na Trantorze.

- Ależ proszę cię bardzo, idź do Hariego Seldona, proś go, ponizaj się, aż zrozumiesz, że jest tak, jak mówię. Nie chce, żebyś dołączył do jego Fundacji, i nie pozwoli ci lecieć na Terminusa.

- Taka jesteś pewna?

- Nie, nie jestem pewna. Po prostu uważam to za bardzo prawdopodobne.

- Polecę na Terminusa, jeśli tylko on się zgodzi. Mam nadzieję, że nie wyruszę sam.

Natychmiast pożałował tych słów. Deet zeszywniała, jakby ją uderzył; pobladła ze zgrozy. Potem odwróciła się i wybiegła. Po chwili usłyszał dzwonek sygnalizujący otwarcie drzwi. Deet wyszła.

Na pewno porozmawia o wszystkim z którąś ze swoich przyjaciółek. Kobiety nie znają pojęcia dyskrecji. Nie potrafią zachować domowych sprzeczek dla siebie. Powtórzy im te wszystkie straszne rzeczy, które mówiłem, a one będą cmokać i tłumaczyć, że tego właśnie można się spodziewać po mężu, mężowie żądają, żeby to żona stale się poświęcała, biedactwo moje, biedna, biedna Deet. Leyel nie miał jej za złe tego stadka współczujących kwok. Wiedział, że leży to w ludzkiej naturze - kobiety zawsze tworzą spiski przeciwko mężczyznom swojego życia. Dlatego też zawsze są pewne, że mężczyźni także spiskują przeciwko nim.

To zabawne, myślał. Mężczyźni nie mają takiej ucieczki. Mężczyźni nie łączą się tak łatwo w społeczności. Mężczyzna stale zdaje sobie sprawę z możliwości zdrady, konfliktu lojalności. Kiedy więc mężczyzna wiąże się z kimś, jest to wyjątkowy i święty związek, którego nie należy

lekceważyć, dyskutując o nim z ludźmi. Nawet w małżeństwie, nawet w udanym małżeństwie, jak ich - on może poświęcić się całkowicie, ale nigdy nie zaufa w pełni jej poświęceniu.

Leyel zatonął w małżeństwie bez reszty; służył, pomagał i kochał Deet całym sercem. Myliła się, całkowicie się myliła co do jego przyjazdu na Trantor. To nie była ofiara, nie leciał tu wbrew swej woli, tylko dlatego, że ona tego chciała. Wręcz przeciwnie: ponieważ pragnęła tego tak bardzo, on także zapragnął przeprowadzki, zmieniając nawet swe chęci, by dopasować je do niej. Zawładnęła jego sercem i nie mógł nie pragnąć czegoś, co niesło jej radość.

Ale ona nie, ona nie była do tego zdolna. Dla niej przeniesienie na Terminusa będzie szlachetną ofiarą. Nie pozwoli mu zapomnieć, że wcale tego nie chciała. Dla niego ich małżeństwo było samym życiem, dla niej po prostu przyjaźnią połączoną z seksem. Jej dusza należała w równym stopniu do niego, co do tych kobiet. A dzieląc lojalność, pomniejszała ją, żadna część nie była dość silna, by zmienić jej pragnienia.

W ten sposób odkrył to, co -jak przypuszczał - prędzej czy później odkrywają wszyscy wierni mężowie: że każdy związek jest niepewny. Nie istnieje coś takiego jak nierozzerwalna więź między dwojgiem ludzi. Są jak cząstki w jądrze atomu: związane najpotężniejszą siłą we wszechświecie, a przecież można je rozbić, rozerwać...

Nic nie trwa wiecznie. Nic nie jest w końcu takie, jakie wydawało się na początku. Deet i on żyli w idealnym związku, dopóki nie pojawił się stres, który ujawnił jego niedoskonałość. Każdy, kto sądzi, że znalazł doskonałą miłość, doskonałą przyjaźń, doskonałe zaufanie, wierzy w to tylko dlatego, że nie pojawił się jeszcze stres, który zrywa więzy. Może umrzeć w iluzji szczęścia, ale dowiedzie tym jedynie faktu, że śmierć przybywa czasami wcześniej niż zdrada. Jeśli ktoś żyje dostatecznie długo, nieuchronnie zostanie zdradzony.

Takie mroczne myśli krążyły po głowie Leyela, kiedy maszerował przez labirynt miasta Trantor. Wychodząc na ulice ogólnoplanetarnego miasta, nie zamykał się w prywatnym wozie. Chciał unikać pułapek bogactwa; chciał przeżywać pobyt na Trantorze jak zwykły człowiek. Jego ochrona otrzymała ścisłe rozkazy, by zachować dyskrecję, nie zatrzymywać żadnych przechodniów z wyjątkiem noszących broń, co wykrywałyby subtelne i błyskawiczne skanery.

Oczywiście, takie wędrówki po mieście były o wiele bardziej kosztowne: kiedy tylko przestępował próg mieszkania, do akcji przystępowało niemal stu dobrze opłacanych i niepodatnych na przekupstwo ludzi. Pancerny samochód byłby tańszy. Ale Leyel postanowił, że nie da się uwieźć przez swoje bogactwo.

Kroczył więc tunelami miasta, jeździł taksówkami i kolejkami jak każdy obywatel. Czuł, jak wokół pulsuje życie. A jednak w tym smutnym, melancholijnym nastroju nawet życie miasta budziło w nim uczucie zawodu i straty. Nawet ciebie, wielki Trantorze, stolico Imperium, nawet ciebie zdradzą ludzie, którzy cię stworzyli. Imperium cię porzuci i staniesz się żalospną resztką samego siebie, obudowaną metalem tysiąca planet i asteroidów - pamiątką po dniach, kiedy cała galaktyka ślubowała służyć ci po wieczność, a jednak zostałeś opuszczony. Hari Seldon to przewidział. Hari

Seldon rozumiał zmienność ludzkości. Wiedział, że wielkie imperium upadnie, a więc -w przeciwieństwie do rządu, który dbał, by wszystko trwało niezmiennie - Hari Seldon mógł podjąć kroki, by ten upadek złagodzić, by na Terminusie przygotować macicę dla ponownych narodzin ludzkiej wielkości. Hari tworzył przyszłość. Nie do pomyślenia, że chciałby odmówić Leyelowi Forsce udziału w tej pracy.

Fundacja, kiedy już została oficjalnie uznana i zyskała imperialne fundusze, szybko rozrosła się w ruchliwy kompleks biurowy, zajmując liczący cztery tysiące lat Gmach Putassuryjski. Ponieważ Putassuran wzniesiono początkowo jako siedzibę admiralicji, wkrótce po wielkim zwycięstwie, którego nazwę nosił, reprezentował styl triumfalny, monumentalny optymizm - ciągi strzelistych łuków z bańkami światła wznoszącymi się tanecznie w kolumnach powietrza. W ostatnich stuleciach budynek służył za miejsce nieoficjalnych koncertów i publicznych wykładów, a w części biurowej mieściło się Muzeum Władzy. Opustoszał zaledwie rok przed udzieleniem Seldonowi zgody na założenie Fundacji, ale zdawało się, że powstał specjalnie dla niej. Ludzie biegali tu we wszystkie strony, jakby mieli do załatwienia jakieś niecierpiące zwłoki sprawy, a przy tym byli zadowoleni, że pracują dla szlachetnego celu. Już od bardzo, bardzo dawna Imperium nie znało szlachetnych celów.

Leyel pospiesznie zagłębił się w labirynt, chroniący dyrektora Fundacji przed przypadkowymi natrętami. Wielu ludzi chciało zapewne zobaczyć się z Harim Seldonem, ale skutecznie powstrzymywał ich ten czy inny urzędnik. Hari Seldon jest bardzo zajęty. Może zechce się pan umówić na inny termin? Dzisiaj spotkanie jest wykluczone. Ma narady przez całe popołudnie i wieczór. Proszę zatelefonować, zanim znowu pan przyjdzie.

Ale Leyelowi Forsce takie rzeczy się nie zdarzały. Wystarczyło, że mówił "Proszę powtórzyć panu Seldonowi, że pan Forska chciałby dokończyć rozmowę". Choćby bali się Hariego Seldona, choćby z całego serca chcieli wykonywać polecenia i bronić go przed intruzami, wiedzieli, że Leyel Forska jest wyjątkiem. Nawet Linge Chena wywołano by z posiedzenia Komisji Bezpieczeństwa Publicznego, gdyby Forska chciał się z nim spotkać - a zwłaszcza gdyby Leyel zadał sobie trud i przybył osobiście.

Łatwość, z jaką dostał się do Hariego, podniecenie i zapał spotkanych po drodze ludzi, sam budynek wreszcie, tak bardzo dodały mu otuchy, że całkiem nie był przygotowany na słowa, jakimi powitał go Hari.

- Leyel! Dziwię się, że cię tu widzę. Sądziłem, że zrozumiesz. Moja odmowa była ostateczna.

To najgorsze, co Hari mógł powiedzieć. Czyżby Deet jednak miała rację? Leyel przez chwilę wpatrywał się w twarz przyjaciela, próbując dostrzec jakieś oznaki przemiany. Co takiego zaszło między nimi przez te lata, teraz zapomniane? Czyżby przyjaźń Hariego nigdy nie była szczerą? Nie. Jego twarz, bardziej pomarszczona niż kiedyś, wyrażała tę samą co zawsze otwartość, tę samą zwykłą uczciwość. Zamiast więc mówić o złości i rozczarowaniu, Leyel odpowiedział ostrożnie, pozostawiając Hariemu otwartą drogę do zmiany decyzji.

- Zrozumiałem, że twoja wiadomość była zwodnicza, a zatem nie mogła być ostateczna.

Hari trochę się zirytował.

- Zwodnicza?

- Wiem, kogo przyjmujesz do swojej Fundacji. To nie są ludzie małego kalibru.

- W porównaniu z tobą, owszem, są - odparł Hari. - To akademicy, a to oznacza, że są urzędnikami. Sortują i interpretują informację.

- Tak jak ja. Jak wszyscy współcześni uczeni. Nawet twoje genialne teorie są wnioskami z trylionów bajtów posortowanej i zinterpretowanej informacji.

Hari pokręcił głową.

- Ja nie tylko sortowałem dane. Miałem w głowie ideę. Ty też. I niewielu innych. Ty i ja poszerzamy ludzką wiedzę. Większość pozostałych rozkopuje ją tylko w jednym miejscu i przesypuje w inne. I tym właśnie ma być Encyklopedia Galaktyczna: nowym stosem danych.

- Mimo to, Hari, obaj wiemy, że nie z tego powodu mi odmówiłeś. I nie tłumacz, że obecność Leyela Forski na Terminusie ściągnęłaby na twoje przedsięwzięcie niepożądaną uwagę. Rząd już teraz obserwuje cię tak pilnie, że ledwie możesz odetchnąć.

- Jesteś nieprzyjemnie natarczywy, Leyelu. Nie mam ochoty prowadzić dłużej tej rozmowy.

- To fatalnie, Hari. Chcę być częścią twojego dzieła. Przydam się bardziej niż inni. To przecież ja przebiłem się do najstarszych i najcenniejszych archiwów, odkryłem, jak haniebnie wiele danych zostało utraconych w wyniku niedbałości. To ja rozpocząłem komputerową ekstrapolację zniszczonych dokumentów, od której twoja Encyklopedia...

- Jest całkowicie uzależniona. Bez twoich osiągnięć nasza praca nie byłaby możliwa.

- A jednak odmówiłeś mi, wysyłając list z prymitywnymi pochlebstwami.

- Nie chciałem cię urazić, Leyelu.

- Nie chciałeś też powiedzieć prawdy. Ale mnie powiesz, Hari, albo i tak polecę na Terminusa.

- Komisja Bezpieczeństwa Publicznego dała mojej Fundacji wyłączne prawo decyzji, kto może, a kto nie może lecieć na Terminusa.

- Hari... Doskonale wiesz, że wystarczy mi tylko zasugerować jakiemuś urzędnikowi niższego szczebla, iż chciałbym polecieć. Chen dowie się o tym w kilka minut, a po godzinie uzna, że jestem wyjątkiem od twoich reguł. Wiesz o tym, Hari. Jeśli chcesz, żebym nie leciał, musisz nie tylko mi zabronić, ale przekonać mnie, że nie powinienem.



Hari przymknął oczy i westchnął.

- Nie wydaje mi się, żebyś miał ochotę zostać przekonany, Leyelu. Leć, jeśli musisz.

Przez moment Leyel uwierzył niemal, że Hari rezygnuje. Ale nie, to niemożliwe, nie tak łatwo.

- Oczywiście, Hari. A potem okaże się, że jestem odizolowany od wszystkich pracowników na Terminusie, z wyjątkiem mojej własnej służby. Że zbywa się mnie bezużytecznymi zadaniami i nie dopuszcza do prawdziwej pracy.

- To jest chyba zrozumiałe samo przez się. Nie jesteś częścią Fundacji, nie będziesz, nie możesz być. A jeśli użyjesz swojego bogactwa i wpływów, żeby wkroczyć tam siłą, uda ci się tylko zirytować Fundację. Rozumiesz mnie?

Aż za dobrze, pomyślał zawstydzony Leyel. Doskonale znał granice władzy; to poniżej jego godności, by przemocą zdobywać to, co można otrzymać jedynie w darze.

- Wybacz, Hari. Nie próbowałbym cię zmuszać. Wiesz, że nie robię takich rzeczy.

- Wiem, że nie robiłeś, odkąd zostaliśmy przyjaciółmi. Przestraszyłem się, Leyelu, że właśnie dowiaduję się o tobie czegoś nowego. - Hari westchnął. Odwrócił się na chwilę, a kiedy znowu spojrzał na gościa, jego twarz całkiem zmieniła wyraz, a w głosie zabrzmiała nowa energia. Leyel znał tę minę, ten wigor; oznaczały, że Hari będzie z nim mówił całkiem szczerze. - Musisz zrozumieć, Leyelu, że na Terminusie nie tylko tworzę Encyklopedię.

Leyel przestraszył się. Musiał wykorzystać swoje wpływy, by przekonać rząd, że nie należy skazywać Hariego Seldona na wygnanie, kiedy zaczaj rozpowszechniać kopie swego traktatu o nadchodzącym upadku Imperium. Byli pewni, że Hari planuje zdradę, i nawet postawili go przed sądem, gdzie przekonał wszystkich, że zamierza jedynie stworzyć Encyklopedię Galaktyczną, składnicę całej ludzkiej wiedzy. Jeszcze teraz, gdyby zdradził ukryte motywy, rząd wystąpiłby przeciw niemu. Należało zakładać, że bezpieczni - Biuro Bezpieczeństwa Publicznego - nagrywają tę rozmowę. Nawet wpływy Leyela niewiele by pomogły, gdyby zdobyli wyznanie z własnych ust Hariego.

- Nie, Leyelu, nie denerwuj się. To oczywiste. Aby powstała Encyklopedia Galaktyczna, muszę stworzyć na Terminusie kwitnące miasto uczonych. Kolonię mężczyzn i kobiet o kruchych ego i niepowstrzymanej ambicji, wyćwiczonych we wściekłych walkach politycznych w najniebezpieczniejszych, najstraszniejszych szkołach biurokratycznych starców w całym Imperium: na uniwersytetach.

- Chcesz powiedzieć, że nie przyjmiesz mnie do Fundacji, bo nigdy nie uczęszczałem na któryś z ich żalonych uniwersytetów?

To prawda, jestem samoukiem, ale moja edukacja warta jest dziesięć razy więcej niż ich stadne, wymuszone nauczanie.

- Nie musisz przede mną wygłaszać antyuniwersyteckich haseł, Leyelu. Mówię tylko, że jednym z najpoważniejszych problemów w doborze pracowników Fundacji jest ich zgodność. Nikogo nie wezmę na Terminusa, jeśli nie mam pewności, że ten ktoś będzie tam szczęśliwy... albo szczęśliwa.

To, jak Hari zaakcentował słowo "szczęśliwa", wyjaśniło niemal wszystko.

- Tutaj nie chodzi o mnie, prawda? - domyślił się Leyel. - To Deet. Hari milczał.

- Wiesz, że ona nie chce lecieć. Wiesz, że woli zostać na Trantorze. I dlatego nie chcesz mnie przyjąć! Zgadłem?

- Rzeczywiście, ma to pewien związek z Deet - przyznał niechętnie Hari.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ile dla mnie znaczy Fundacja? Zdajesz sobie sprawę, z czego mógłbym zrezygnować, żeby włączyć się w twoją pracę?

Przez chwilę Hari nie odpowiadał.

- Nawet z Deet? - zapytał wreszcie cichym głosem. Niewiele brakowało, by Leyel odpowiedział bez namysłu: Tak,

oczywiście, nawet z Deet; wszystko dla tego wielkiego dzieła.

Ale powstrzymało go chłodne spojrzenie Hariego. Jednego się nauczył od czasu ich pierwszego spotkania na konferencji, jeszcze w latach młodości: Hari nie znosił samooszukiwania się. Siedzieli obok siebie na referacie pewnego znanego wówczas demografa. Leyel widział, jak Hari kilkoma dobrze wymierzonymi pytaniami rozbił tezy biedaka w proch. Demograf był wściekły. Wyraźnie nie dostrzegł luk w swoim rozumowaniu, a teraz, kiedy mu je wskazano, nie chciał przyznać, że to rzeczywiście luki.

- Zrobiłem mu przysługę - powiedział później Hari do Leyela.

- Jak? Dając mu kogoś, kogo może nienawidzić?

- Nie. Przedtem wierzył w swoje nieuzasadnione wnioski. Oszukiwał sam siebie. Teraz już nie wierzy.

- Ale nadal je głosi.

-Owszem. I teraz jest bardziej kłamcą niż głupcem. Przyczyniłem się do zintegrowania jego osobowości. Moralność to już jego problem.

Leyel pamiętał to zdarzenie i wiedział, że gdyby teraz zapewnił o swojej gotowości porzucenia Deet dla jakiegokolwiek powodu, nawet dla Fundacji, byłoby to czymś gorszym od kłamstwa. Byłaby to głupota.

- Powiedziałaś coś strasznego - rzekł tylko. - Wiesz dobrze, że Deet jest częścią mnie. Nie mogę z niej zrezygnować, żeby przyłączyć się do Fundacji. Ale teraz do końca naszego wspólnego życia będę wiedział, że mogłem tam być, gdyby nie ona. Podałeś mi kielich żółci i goryczy, Hari.

Hari powoli kiwnął głową.

- Miałem nadzieję, że kiedy przeczytasz mój list, zrozumiesz, że nie chcę mówić więcej. Miałem nadzieję, że nie przyjdiesz tutaj i nie zaczniesz mnie wypytywać. Nie mogę cię okłamywać, Leyelu, i nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł. Ale dopóki było to możliwe, ukrywałem pewne informacje. Aby obu nam zaoszczędzić kłopotów.

- Nie udało się.

- To nie wina Deet, Leyelu. Chodzi o to, kim jest. Jej miejsce jest na Trantorze, nie na Terminusie. A twoje miejsce jest przy niej. To fakt, nie czyjaś decyzja. Nigdy już nie będziemy do tego wracać.

- Nie - zgodził się Leye.

Siedzieli jeszcze przez chwilę i patrzyli na siebie nieruchomo. Leye zastanawiał się, czy on i Hari będą jeszcze kiedyś rozmawiać... Nie, już nigdy. Nie chcę cię nawet widzieć, Hari Seldonie. Zmusiłeś mnie, abym żałował, że ożeniłem się z Deet. Przez ciebie w głębi serca zapragnąłem, żeby nasze małżeństwo nie miało miejsca. A to tak, jakbym pragnął nigdy się nie urodzić.

Wstał i wyszedł bez słowa. W poczekalni zwrócił się do kilkorga ludzi, oczekujących na spotkanie z Seldonom.

- Którzy z was są moi? - zapytał. Wstał mężczyzna i dwie kobiety.

- Sprowadźcie zabezpieczony wóz i kierowcę.

Nie patrząc nawet na pozostałych, jedno z trójki wyszło. Pozostałych dwoje ruszyło za Leyelem. Subtelność i dyskrecja na razie się skończyły. Leye nie miał ochoty wmieszać się w tłum na Trantorze. Chciał tylko wrócić do domu.

Hari Seldon wyszedł z gabinetu tylnymi drzwiami i wkrótce stanął w kabinie Chandrakar Matt w Wydziale Kontaktów Bibliotecznych. Chanda podniosła głowę, machnęła mu ręką i bez wysiłku odsunęła fotel tak, że znalazł się dokładnie w wyznaczonym miejscu.

Hari przysunął sobie krzesło z sąsiedniego biurka i pozornie przypadkowo ustawił je tam, gdzie być powinno.

Komputer zainstalowany w lektorze Chandy natychmiast rozpoznał konfigurację. Z trzech kątów zarejestrował dzisiejszy strój Hariego i nałożył dane na przechowywany w pamięci holoobraz rozmawiających swobodnie Hariego i Chandy. Potem, gdy Hari usiadł, wyświetlił hologram. Obraz

dokładnie odpowiadał rzeczywistym pozycjom obojga, więc czujniki podczerwieni nie wykazały żadnych rozbieżności. Różniły się jedynie twarze: ruchy warg, mruganie powiek, miny. Ruchy warg nie pasowały do słów, jakie Hari i Chanda wypowiadali, ale do słów, generowanych w powietrzu poza kabiną: nieszkodliwe, przypadkowo dobrane uwagi, uwzględniające niedawne wydarzenia, by nikt nie mógł podejrzewać, że to nagrana rozmowa. Hari rzadko miał okazję do szczerzej rozmowy, której nie podsłuchiwaliby bezpieczni; on i Chanda skrzętnie ukrywali taką możliwość. Nigdy nie rozmawiali za długo ani zbyt często, by bezpieczni nie zaczęli się zastanawiać nad ich skłonnością do takich pustych pogawędek. Zresztą znali się doskonale - słowo wystarczało za całe zdanie, gest za słowo. Ale kiedy kończyli, Chanda wiedziała, co ma robić i jak się zachować, a Hari odchodził spokojny, że najważniejsza praca posuwa się naprzód za dymną zasłoną Fundacji.

- Przez chwilę myślałem, że naprawdę zechce ją porzucić.

- Nie doceniłeś pokusy Encyklopedii.

- Obawiam się, że zbyt dobrze to zaplanowałem, Chando. Myślisz, że pewnego dnia Encyklopedia Galaktyczna naprawdę powstanie?

- To świetny pomysł. Przyciągnął tu dobrych ludzi. Nie spełniłby swoich celów, gdyby było inaczej. Co mam powiedzieć Deet?

- Nic. Wystarczy jej, że Level zostaje.

- Gdyby zmienił zdanie, naprawdę pozwoliłbyś mu lecieć na

Terminusa?

- Gdyby zmienił zdanie, musiałby lecieć. Ponieważ jeśli porzuciłby Deet, nie byłby odpowiednim dla nas człowiekiem.

- Dlaczego po prostu mu nie powiesz? Nie zaprosisz?

- Częścią Drugiej Fundacji musi się stać, nie zdając sobie z tego sprawy. Musi tam trafić dzięki naturalnym skłonnościom, nie dzięki moim wezwaniom, a przede wszystkim nie dla własnej ambicji.

- Twoje wymagania są bardzo wysokie, Hari, i nic dziwnego, że niewielu może im sprostać. Większość ludzi w Drugiej Fundacji nawet o niej nie wie. Uważają się za bibliotekarzy. Biurokratów. Sądzą, że Deet jest antropologiem i pracuje wśród nich, żeby ich obserwować.

- Wcale nie. Kiedyś tak myśleli, ale teraz uważają Deet za jedną z nich. I to jedną z najlepszych. Definiuje, co znaczy być bibliotekarzem. Pozwala być dumnym z tej nazwy.

- Czy nie martwi cię, Hari, że praktykując swoją sztukę...

- Moją naukę.

- Twoją wścibską sztukę magiczną, stary czarowniku, nie oszukasz mnie opowiadaniem o nauce. Widziałam scenariusze hologramów, jakie przygotowujesz do krypty na Terminusie.

- To tylko poza.

- Wyobrażam sobie, jak to mówisz. Z miną człowieka całkowicie z siebie zadowolonego. "Jeśli macie ochotę palić, nie przeszkadza mi to... Przerwa na śmiech... Właściwie dlaczego? Przecież naprawdę mnie tu nie ma". Czyste aktorstwo.

Hari machnął tylko ręką. Komputer szybko znalazł fragment dialogu, pasujący do tego gestu - fałszywy sens, który nie wyda się fałszem.

- Nie, nie martwi mnie fakt, że praktykując swoją naukę, zmieniam życie ludzi. Wiedza zawsze zmieniała życie ludzi. Różnica polega na tym, że ja wiem o tych zmianach, że zmiany są zaplanowane i pod kontrolą. Czy wynalazca pierwszego sztucznego oświetlenia. .. Co to było, knot w zwierzęcym tłuszczu? Dioda emitująca światło? Czy ten człowiek zdawał sobie sprawę, do czego doprowadzi oddanie ludzkości władzy nad nocą?

Jak zwykle, Chanda zgasła go w chwili, gdy zaczynał sobie gratulować.

- Po pierwsze, to prawie na pewno była kobieta, po drugie, dokładnie wiedziała, co robi. Dzięki światłu mogła znaleźć drogę nocą w mieszkaniu, mogła po karmieniu położyć swoje dziecko w innym pokoju, żeby przespać się trochę nocą bez obawy, że przydusi je w łóżku.

Hari uśmiechnął się.

- Jeśli to kobieta wynalazła sztuczne oświetlenie, z pewnością była prostytutką i chciała wydłużyć sobie godziny pracy.

Chanda uśmiechnęła się także. Nie roześmiała - komputerowi trudno byłoby wyszukać żarty usprawiedliwiające śmiech.

- Będziemy pilnie obserwować Leyela, Hari. Skąd mamy wiedzieć, że jest gotowy, że możemy liczyć na jego ochronę i jego przywództwo?

- Kiedy zaczniesz na niego liczyć, będzie gotowy. Kiedy oddanie i lojalność będą pewne, kiedy cele Drugiej Fundacji trafią mu do serca, kiedy zacznie realizować je w życiu, wtedy będzie gotowy.

Ton głosu Hariego sugerował, że rozmowa dobiega końca.

- Przy okazji, Hari - dodała jeszcze Chanda. - Miałeś rację. Nikt nie zakwestionował braku ważnych danych psychohistorycznych w bibliotece Fundacji na Terminusie.

- Oczywiście. Akademyści nigdy nie wychylają się poza granice własnej dyscypliny. To kolejny powód, dla którego cieszę się, że Leyel tam nie poleci. Od razu by zauważył, że mamy tam tylko

jednego psychologa, Bora Allurina. A wtedy musiałbym mu wytłumaczyć więcej, niż chcę. Przekaż ucałowania Deet, Chando. Powiedz, że jej eksperyment rozwija się znakomicie. W końcu będzie miała i męża, i społeczność uczonych umysłów.

- Artystów. Magów. Półbogów.

- Upartych, zbłąkanych kobiet, które nie potrafią rozpoznać nauki, kiedy ją uprawiają. I wszystkie w Bibliotece Imperialnej. Do następnego razu, Chando.

Gdyby Deet pytała o jego rozmowę z Harim, gdyby współczuła mu z powodu odmowy, być może nie zdołałby opanować niechęci, być może powiedziała coś, czego nigdy nie zdołałaby mu wybaczyć. Zachowywała się jednak całkiem zwyczajnie. Była tak podniecona swoją pracą i tak piękna, nawet z twarzą ukazującą zwiotczałe mięśnie i zmarszczki sześćdziesięcioletki, że Leyel mógł tylko na nowo się w niej zakochać, jak już wiele razy w ich wspólnym życiu.

- Wszystko działa, Leyelu, lepiej, niż śmiałam marzyć. Zaczynają do mnie docierać historie, które stworzyłam miesiące i lata temu; powracają jako mity i legendy. Pamiętasz, jak odnalazłam i ekstra-polowałam dane z powstania na Misercordii trzy dni przed tym, jak Admiralicja o nie poprosiła?

- To twój największy sukces. Admirał Divart wciąż opowiada, jak przy opracowywaniu strategii wykorzystali zapisy dawnych bitew i odparli ataki Tellekerów w jednej trzydniowej operacji, nie tracąc ani jednego statku.

- Masz umysł jak sejf, chociaż naprawdę jesteś stary.

- To smutne, ale pamiętam tylko przeszłość.

- Przecież nikt nie pamięta nic innego, osiołku. Zachęcił ją, by opowiedziała więcej o dzisiejszym triumfie.

- Czyli teraz jest to legenda?

- Powróciła bez mojego nazwiska i mocno upiększona. Jako odnośnik. Rinjy rozmawiała z młodymi bibliotekarzami z którejs z wewnętrznych prowincji. Przyjechali z typową wycieczką międzybiblioteczną. Jedna z nich powiedziała, że można całe życie spędzić w Bibliotece Imperialnej na Trantorze i w ogóle nie oglądać prawdziwego świata.

Leyel wybuchnął śmiechem.

- Najlepsze, co można powiedzieć do Rinjy.

- Właśnie. Zdenerwowała się, oczywiście, ale najważniejsze, że natychmiast opowiedziała im historię o bibliotekarce, która całkiem samodzielnie zauważyła podobieństwo między powstaniem na Misercordii i atakiem Tellekerów. Wiedziała, że nikt w Admiralicji jej nie wysłucha, jeśli nie

dostarczy im pełnej informacji. Sięgnęła więc do starożytnych rejestrów i odkryła, że są w fatalnym stanie. Oryginalne dane zapisano w szkłe, ale minęły czterdzieści dwa stulecia i nikt nie odświeżał zapisów. Żadne ze źródeł pomocniczych nie opisywało przebiegu bitwy i kursów okrętów... Misercordia interesowała raczej biografów niż historyków wojskowości...

- Oczywiście. To była pierwsza bitwa Pola Yuensaua, ale służył wtedy jako pilot, nie dowodził...

- Wiem, że pamiętasz, mój wścibski pieszczocho. Chodzi o to, co Rinjy mówiła o tej mitycznej bibliotekarce.

- Czyli o tobie.

- Stałam tuż obok. Nie sędzę, by Rinjy wiedziała, że to ja. Coś by przecież powiedziała... Wtedy nie pracowała nawet w tym samym dziale. Ważne jest to, że słyszała jakąś wersję tej historii i kiedy ją powtórzyła, opowieść zmieniła się w rodzaj magicznej sagi bohaterskiej. O proroczej bibliotekarce z Trantora.

- Czego to dowodzi? To ty jesteś magiczną bohaterką.

- Ona mówiła tak, jakbym wszystko to zrobiła z własnej inicjatywy...

- Tak było. Przydzielili cię do ekstrapolacji dokumentów i przypadkiem zaczęłaś akurat od Misercordii.

- Ale w wersji Rinjy, już wcześniej zauważyłam związek z atakiem Tellekerów. Powiedziała, że bibliotekarka posłała wszystkie dane do Admiralicji, a oni dopiero wtedy zrozumieli, że dostali klucz do bezkrwawego zwycięstwa.

- Bibliotekarka ratuje Imperium.

- Właśnie.

- Przecież uratowałaś.

- Ale przypadkowo. A Admiralicja zażądała tych informacji. Niezwykłe było to, że akurat skończyłam dwutygodniową ekstrapolację dokumentów...

- Co udało ci się znakomicie.

- Z wykorzystaniem programów, które sam pomagałeś tworzyć. Dzięki ci, o Przemądry, za tę pośrednią pochwałę samego siebie. To czysty przypadek, że mogłam im dać właśnie to, co chcieli, w trzy minuty po przekazaniu prośby. Ale teraz całe zdarzenie zmieniło się w heroiczną legendę w społeczności bibliotekarzy. Z początku tylko w Bibliotece Imperialnej, ale teraz rozprzestrzenia się też wśród innych.

- To znakomita anegdota, Deet, ale nie sądzę, żebyś mogła ją

opublikować.

- Nie mam zamiaru. Może ewentualnie we wstępie. Ważne jest, że dowodzi mojej teorii.

- Nie jest statystycznie znacząca.

- Dowodzi dla mnie. Wiem, że moje teorie o formowaniu społeczności są prawdziwe. Że żywotność społeczności zależy od poczucia wspólnoty jej członków, a to poczucie wspólnoty można wywołać i wzmocnić przez rozpowszechnianie opowieści epickich.

- Przemawiasz językiem akademików. Powinienem to zarejestrować, żebyś nie musiała na nowo wymyślać tych trudnych słów.

- Opowieści tworzące społeczność wydają się ważniejsze, odgrywają większą rolę w ludzkim życiu. Ponieważ Rinjy mogła opowiedzieć tę historię, była bardziej dumna, że jest bibliotekarzem, a to wzmocniło jej poczucie wspólnoty i dało społeczności większą wewnętrzną siłę.

- Odbierasz im dusze.

- A one zabrały moją. Nasze dusze należą do siebie nawzajem. To był problem. Deet trafiła do biblioteki, wykonując badania

naukowe - przyłączyła się do pracowników, by potwierdzić swoją teorię formowania społeczności. Ale zadanie byłoby niewykonalne, gdyby sama nie stała się członkiem bibliotecznej społeczności. To właśnie skłonność do poświęceń dla nauki zbliżyła go do Deet. A teraz ta sama skłonność mu ją odbiera. Bardziej by cierpiała, porzucając bibliotekę, niż tracąc Leyela.

Nieprawda. Nieprawda, powiedział sobie surowo. Użalanie się nad sobą prowadzi do samookłamywania. Prawdą jest coś wręcz przeciwnego: bardziej by cierpiała, tracąc Leyela, niż opuszczając społeczność bibliotekarzy. Dlatego właśnie zgodziła się lecieć na Terminusa. Ale czy można mieć do niej żal, że cieszy się, iż nie musi dokonywać wyboru? Jest zadowolona, że może zachować jedno i drugie?

Ale chociaż stłumił najgorsze, wypływające z rozczarowania myśli, nie potrafił do końca uciszyć tonu złości w swych słowach.

- A skąd będziesz wiedziała, że eksperyment dobiegł końca?

Zmarszczyła brwi.

- On się nigdy nie skończy, Leyelu. One naprawdę są bibliotekarkami. Nie podniosę ich za ogonki, jak myszy, i nie włożę do klatek, kiedy zakończę doświadczenie. W pewnym momencie po prostu się wycofam i napiszę swoją książkę.



- Naprawdę?

- Naprawdę napiszę? Pisywałam już książki i myślę, że uda mi się znowu.

- Czy naprawdę się wycofasz?

- Kiedy? Teraz? Czy to ma być próba mojej miłości do ciebie? Jesteś zazdrosny o moją przyjaźń z Rinjy, z Animet, Fin i Urik?

Nie! Nie oskarżaj mnie o takie dziecinne, egoistyczne uczucia! Ale zanim jeszcze zdążył zaprzeczyć, zrozumiał, że zaprzeczenie byłoby fałszem.

- Czasami rzeczywiście jestem zazdrosny, Deet. Czasami wydaje mi się, że z nimi jesteś szczęśliwsza.

A ponieważ wyznał to szczerze, coś, co mogło się zmienić w kłótnię, pozostało rozmową.

- Ależ jestem, Leyelu - odparła z równą szczerością. - Ponieważ kiedy jestem z nimi, tworzę coś nowego, tworzę coś wspólnie. To podniecające, pobudzające. Codziennie odkrywam coś nowego w każdym ich słowie, w każdym uśmiechu, każdej uronionej łzie, każdym znaku, że bycie jedną z "nas" to najważniejszy fakt ich życia.

- Nie mogę z tym konkurować.

- Nie, Leyelu, nie możesz. Ale możesz to dopełnić. Ponieważ wszystko to nie miałoby znaczenia, byłoby bardziej frustrujące niż radosne, gdybym nie mogła codziennie wracać do ciebie i opowiadać, co się zdarzyło. Ty zawsze rozumiesz, co to oznacza, zawsze się cieszysz, nadajesz wagę moim doświadczeniom.

- Jestem twoją publicznością. Jak ojciec.

- Tak, staruszk. Jak mąż. Jak dziecko. Jak ktoś, kogo Kocham najbardziej na świecie. Jesteś dla mnie korzeniem. Tam udaję odważną, pokazuję światu tylko gałęzie i zielone liście w słońcu, ale wracam tutaj, żeby wysysać wodę z twojej gleby.

- Leyel Forska, osmotyczne źródło. Ty jesteś drzewem, ja brudną ziemią.

- Ale pełną nawozów.

Pocałowała go, a ten pocałunek przypomniawszy mu dawne lata. Był zaproszeniem, które przyjął z radością.

Fragment podłogi posłużył im jako zaimprovizowane łóżko. Potem leżał obok niej, ramieniem obejmując ją w talii i wspierając głowę na jej ramieniu, muskając wargami skórę jej piersi. Pamiętał czasy, kiedy piersi miała małe i jędrne, wyrastające niczym niewielkie pomniki jej potencjału. Teraz, gdy leżała na plecach, zmieniły się w ruiny - zniszczone latami i spływające na boki, opierające się

na ramionach.

- Jesteś cudowną kobietą - szepnął, łaskocząc ją wargami. Ich obwisłe, sflaczałe ciała zdolne były do większej napiętności

niż dawniej, kiedy pozostawały jeszcze silne i twarde. Przedtem mieli tylko potencjał. To właśnie kochamy w młodym ciele: kuszący potencjał. Teraz ciało jest dokonaniem. Troje zdrowych dzieci - kwiaty, potem owoce tego drzewa - odeszło i zapuściło korzenie gdzie indziej. Napięcie młodości może teraz ustąpić rozluźnieniu. W ich miłości nie było już obietnic, jedynie spełnienia.

- Nawiasem mówiąc, to był rytuał - szepnęła mu prosto w ucho. - Podtrzymywanie więzów społecznych.

- Czyli jestem jeszcze jednym eksperymentem?

- I to udanym. Sprawdzam, czy nasza mała społeczność przetrwa do chwili, aż jedno z nas padnie.

- A jeśli ty umrzesz pierwsza? Kto wtedy napisze artykuł?

- Ty. Ale podpiszesz go moim nazwiskiem. Chcę dostać za niego Medal Imperialny. Przykleisz mi go na nagrobku.

- Sam będę go nosił. Jesteś egoistką i zrucasz na mnie całą robotę, więc nie zasługujesz na nic lepszego niż tania kopia.

Klepnęła go w pośladek.

- Paskudny z ciebie staruch i egoista. Chcę oryginał albo nic.

Poczuł ból, jakby rzeczywiście zasłużył na klapsa. Paskudny staruch i egoista. Gdyby tylko wiedziała, jak bardzo ma rację. Była taka chwila w gabinecie Hariego, że niemal wypowiedział słowa, które zniszczyłyby wszystko, co ich łączyło. Słowa, które usunęłyby Deet z jego życia. Lecieć bez niej na Terminusa! Lepiej chyba, żeby wyrwali mi mózg, serce i wątrobę.

Skąd w ogóle pomysł, że chcę trafić na Terminusa? Żyć w otoczeniu akademików, i to takich, którymi najmocniej pogardzam, klócić się z nimi o właściwą konstrukcję Encyklopedii... Każdy z nich walczyłby o swoją małą prowincję, nie mając żadnej wizji całości, nie rozumiejąc, że podzielona Encyklopedia jest bezwartościowa. To życie w piekle... A w końcu i tak by przegrał, bo akademicki umysł niezdolny jest do rozwoju i zmiany.

Tylko tu, na Trantorze, wciąż jeszcze może coś osiągnąć. Może nawet rozwiązać problem pochodzenia człowieka, przynajmniej dla własnej satysfakcji - a może nawet uda mu się to tak szybko, że zdąży włączyć swoje odkrycie do Encyklopedii Galaktycznej, zanim Imperium zacznie kruszyć się na granicach, odcinając Terminusa od reszty Galaktyki.

To było jak wstrząs elektryczny, przebijający mózg; zobaczył nawet lekką poświatę na granicach pola widzenia, jak gdyby iskra przeskoczyła przez szczelinę synaptyczną.

- Ależ kłamca - powiedział. - Kto, ja? Ty?

- Hari Seldon. Ta jego bajeczka o Fundacji, która ma stworzyć Encyklopedię Galaktyczną...

- Ostrożnie, Leyelu.

To prawie niemożliwe, żeby bezpieczni znaleźli metodę podsłuchu tego, co dzieje się w apartamencie Leyela Forski. Prawie.

- Powiedział mi dwadzieścia lat temu. Przedstawiał jedną z pierwszych psychohistorycznych projekcji. Imperium zacznie się kruszyć najpierw na granicach. Przewidywał, że zdarzy się to w ciągu następnego pokolenia. Szacowania były wtedy bardzo grube. Teraz musi znać datę z dokładnością do roku. Może nawet miesiąca. Oczywiście, że umieścił swoją Fundację na Terminusie, w miejscu tak dalekim, że kiedy krańce Imperium zaczną się rozpadać, znajdzie się pośród pierwszych odciętych nici. Odciętych od Trantora. Zapomnianych niemal natychmiast.

- Ale co mu z tego przyjdzie, Leyelu? Nie usłyszą o żadnych nowych odkryciach.

- Co mówiłaś o nas? Jak drzewo. Nasze dzieci to owoce tego drzewa.

- Tego nie powiedziałam.

- W takim razie to mnie coś takiego przyszło do głowy. On rzuca swoją Fundację na Terminusa jak owoc. Żeby z czasem wyrosło z niej nowe Imperium.

- Przerażasz mnie, Leyelu. Jeśli bezpieczni usłyszą, co mówisz...

- To chytry lis. Sprytny oszust... Nigdy właściwie mnie nie okłamał, ale oczywiście, że nie mógł mnie tam wysłać. Gdyby fortuna Forsków związała się z Terminusem, Imperium nigdy nie zapomniałoby o tej planetce. Granice mogłyby się rozpaść gdzie indziej, ale nie tam. Wysłanie mnie na Terminusa uniemożliwiłoby realizację prawdziwego projektu.

Co za ulga... Oczywiście, Hari nie mógł mu nic powiedzieć, przecież bezpieczni słuchali, ale odmowa nie miała związku z nim ani z Deet. Nie stanie się barierą między nimi. To po prostu jedna z licznych kar za bycie dozorcą majątku Forsków.

- Naprawdę tak sądzisz? - spytała Deet.

- Byłem głupi, że nie domyśliłem się wcześniej. Ale i Hari był głupcem, jeśli sądził, że nie odgadnę.

- Może wierzy, że odgadniesz wszystko...

- Nikt nie zrozumie wszystkiego, co robi Hari. Ma w mózgu więcej zakrętów i zwojów niż hiperścieżka w przestrzeni jądra. Choćbyś nie wiadomo jaką trasę wybierała, zawsze na końcu stoi Hari, kiwa głową i gratuluje, że dotarłaś tak daleko. Wyprzedza nas wszystkich. Zaplanował wszystko, a my jesteśmy skazani na podążanie jego śladem.

- Czy to ciężki wyrok?

- Kiedyś myślałem, że Hari Seldon jest Bogiem. Teraz sądzę, że nie jest aż tak potężny. Jest tylko Losem.

- Nie, Leyelu. Nie mów tak.

- Nawet nie Losem. Zaledwie naszym przewodnikiem przez Los. On widzi przyszłość i wskazuje nam drogę.

- Bzdura. - Wysunęła się spod jego ramienia, wstała i sięgnęła po szlafrok. - Moje stare kości marzną, kiedy leżę taka goła.

Leyelowi drżały kolana, ale nie z zimna.

- Do niego należy przyszłość, twoja jest terażniejszość, ale ja mam przeszłość. Nie wiem, jak daleko w przyszłość doprowadziły go te jego krzywe prawdopodobieństwa, ale mogę mu dorównać w przeszłości, krok w krok, stulecie w stulecie.

- Tylko mi nie mów, że zamierzasz rozwiązać problem początku. Sam wykazałeś, że nie jest wart rozwiązywania.

- Wykazałem, że nie jest ważne, ani nawet możliwe, odnalezienie pierwszej planety. Ale pisałem też, że wciąż możemy odkryć prawa natury, które spowodowały powstanie człowieka. Siły, które stworzyły nas jako istoty ludzkie, z pewnością są wciąż obecne we wszechświecie.

- Wiesz, że czytałam, co napisałeś. Twierdziłeś, że znalezienie odpowiedzi to praca na przyszłe tysiąclecie.

- Teraz... Właśnie teraz, leżąc obok ciebie, zobaczyłem odpowiedź. Tuż poza zasięgiem ręki. Coś związanego z twoją pracą, pracą Hariego i drzewem.

- W drzewie chodziło o to, że cię potrzebują, Leyelu. Nie miało związku z pochodzeniem ludzkości.

- To zniknęło. Cokolwiek widziałem przed chwilą, już uciekło. Ale znajdę to znowu. Tkwi w twojej pracy, w Fundacji Hariego, w upadku Imperium i tej przeklętej gruszy.

- Nie mówiłam, że to akurat grusza.

- Bawiłem się w gruszowym sadzie w posiadłości w Holdwater. Dla mnie "drzewo" zawsze

oznacza "gruszę". To głęboko wypalona ścieżka w mózgu.

- Co za ulga. Bałam się, że z gruszkami skojarzył ci się kształt moich podstarzałych piersi, kiedy się schylałam.

- Rozsuń ten szlafrok. Muszę sprawdzić, czy rzeczywiście kojarzą się z gruszkami.

Leyel zapłacił za pogrzeb Hariego Seldona. Nie był wystawny. Leyel tego nie chciał. Gdy tylko usłyszał o śmierci Hariego - co go nie zaskoczyło, gdyż po pierwszym, silnym wylewie Hari był na wpół sparaliżowany i poruszał się na wózku inwalidzkim - nakazał swoim pracownikom przygotowanie obrządku odpowiedniego dla uhonorowania najwspanialszego naukowego umysłu tysiąclecia. Nadeszła jednak wieść - w postaci wizyty członka Komisji, Roma Divarta - że publiczne pożegnanie byłoby...

- Powiedzmy: niewłaściwe.

- Ten człowiek był największym geniuszem, o jakim słyszałem. Praktycznie wymyślił gałąź nauki, która wyjaśniała... zmienił w naukę to, co robili wróżbici i... i ekonomiści!

Rom roześmiał się z tego żarciku, oczywiście, ponieważ on i Leyel przyjaźnili się od najdawniejszych lat. Rom był jedynym przyjacielem z dzieciństwa, który nigdy mu nie nadskakiwał, nie pogardzał nim i nie zachowywał się chłodno z powodu fortuny Forsków. Z prostego powodu: majątek Divartów był - jeśli już - nawet trochę większy. Bawili się razem, nie obciążeni obcością, zazdrością ani lękiem.

Mieli nawet wspólnego guwernera przez dwa straszne, cudowne lata, od dnia, kiedy ojciec Roma został zamordowany, aż do egzekucji dziadka Roma. Wywołała taki gniew wśród arystokracji, że obłąkany imperator stracił władzę, a rządy powierzono Komisji Bezpieczeństwa Publicznego. Wtedy, jako młodociana głowa jednego z największych rodów, Rom rozpoczął swą długą i udaną karierę polityczną.

Rom mówił później, że przez te dwa lata Leyel nauczył go, iż pozostało jeszcze na świecie dobro; że przyjaźń Leyela to jedyne, co go powstrzymało od samobójstwa. Leyel zawsze uważał, że to puste słowa - Rom był urodzonym aktorem. Dlatego tak znakomicie rozgrywał oszałamiające wejścia i niezapomniane gesty na największej scenie: polityce Imperium. Pewnego dnia z pewnością odejdzie równie dramatycznie, jak jego ojciec i dziad.

Ale Rom nie zawsze grał. I nigdy nie zapomniał przyjaciela z dzieciństwa. Leyel wiedział o tym i rozumiał, co oznacza przybycie Roma w roli posłańca Komisji Bezpieczeństwa Publicznego: że starał się przekazać wiadomość możliwie delikatnie. Dlatego Leyel zirytował się trochę, po czym wygłosił swój żarcik. W ten sposób skapitulował z klasą.

Aż do dnia pogrzebu nie zdawał sobie jednak sprawy, jak niebezpieczna była jego przyjaźń z Harim Seldonem, i jak głupio postąpił, łącząc swoje nazwisko z nazwiskiem zmarłego. Linge Chen, przewodniczący Komisji, nie osiągnąłby pozycji dającej największą władzę w całym Imperium,

gdyby nie był wściekle podejrzliwy w stosunku do potencjalnych rywali i brutalnie skuteczny w ich eliminowaniu. Hari wmanewrował go w sytuację, kiedy większym ryzykiem było zabicie uczonego, niż danie mu Fundacji na Terminusie. Ale teraz Hari już nie żył, a Chen najwyraźniej obserwował, kto go oplakuje.

Na przykład Lylel - Lylel i kilku pracowników zespołu Hariego, którzy pozostali na Trantorze, by utrzymywać kontakt z Terminusem do chwili śmierci założyciela Fundacji. Lylel powinien się zorientować. Nawet żywy, Hari nie dbałby o to, kto przyjdzie na jego pogrzeb. A martwy, dbał o to jeszcze mniej. Lylel nie wierzył przecież, że przyjaciel żyje jeszcze w jakiejś płaszczyźnie astralnej, że obserwuje żywych i uczestniczy we własnym pochówku. Nie; Lylel po prostu uznał, że musi tam być, że musi przemówić. Właściwie nie dla Hariego - dla siebie. Aby pozostać sobą, musiał wykonać jakiś publiczny gest, ukłon w stronę Hariego i wszystkiego, co sobą reprezentował.

Kto go słuchał? Niewielu. Deet, która uważała, że jego mowa pożegnalna jest o połowę za delikatna. Ludzie z Fundacji, którzy rozumieli zagrożenie i wzdrygali się przy każdym z długiej listy sukcesów Hariego, wymienianych przez Lylela. Cytując je i podkreślając, że tylko Seldon miał wizję, by dokonać tych wielkich dzieł, Lylel pośrednio krytykował poziom inteligencji i prawości w Imperium. Bezpieczni także słuchali. Zauważyli, że Lylel najwyraźniej zgadza się z prognozami Hariego Seldona dotyczącymi upadku Imperium - że jego zdaniem Imperium Galaktyczne już prawdopodobnie upadło, gdyż jego władza nie sięgała już granic Galaktyki.

Gdyby ktokolwiek inny - prawie - wygłosił taką mowę, zostałaby zignorowana. Tyle że nie dostałby żadnej pracy, wymagającej certyfikatu bezpieczeństwa. Ale głowa rodu Forsków - kiedy wystąpił otwarcie z pochwałą poglądów człowieka, który został oskarżony przed Komisją Bezpieczeństwa Publicznego - stanowiła większe niebezpieczeństwo niż sam Hari Seldon.

Ponieważ Lylel - jako głowa rodu Forsków - gdyby tylko zechciał, mógłby stać się jednym z największych aktorów na politycznej scenie, mógłby zyskać miejsce w Komisji obok Roma Divarta i Linge Chena. Oczywiście, musiałby wtedy bez przerwy uważać na skrytobójców - albo by ich unikać, albo by ich wynajmować - i próbować zyskać lojalność rozmaitych militarnych przywódców z najdalszych rubieży Galaktyki. Dziad Lylela spędził życie na takich grach, jednak ojciec Lylela zrezygnował, a samego Lylela tak bardzo pochłonęła nauka, że nigdy nie myślał o polityce.

Aż do dzisiaj. Dzisiaj wykonał głęboko polityczny gest, przybywając na pogrzeb Hariego Seldona i wygłaszając mowę pożegnalną. Co zrobi dalej? Istniało tysiące drobnych wodzów, którzy wznicieliby rewoltę, gdyby Forska obiecał to, czego tak bardzo potrzebują niedoszli imperatorzy: arystokratycznego sponsora, pozór legalności i pieniądze.

Czy Linge Chen naprawdę wierzył, że Lylel w tak późnym wieku zamierza zająć się polityką? Czy naprawdę uważał, że Lylel stanowi zagrożenie?

Zapewne nie. Gdyby wierzył, kazałby go zabić - jego i wszystkie jego dzieci. Pozostawiłby przy życiu tylko jednego z młodszych wnuków, którego pilnie by nadzorował za pośrednictwem wyznaczonych przez siebie opiekunów. W ten sposób zapanowałby też nad majątkiem Forsków.

Chen uznał tylko, że Leyel może sprawiać kłopoty. Dlatego podjął kroki - w swoim przekonaniu - bardzo łagodne.

Dlatego właśnie, tydzień po pogrzebie, Rom odwiedził Leyela po raz drugi.

Leyel powitał go z radością.

- Mam nadzieję, że tym razem nie ze smutnymi sprawami - powiedział. - Ale masz pecha. Deet znowu jest w bibliotece, ostatnio właściwie tam mieszka, a na pewno chciałaby...

- Leyelu... - Rom dotknął palcem jego warg.

Więc jednak z poważną sprawą. Gorzej niż poważną. Rom wyrecytował mowę, której musiał nauczyć się na pamięć.

- Komisja Bezpieczeństwa Publicznego obawia się, że w podeszłym wieku...

Leyel otworzył usta, by zaprotestować, ale Rom raz jeszcze go uciszył, kładąc mu palec na wargach.

- ...Że w podeszłym wieku sprawy majątku Forsków odrywają cię od twej niezwykle istotnej pracy naukowej. Imperium tak bardzo potrzebuje nowych odkryć i zrozumienia, jakie bez wątpienia przyniosą nam twoje dzieła, że Komisja Bezpieczeństwa Publicznego stworzyła Biuro Powiernicze Forsków, które będzie doglądać wszystkich posiadłości i majątku Forsków. Ty sam, oczywiście, zachowasz nieograniczony dostęp do tych funduszy, z przeznaczeniem na pracę naukową tutaj, na Trantorze; nie zostaną wstrzymane dotacje archiwów i bibliotek, które sponsorowałeś. Naturalnie, Komisja nie oczekuje od ciebie podziękowań za to, co jest przecież naszym obowiązkiem wobec jednego z najszlachetniejszych obywateli. Gdyby jednak twoja dobrze znana uprzejmość nakazywała ci wygłoszenie krótkiego publicznego oświadczenia o twej wdzięczności, nie byłoby to niewłaściwe.

Leyel nie był głupcem. Wiedział, na czym polegają takie działania: odebrano mu majątek i umieszczono w areszcie na Trantorze. Nie warto nawet protestować czy walczyć, nie warto wzbudzać u Roma poczucia winy z powodu wiadomości, jaką przekazuje. Co więcej, Romowi także mogłoby grozić poważne niebezpieczeństwo, gdyby Leyel choćby zasugerował, że oczekuje od przyjaciela wsparcia. Dlatego Leyel tylko z powagą kiwnął głową i odpowiedział, starannie dobierając słowa:

- Przekaż Komisji, że jestem głęboko wdzięczny za ich troskę. Już bardzo dawno nikt nie starał się ulżyć mojemu brzemieniu. Przyjmuję ich wielkoduszną ofertę. Ogromnie się cieszę, gdyż teraz będę mógł bez przeszkód prowadzić badania.

Rom odprężył się wyraźnie: Leyel nie zamierzał sprawiać kłopotów.

- Drogi przyjacielu, będę lepiej sypiał wiedząc, że zawsze jesteś tutaj, na Trantorze, że pracujesz swobodnie w bibliotece czy zażywasz wypoczynku w naszych parkach.

A więc przynajmniej nie zamierzali go zamykać w areszcie domowym. Na pewno nie pozwolą mu opuścić planety... ale nie zaszkodzi spytać.

- Może wreszcie znajdę wolną chwilę, żeby czasem odwiedzić wnuki.

- Och, Leyelu, obaj jesteśmy już za starzy, żeby wyruszać w hiperprzestrzeń. Pozostawmy to młodym. Mogą cię przecież odwiedzić, kiedy tylko zechcesz. Albo zostać w domu, kiedy przylecą z wizytą ich rodzice.

Leyel zrozumiał, że jeśli któreś z dzieci zechce złożyć mu wizytę, ich dzieci staną się zakładnikami, i odwrotnie. On sam nigdy już nie opuści Trantora.

- Tym lepiej - rzekł. - Będę miał czas, żeby napisać kilka książek, które od dawna zamierzałem opublikować.

- Imperium niecierpliwie czeka na każdy naukowy traktat, jaki wyjdzie spod twojej ręki. - Rom mocniej zaakcentował słowo "naukowy". - Ale mam nadzieję, że nie zechcesz nas zamęczać nudnymi autobiografiami.

Leyel bez oporu zgodził się na to ograniczenie.

- Obiecuję, Rom. Ty wiesz najlepiej, jak nieciekawe było moje życie.

- Daj spokój. Moje życie to dopiero nuda, Leyelu; stale tylko rządowe narady i biurokratyczna gadanina. Ty byłeś na pierwszej linii nauki i odkryć. Komisja ma nadzieję, przyjacielu, że zaszczyisz nas zgodą na pierwsze czytanie każdego słowa, jakie opuści twój skryptor.

- Tylko jeśli obiecacie, że przeczytacie starannie i wskażecie ewentualne błędy.

Komisja zamierzała cenzurować jego teksty i usuwać opinie polityczne, których Leyel i tak nigdy nie zamieszczał. Postanowił jednak nigdy już niczego nie publikować, przynajmniej dopóki Linge Chen jest przewodniczącym. Najbezpieczniej będzie teraz zniknąć, pozwolić, by Chen o nim zapomniał; wysyłanie mu jakichś artykułów byłoby wyjątkowo nierozsądne i przypominało, że Leyel wciąż jest w pobliżu.

Ale Rom jeszcze nie skończył.

- Muszę objąć tą prośbą również prace Deet. Przekaż jej to.

- Deet? - Po raz pierwszy niewiele brakowało, by Leyel okazał swą wściekłość. Dlaczego Deet ma być karana za jego lekkomyślność? - Jest na to zbyt skromna. Nie uważa swej pracy za dość ważną, by wywoływała zainteresowanie ludzi tak zapracowanych, jak członkowie Komisji. Uzna, że chcecie czytać jej artykuły tylko dlatego, że jest moją żoną. A zawsze ją to złościło.

- Musisz więc nalegać, Leyelu. Zapewniam cię, że jej badania funkcjonowania imperialnej



biurokracji już od dawna bardzo Komisję interesują.

Aha. Oczywiście. Chen nigdy nie pozwoli na publikację analizy pracy rządu, nie upewniwszy się wcześniej, że nie jest groźna. A więc cenzurowanie tekstów Deet nie jest winą Leyela. A przynajmniej nie wyłącznie.

- Powiem jej o rym, Rom. Będzie zaszczycona. Ale może zostaniesz i sam z nią porozmawiasz? Przyniosę po kubku peshatu i pogadamy o starych czasach...

Leyel byłby zdumiony, gdyby Rom się zgodził. Nie, ta rozmowa jest dla niego równie trudna. Sam fakt, że zmuszono go do pełnienia funkcji posłańca Komisji wobec przyjaciela z dzieciństwa, miał pewnie służyć za przypomnienie, że Chenowie są silniejsi od Divartów. Leyelowi przyszło jednak do głowy, że Chen mógł popełnić błąd. Poniżenie Roma, posłanie go, by aresztował najdroższego przyjaciela, mogło się okazać kroplą przepełniającą czarę. W końcu, choć nikt nie zdołał odkryć, kto wynajął skrytobójcę dla zamordowania ojca Roma i kto zadenuncjował jego dziada, co doprowadziło do stracenia go przez szalonego imperatora Wassiniwaka, nie wymagało geniuszu spostrzeżenie, że ród Chenów najwięcej zyskał na obu wydarzeniach.

- Żałuję, ale nie mogę - powiedział na pożegnanie Rom. - Obowiązki wzywają. Ale możesz być pewien, że często będę o tobie myślał. Oczywiście, raczej nie o tobie takim, jaki jesteś w tej chwili, staruszk. Będę cię wspominał jako chłopca, z czasów kiedy obaj płataliśmy figle naszemu guwernerowi. Pamiętasz, jak zakodowaliśmy jego lektor, żeby przez cały tydzień wyświetlał ostrą pornografię, kiedy tylko ktoś otwierał drzwi do pokoju?

Leyel nie mógł powstrzymać śmiechu.

- Niczego nie zapominasz, co?

- Biedny dureń. Nigdy nie odgadł, że to my. Ech, dawne lata... Dlaczego nie możemy pozostać młodzi na zawsze?

Uścisnął Leyela i wyszedł szybko.

Linge Chen, tu durniu, posunąłeś się za daleko. Twoje dni są policzone. Nikt z bezpiecznych, podsłuchujących ich rozmowę, nie mógł wiedzieć, że nigdy nie drażnili się tak z guwernerem i nigdy nie uszkodzili jego lektora. Rom w ten sposób dał Leyelowi do zrozumienia, że nadal są sprzymierzeńcami, że wciąż mają wspólne tajemnice. .. I że kogoś, kto ma władzę nad nimi oboma, wkrótce czeka przykra niespodzianka.

Dreszcz przeszył Leyela na myśl, co może z tego wyniknąć. Z całego serca kochał Roma Divarta, ale wiedział, że jest zdolny do cierpliwego wyczekiwania na właściwy moment, a potem do szybkiego i skutecznego uderzenia. Linge Chen niedawno rozpoczął kolejną sześcioletnią kadencję, ale Leyel był pewien, że już jej nie zakończy. A następnym przewodniczącym Komisji nie będzie nikt z Chenów.

Wkrótce jednak zaczął zdawać sobie sprawę, jaką krzywdę mu wyrządzono. Zawsze sądził, że pieniądze niewiele dla niego znaczą, że nawet bez majątku Forsków byłby tym samym człowiekiem. Teraz zrozumiał, że to nieprawda, że przez cały czas się okłamywał. Od dziecka wiedział, jak godnymi pogardy mogą być ludzie bogaci i wpływowi - ojciec dopilnował, by zrozumiał, że człowiek staje się okrutny, jeśli pieniądze wzbudzą w nim przekonanie, że wolno mu wykorzystywać innych. Leyel uczył się więc pogardzać własnym dziedzictwem. Udawał - przede wszystkim wobec ojca - że może poradzić sobie w świecie tylko rozumem i pracowitością, że wcale by się nie zmienił, dorastając w przeciętnej rodzinie, odbierając zwykłe wykształcenie. Tak dobrze nauczył się grać, że sam w to uwierzył.

Teraz dopiero pojął, że przez całe życie majątek Forsków był jego niewidzialną częścią, jakby przedłużeniem ciała - jak gdyby za każdym drgnieniem mięśnia wylatywały frachtowce, za każdym mrugnięciem powieki kopalnie ryły w głąb ziemi. Z każdym westchnieniem w całej Galaktyce budził się wicher przemian i wiał, dopóki wszystko nie stało się dokładnie takie, jak sobie życzył. Teraz amputowano mu te niewidzialne kończyny i zmysły. Stał się kaleką: miał tylko tyle rąk i nóg, ile zwykła ludzka istota.

Wreszcie był tym, kogo stale udawał: zwykłym, pozbawionym władzy człowiekiem. Nienawidził tego.

Przez kilka godzin po wyjściu Roma udawał przed sobą, że przyjmuje to lekko. Usiadł przy lektorze i płynnie przewracał stronicę -ale żadne słowo nie utkwilo mu w pamięci. Chciałby, żeby znalazła się przy nim Deet. Mógłby śmiać się wraz z nią z tego, jak mało go to zabolalo. Potem jednak był zadowolony, że jej nie ma - jedno współczujące dotknięcie jej dłoni pchnęłoby go w emocjonalną przepaść. Nie potrafiłby już nad sobą zapanować.

Ten moment zresztą i tak nadszedł. Myśląc o Deet, o dzieciach i wnukach, o wszystkim co utracił, ponieważ wykonał pusty gest dla uczczenia pamięci nieżyjącego przyjaciela, rzucił się na podłogę i zapłakał gorzko. Niech Chen słucha zapisów tego, co mu przekażą promienie szpiegujące. Niech cieszy się zwycięstwem. I tak go zniszczę. Moi ludzie nadal są lojalni. Sformuję armię. Poszukam skrytobójców. Skontaktuję się z admirałem Sippem, a wtedy to Chen będzie szlochał i wołał o litość, a ja okaleczę go tak, jak on mnie...

Dureń.

Leyel przetoczył się na plecy, otarł łzy rękawem i z zamkniętymi oczami leżał nieruchomo, uspokajając się z wolna. Żadnej zemsty. Żadnej polityki. To sprawa Roma, nie Leyela. Za późno, żeby teraz włączać się do gry, zresztą kto by mu teraz pomógł, kiedy stracił majątek i wpływy? Nic już nie mógł zrobić.

Właściwie to nawet nie chciał. Czy nie zagwarantowali, że nie cofną dotacji jego archiwom i bibliotekom? Czy nie obiecali nieograniczonych funduszy badawczych? Przecież tylko to go naprawdę interesowało. Już dawno przekazał zarządzanie majątkiem swoim podwładnym, a powiernik Chena będzie wykonywał tę samą pracę. Dzieci nie ucierpią zbytnio - wychował je w

duchu tych samych wartości, w którym i on dorastał, wszystkie więc ułożyły sobie życie bez związku z fortuną Forsków. Były prawdziwymi dziećmi swego ojca i matki - straciłyby szacunek dla samych siebie, gdyby nie zarabiały na własne potrzeby. Owszem, będą rozczarowane, że ktoś wyrwał im dziedzictwo. Ale to ich nie złamie.

Nie jestem przecież zrujnowany. Wszystkie te kłamstwa, jakie powtórzył mi Rom, to szczerą prawdą, tyle że oni tego nie rozumieją. Nadal posiadam wszystko, co dla mnie ważne. Rzeczywiście, nie obchodzi mnie majątek. To tylko sposób, w jaki go utraciłem, doprowadza mnie do wściekłości. Mogę żyć dalej i pozostać sobą. W ten sposób przekonam się, kto jest moim prawdziwym przyjacielem - zobaczę, kto nadal mnie chwali za naukowe osiągnięcia, a kto mną pogardza z powodu biedy.

Zanim Deet wróciła z biblioteki do domu - późno, jak zwykle ostatnio - Leyel tkwił pogrążony w lekturze wszystkich wyników i teorii dotyczących zachowań protoludzkich. Próbował znaleźć coś innego niż naiwne domysły i napuszony bełkot. Tak bardzo pochłonęły go te teksty, że po jej powrocie piętnaście minut opowiadał o niewiarygodnej głupocie, jaką odkrył wśród uczonych. A potem podzielił się z nią cudowną, niezwykłą myślą, jaka mu przyszła do głowy.

- A jeśli rasa ludzka nie jest jedyną gałęzią, która wyewoluowała z naszego drzewa genealogicznego? Jeśli istnieje inny gatunek naczelnych, który wygląda dokładnie jak my, ale nie może się z nami krzyżować, który funkcjonuje w całkowicie inny sposób, a my nawet o tym nie wiemy? Myślimy, że wszyscy jesteśmy tacy sami, ale w całym Imperium są wioski, miasta, może nawet światy pełne ludzi, którzy w tajemnicy wcale nie są ludźmi.

- Ależ Leyelu, mój przepracowany mężu, jeśli wyglądają tak samo jak my i zachowują się jak my, to są ludźmi.

- Ale nie są dokładnie tacy sami. Istnieją różnice. Całkowicie inny zestaw reguł i założeń. Ale my nie wiemy, że oni są inni, a oni nie wiedzą, że my jesteśmy inni. A jeśli nawet coś podejrzewamy, nigdy nie mamy pewności. Po prostu dwa różne gatunki żyjące obok siebie i nie domyślające się niczego.

Pocałowała go.

- Mój głuptasie, to żadna teoria. To czysta prawda. Właśnie opisałeś relację między mężczyznami i kobietami. Dwa całkowicie różne gatunki, kompletnie dla siebie niezrozumiałe, żyjące obok siebie i wierzące, że naprawdę są jednym. Fascynujące, Leyelu, jest to, że osobniki obu gatunków uparcie decydują się na wspólne życie i płodzenie dzieci, czasem z jednego gatunku, czasem z drugiego. A przez cały czas nie mogą pojąć, dlaczego nie potrafią się zrozumieć.

Roześmiał się i objął ją mocno.

- Jak zwykle masz rację, Deet. Gdybym zrozumiał kobiety, może bym wiedział, dlaczego mężczyźni stali się ludźmi.

- Nic nie przerobi mężczyzn na ludzi - odparła. - Za każdym razem, kiedy prawie osiągają cel, potykają się o swój nieszczęsny chromosom Y i wracają do stanu bestii.

Musnęła wargami jego szyję.

Wtedy dopiero, trzymając ją w ramionach, wyszeptał jej do ucha, co zaszło, kiedy Rom złożył mu wizytę. Nie odpowiedziała, tylko przez długi czas obejmowała go mocno. Potem zjedli późną kolację i wrócili do zwykłych zajęć, jakby nic się nie stało.

Dopiero w łóżku, kiedy Deet pochrapywała cicho u jego boku, Leyeł zrozumiał, że ją także czeka próba. Czy nadal będzie go kochać, kiedy jest zwykłym Leyelem Forską, emerytowanym uczonym, a nie lordem Forską, władcą światów? Oczywiście, chce go kochać. Ale tak jak Leyeł nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo potrzebuje swego bogactwa, by sam siebie określić, ona także mogła nie dostrzegać, jak

bardzo kocha w nim władzę. Bo chociaż się nią nie przechwalał, zawsze ją posiadał. Była jak trwała platforma pod stopami, niedostrzegalna aż do teraz, kiedy zniknęła, i każdy krok był niepewny.

Już wcześniej oddalała się od niego, wtapiała w społeczność kobiet z biblioteki. Teraz zacznie odpływać jeszcze szybciej, nie zauważając nawet, że Leyeł staje się coraz mniej ważny. Oczywiście, żadnych dramatycznych gestów, takich jak rozwód. Po prostu drobne pęknięcie między nimi, pusta przestrzeń, która równie dobrze może być przepaścią, otchłanią. Fortuna była częścią mnie, a teraz ją straciłem. Nie jestem już tym samym człowiekiem, którego pokochała. Nie zorientuje się nawet, że już mnie nie kocha. Po prostu będzie coraz bardziej zapracowana, a za pięć czy dziesięć lat, kiedy umrę ze starości, będzie mnie opłakiwać... i nagle uświadomi sobie, że nie rozpacza nawet w połowie tak bardzo, jak się spodziewała. Będzie żyła dalej, nie pamiętając o naszym małżeństwie. Nikt mnie nie zapamięta, z wyjątkiem może kilku pism naukowych i bibliotek.

Jestem jak informacja zagubiona w tych zaniedbanych archiwach. Znikająca po kawałku, niezauważenie, aż pozostaje tylko odrobina szumu w ludzkich wspomnieniach. A potem już nic. Pustka.

Żaloszny głupcze. Na dłuższą metę to samo czeka każdego. Nawet Hariego Seldona - pewnego dnia zostanie zapomniany, raczej wcześniej niż później, jeśli Chen dopnie swego. Wszyscy umieramy. Wszyscy znikamy w strumieniu czasu. Jedyne, co może po nas przetrwać, to nowy kształt, jaki nadaliśmy społecznościom, w których żyliśmy. Są rzeczy znane dzięki temu, że o nich powiedziałem. I chociaż ludzie zapomną o mnie, dalej będą je znali. Jak ta historia, którą opowiadała Rinjy - nie pamięta, jeśli w ogóle wiedziała, że to Deet była bibliotekarką w prawdziwej wersji. Ale samą historię pamięta. Społeczność bibliotekarzy zmieniła się, ponieważ Deet znalazła się między nimi. Dzięki Deet staną się inne, trochę odważniejsze, trochę silniejsze. Pozostawiła po sobie ślad.

A potem znowu nastąpił rozbłysk intuicji, nagle zrozumienie odpowiedzi na pytanie, które od dawna go dręczyło.

Ale w chwili, gdy Leyeł uświadomił sobie, że ją zna, odpowiedź wysliznęła się. Nie mógł jej

sobie przypomnieć. Śpisz, powiedział sobie bezgłośnie. Śniłeś tylko, że zrozumiałeś pochodzenie ludzkości. Tak już jest w snach: prawda zawsze wydaje się cudowna, ale nigdy nie można jej utrzymać.

- Jak to przyjmuje, Deet?

- Trudno powiedzieć. Chyba nieźle. Nigdy nie był typem podróżnika.

- Daj spokój, to nie może być takie proste.

- Nie, nie jest.

- Opowiedz.

- Kwestie towarzyskie były najłatwiejsze. I tak rzadko bywaliśmy, ale teraz przestali nas zapraszać. Jesteśmy politycznie niebezpieczni. A parę zaplanowanych spotkań zostało odwołanych albo, hm, przesuniętych. No wiesz, zadzwonimy, jak tylko ustalimy nową datę.

- To mu nie przeszkadza?

- To akurat mu się podoba. Nie znosił takich spotkań. Ale odwołali jego odczyty. I serię wykładów o ekologii ludzi.

- To cios.

- Udaje, że mu nie zależy. Ale jest smutny.

- Mów dalej.

- Pracuje cały dzień, ale już mi nie czyta, nie woła mnie do lektora, jak tylko wejdę do mieszkania. Nie wydaje mi się, żeby coś pisał.

- Nic nie robi?

- Nie. Tylko czyta. To wszystko.

- Może po prostu musi skończyć badania.

- Nie znasz Leyela. On myśli pisząc. Albo mówiąc. A teraz nie robi ani tego, ani tego.

- Nie rozmawia z tobą?

- Odpowiada. Kiedy próbuję mówić mu o bibliotece, odpowiada. .. Jak? Ponuro. Smętnie.

- Nie lubi twojej pracy?

- To niemożliwe. Zawsze wykazywał dla niej tyle entuzjazmu, co dla własnej. Ale o swojej też nie chce rozmawiać. Pytam go, a on milczy.

- To mnie nie dziwi.

- Czyli wszystko w porządku?

- Nie. Po prostu mnie to nie dziwi.

- Ale co z nim jest? Możesz mi wytłumaczyć?

- A co ci z tego przyjdzie? To coś, co nazywamy SUT, Syndromem Utraty Tożsamości. Jest identyczny z pasywnymi technikami reakcji na utratę części ciała.

- SUT... A na czym polega SUT?

- Deet, przecież jesteś naukowcem. Czego się spodziewasz? Opisałaś mi zachowanie Leyela, ja mówię, że to SUT, a ty chcesz wiedzieć, na czym SUT polega. Co mam zrobić?

- Opisać mi zachowanie Leyela. Ależ ze mnie idiotka.

- Dobrze przynajmniej, że potrafisz się śmiać.

- Wiesz, czego można się dalej spodziewać?

- Całkowitego odsunięcia od ciebie i wszystkich. W końcu stanie się zupełnie antyspołeczny i zacznie atakować. Zrobi coś autodestrukcyjnego, na przykład spróbuje publicznie wygłaszać komentarze krytykujące Chena i to będzie koniec.

-Nie!

- Może też zerwać wszystkie dawne kontakty, uciec od ciebie i zrekonstruować się w innym zbiorze społeczności.

- I będzie szczęśliwy?

- Pewnie. Bezużyteczny dla Drugiej Fundacji, ale szczęśliwy. To także zmieni cię w złośliwą wiedźmę. To nie znaczy, oczywiście, że już nią nie jesteś.

- Aha, uważasz, że tylko Leyel pozwala mi być istotą ludzką?

- Właściwie tak. Jest twoim zaworem bezpieczeństwa.

- Ostatnio już nie.

- Wiem.

- Taka byłam okropna?

- Nic, czego byśmy nie zniosły. Wiesz, Deet, jeśli mamy kiedyś rządzić ludzką rasą, powinniśmy chyba najpierw nauczyć się być dobre dla siebie.

- Cóż, cieszę się, że dzięki mnie możecie doskonalić sztukę cierpliwości.

- I słusznie. Jak dotąd świetnie nam idzie, prawda?

- Proszę... Straszylaś mnie tylko tymi prognozami, co? -Częściowo. Wszystko, co powiedziałam, jest prawdą. Ale wiesz

nie gorzej ode mnie, że jest tyle dróg wyjścia z syndromu B-B, ilu ludzi, którym on dokucza.

- Behawioralna przyczyna, behawioralny skutek? Czyli nie będzie zastrzyku hormonalnego?

- Deet... On nie wie, kim jest.

- Mogę mu pomóc? - Tak.

- Ale jak? Co mam robić?

- Mogę tylko zgadywać, bo przecież z nim nie rozmawiałam.

- Oczywiście.

- Rzadko bywasz w domu.

- Nie mogę tam wytrzymać, kiedy on stale się martwi.

- Świetnie. Zabierz go ze sobą.

- Nie pójdzie.

- Zmuś go.

- Prawie nie rozmawiamy. Nie wiem, czy w ogóle mam na niego jakiś wpływ.

- Deet, sama przecież napisałaś: "Społeczności, które niewiele albo niczego nie wymagają od swoich członków, nie mogą liczyć na ich lojalność. Kiedy inne wielkości są zbliżone, najbardziej lojalni są członkowie, którzy czują się najbardziej potrzebni".

- Nauczyłaś się tego na pamięć?

- Psychohistoria to przecież psychologia populacji, ale populacje można kwantyfikować jedynie jako społeczności. Prace Seldona

o prawdopodobieństwach statystycznych pozwalały przewidywać przyszłość na jedno czy dwa pokolenia... Dopóki nie opublikowałaś swoich teorii społeczności. To dlatego, że statystyka nie umie sobie poradzić z łańcuchami przyczynowo-skutkowymi. Mówi tylko, co się dzieje, ale nie odkryje przyczyny ani rezultatu. W ciągu pokolenia czy dwóch obecne statystyki znikają, tracą znaczenie, mamy całkiem nowe populacje w nowych konfiguracjach. Twoje teorie dały nam metodę przewidywania, które społeczności przetrwają, które rozkwitną, a które się rozpadną. Metodę spojrzenia w głębinę czasu

i przestrzeni.

- Hari nigdy mi nie powiedział, że jakoś wykorzystuje teorię społeczności.

- A jak miał ci powiedzieć? Kroczył po linii: publikował dosyć, żeby zaczęli traktować psychohistorię poważnie, ale nie tyle, żeby ktokolwiek poza Drugą Fundacją potrafił kontynuować albo powtórzyć jego badania. Twoje prace były kluczem, ale nie mógł ci tego zdradzić.

- Czy mówisz to, żebym poczuła się lepiej?

- Jasne. Właśnie dlatego. Ale to także prawda, ponieważ okłamana nie czułabyś się lepiej. Statystyka to jak badanie przekroju pnia drzewa. Wiele ci powie o jego historii. Możesz odgadnąć, czy drzewo jest zdrowe, jaką ma objętość, ile z tego w korzeniach, ile w konarach. Ale nie dowiesz się, gdzie się rozgałęzia, które gałęzie staną się konarami, które pozostaną gałązkami, które uschną, odpadną i zginą.

- Ale przecież nie można kwantyfikować społeczności, prawda? To tylko opowieści i rytuały, które wiążą ludzi ze sobą...

- Zdziwiłabyś się, wiedząc, co potrafimy kwantyfikować. Jesteśmy dobre w naszej pracy, Deet. Tak jak ty. Tak jak Leyeł.

- Czy jego praca jest ważna? Przecież pochodzenie ludzi to tylko historyczny problem.

- Sama wiesz, że to nonsens. Leyeł odrzucił wszystkie kwestie historyczne i zajął się naukowymi. Szuka cech, które odróżniają człowieka, tak jak go pojmujemy, od nieczłowieka. Jeśli się dowie... Nie rozumiesz, Deet? Rasa ludzka odtwarza się na nowo przez cały czas, na każdej planecie, w każdej rodzinie, w każdym osobniku. Rodzimy się zwierzętami, a potem uczymy się, jak być ludźmi. Jakoś. To ważne, żebyśmy zrozumieli jak. Ważne dla psychohistorii. Ważne dla Drugiej Fundacji. Ważne dla ludzkiej rasy.

- Czyli... nie jesteście tylko uprzejme wobec Leyeła?

- Owszem, jesteśmy. Również. Dobrzy ludzie są uprzejmi.

- I to wszystko? Leyeł jest po prostu człowiekiem, który ma kłopoty?



- Potrzebujemy go. Jest ważny nie tylko dla ciebie. Jest ważny dla nas.

- Och...

- Dlaczego płaczesz?

- Bałam się... że jestem egoistką... że tak się o niego martwię. I zajmuję ci czas.

- Niesamowite... Sądziłam, że nie możesz mnie niczym zaskoczyć.

- Nasze kłopoty były tylko... naszymi kłopotami. Teraz już nie są. - I to dla ciebie takie ważne?

Powiedz mi, Deet: czy naprawdę

tak ci zależy na tej społeczności? - Tak.

- Bardziej niż na Leyelu?

- Nie. Ale wystarczająco... żebym czuła się winna, że tak się o niego martwię.

- Wracaj do domu, Deet. Po prostu idź do domu. - Co?

- Tam wolisz teraz przebywać. Widać to po twoim zachowaniu od dwóch miesięcy, od śmierci Hariego. Byłaś złośliwa i zagniewana, a teraz zrozumiałam, dlaczego. Masz pretensje, że odrywamy cię od Leyela.

- Nie, sama przecież wybrałam. Ja...

- Oczywiście, że sama! To była twoja ofiara dla dobra Drugiej Fundacji. Więc teraz ci mówię: uleczenie Leyela jest ważniejsze dla planów Hariego niż twoja codzienna praca tutaj.

- Nie usuwasz mnie chyba ze stanowiska?

- Nie. Proszę tylko, żebyś trochę zwolniła. I wyciągnij Leyela z domu. Rozumiesz? Załadaj tego! Zwiąż go znowu ze sobą, inaczej go stracimy.

- Gdzie go zabrać?

- Nie wiem. Do teatru. Na zawody sportowe. Na tańce.

- Nie chodzimy tam.

- A co robicie?

- Badania. A potem o nich rozmawiamy.

- Dobrze. Przyrowadź go do biblioteki. Pracuj razem z nim. Rozmawiajcie o tym.

- Ale tutaj musi spotkać ludzi. A już na pewno ciebie.

- Dobrze. Dobrze. To mi się podoba. Tak, niech przyjdzie koniecznie.

- Myślałam, że Druga Fundacja ma być dla niego tajemnicą, dopóki nie będzie gotów, żeby w niej uczestniczyć.

- Nie powiedziałam, że masz mnie przedstawić jako Pierwszego Mówcę.

- Nie, rzeczywiście nie. O czym ja myślę? Oczywiście, że może cię spotkać. Może spotkać wszystkich.

- Deet, posłuchaj mnie.

- Tak, słucham.

- To dobrze, że go kochasz, Deet. -Wiem.

- Dobrze, że kochasz go bardziej niż nas. Bardziej niż którąkolwiek z nas. Bardziej niż nas wszystkie. I znowu płaczesz...

- To taka... - Ulga.

- W jaki sposób tak dobrze mnie rozumiesz?

- Wiem tyle, ile mi okazujesz, co mi mówisz. Tyle tylko możemy wiedzieć o innych. Pomaga, że nikt nie potrafi zbyt długo kłamać w kwestii tego, kim jest naprawdę. Nawet sobie samemu.

Przez dwa miesiące Leyeł studiował pracę Magolissian, próbując znaleźć jakieś powiązania między badaniami języka a pochodzeniem człowieka. Oczywiście, wymagało to tygodni brodzenia w starych, bezużytecznych pracach o punkcie początku, które raz po raz wykazywały, że w całej historii Imperium właśnie Trantor był punktem ogniskującym zmian językowych, chociaż nikt na poważnie nie sugerował, że jest planetą początku. Leyeł jednak zaniechał poszukiwań konkretnej planety. Zależało mu na regularnościach, nie zdarzeniach wyjątkowych.

Miał nadzieję, że znajdzie wskazówkę w stosunkowo świeżej pracy - zaledwie sprzed dwóch tysięcy lat - Dagawella Kispitoriana. Kispitorian pochodził z najbardziej odizolowanej części planety zwanej Artashat, gdzie przetrwały opowieści o tym, jakoby oryginalni osadnicy przybyli ze świata o nazwie Armenia, obecnie nie istniejącego na mapach. Kispitorian dorastał wśród górali, którzy twierdzili, że dawno temu mówili całkiem innym językiem. Tytuł najciekawszej jego książki brzmiał Żaden człowiek nas nie rozumiał; wiele baśni tego ludu rozpoczyna się od zdania "Dawno temu, kiedy żaden człowiek nas nie rozumiał..."

Kispitorian nigdy nie zapomniał o swych tradycjach i wychowaniu; kiedy studiował dziedzinę formowania i ewolucji dialektów, ciągle natrafiał na fakty świadczące, że kiedyś rasa ludzka mówiła

nie jednym, ale wieloma językami. Zawsze uznawano za bezdyskusyjne, że standardowy galaktyczny jest współczesną wersją języka planety początku, że chociaż pewne grupy mogły rozwinąć własne dialekty, to jednak cywilizacja nie byłaby możliwa bez wzajemnie zrozumiałej mowy. Kispitorian zaczął podejrzewać, że standardowy galaktyczny stał się uniwersalnym językiem ludzi dopiero po stworzeniu Imperium - że w istocie jednym z pierwszych dzieł Imperium było zduszenie wszelkich innych współzawodniczących języków. Górale z Artashatu wierzyli, że ukradziono im mowę. Kispitorian poświęcił życie na wykazanie, że mają rację.

Najpierw zajął się imionami, od dawna uznawanymi za najbardziej konserwatywną część języka. Odkrył, że istnieje wiele rozłącznych tradycji nadawania imion i dopiero w roku 6000 IG zlały się w jeden ogólnoimperialny strumień. Co ciekawe, im dalej w czasie się cofał, tym większą odkrywał złożoność.

Ponieważ pewne światy dzieliły wspólne tradycje, najprostszym wyjaśnieniem była jego pierwsza hipoteza: ludzie opuścili ojczystą planetę ze wspólnym językiem, ale normalne zjawiska separacji sprawiły, że każdy świat rozwijał własne jego odgałęzienie, aż wreszcie liczne dialekty stały się wzajemnie niezrozumiałe. Różne języki powstały zatem dopiero wtedy, kiedy ludzkość wyruszyła w kosmos. Dlatego też Imperium Galaktyczne okazało się niezbędne, by przywrócić pierwotną wspólnotę ludzkiej rasy.

Kispitorian zatytułował swoją pierwszą, najgłośniejszą książkę Wieża pomieszania, wykorzystując dla ilustracji powszechnie znaną legendę o Wieży Babelu. Podejrzał, że historia miała swoje źródło w okresie preimperialnym i powstała prawdopodobnie wśród kupców wędrujących od planety do planety; musieli jakoś radzić sobie z faktem, że żadne dwa światy nie używają tego samego języka. Legenda miałaby świadczyć, że kiedy ludzkość żyła jeszcze na jednej planecie, wszyscy mówili tak samo. Językowy chaos tłumaczyła historia o wielkim przywódcy, który zbudował pierwszą "wieżę", czyli kosmolot, by wynieść ludzkość do nieba. Według legendy, "Bóg" ukarał zarozumiałych ludzi, mieszając im języki, co zmusiło ich do rozproszenia się w kosmosie. Historia przedstawiała językowe pomieszanie jako przyczynę, nie skutek kolonizacji planet, ale takie odwrócenie było często spotykaną cechą mitu. Legenda wyraźnie przedstawiała fakt historyczny.

Do tego miejsca teorie Kispitoriana były w pełni akceptowalne dla większości naukowców. Jednak po czterdziestce uczony zaczął wykonywać ryzykowne posunięcia. Wykorzystując kontrowersyjne algorytmy na kalkulatorach o podejrzenie dużej mocy obliczeniowej, zabrał się do rozrywania na części samego standardowego galaktycznego. Wykazał, że wiele słów zdradza całkowicie rozłączne tradycje fonetyczne, niezgodne z głównym nurtem języka. Nie mogły rozsądnie wyewoluować w ramach populacji mówiącej albo standardowym, albo podstawowym językiem przodków. Co więcej, istniały słowa o wyraźnie powiązanych znaczeniach, które musiały kiedyś różnicować się zgodnie z typowymi wzorcami lingwistycznymi, po czym zostały zespolone później, z innymi znaczeniami lub podtekstami. Ale skala czasowa wynikająca z zakresu zmian była zbyt wielka, by mieściła się w okresie między pierwszymi ludzkimi osadami w kosmosie a powstaniem Imperium. Najwyraźniej, jak twierdził Kispitorian, już na planecie początkowej istniały liczne języki. Standardowy galaktyczny był zatem pierwszym uniwersalnym językiem ludzkości. W całej historii istniały różnice językowe; dopiero Imperium miało dość siły, by je zunifikować.

W wyniku tego Kispitoriana uznano oczywiście za głupca. Jego własną interpretację Wieży Bełkotu wykorzystano przeciw niemu, jak gdyby ciekawa ilustracja tezy stała się nagle zasadniczym argumentem. O włos uniknął egzekucji jako separatysta, ponieważ w jego pracach pojawiał się wyraźnie wyczuwamy ton żalu za językowym zróżnicowaniem. Imperium zdołało pozbawić go funduszy i na pewien czas umieścić w więzieniu, ponieważ używał kalkulatora o nielegalnie dużej pamięci i mocy obliczeniowej. Leyel przypuszczał, że Kispitorianowi i tak się udało - przy pracy nad językiem mógł równie dobrze zbudować kalkulator tak inteligentny, że rozumiałby i używał ludzkiej mowy, a to oznaczało albo karę śmierci, albo lincz.

Teraz to nieważne. Kispitorian do końca utrzymywał, że jego prace są czysto naukowe, że nie ocenia, czy językowa unifikacja Imperium jest Dobra, czy Zła. Po prostu informuje, że naturalnym stanem ludzkości jest używanie wielu języków.

A Leyel wierzył, że miał rację.

Przecucie podpowiadało mu, że łącząc badania językowe Kispitoriana z pracą Mangolissian o naczelnym używających języka, może dostrzec coś ważnego. Ale jaki jest związek między nimi? Naczelne nigdy nie wytworzyły własnych języków - uczyły się tylko rzeczowników i czasowników, pokazywanych im przez ludzi. Nie mogły więc osiągnąć zróżnicowania językowego. Jaki może być związek? Dlaczego w ogóle języki się różniły? Czy ma to coś wspólnego z powodem, dla którego ludzie stali się ludźmi?

Naczelne wykorzystywały tylko niewielki podzbiór standardowego. Podobnie zresztą większość ludzi. Duża część dwóch milionów słów w standardowym była wykorzystywana przez grupę profesjonalistów, którzy ich potrzebowali. Słownik przeciętnego mieszkańca Galaktyki składał się z kilku tysięcy słów.

Dziwne, ale właśnie ten niewielki podzbiór języka był najbardziej podatny na zmiany. Bardzo specjalistyczne prace naukowe czy techniczne, wydane w roku 2000 IG, wciąż były łatwo czytelne. Pełne slangu i kolokwializmów teksty literackie, zwłaszcza dialogi, po pięciuset latach stawały się niemal zupełnie niezrozumiałe. Język wspólny dla różnych społeczności zmieniał się najwyraźniej. Ale w skali czasowej główny nurt języka zmieniał się wszędzie równocześnie. Różnorodność językowa nie miała zatem sensu. Język był najbardziej zmienny, kiedy był najbardziej zunifikowany. Zatem, kiedy ludzie byli podzieleni, język powinien pozostawać bez zmian.

Mniejsza z tym, Leyelu. To nie twoja dyscyplina. Każdy kompetentny lingwista zna pewnie rozwiązanie tego problemu.

Ale wiedział, że to nieprawda. Ludzie zajmujący się daną dyscypliną rzadko kwestionowali aksjomaty swej profesji. Lingwiści uznawali za oczywiste, że języki populacji izolowanych są zawsze bardziej archaiczne, mniej podatne na zmianę. Czy rozumieją, dlaczego tak się dzieje?

Leyel wstał z fotela. Oczy miał zmęczone od wpatrywania się w ekran. Kolana i grzbiet bolały od pozostawania długo w tej samej pozycji. Miał ochotę, się położyć, ale wiedział, że jeśli to zrobi,

zaśnie. Przekleństwo starości: tak łatwo zasypiał, ale nigdy nie spał wystarczająco długo, żeby czuć się wypoczętym. Teraz jednak nie chciał spać. Chciał myśleć.

Nie, to nie to. Chciał porozmawiać. W ten sposób przychodziły mu do głowy najlepsze, najwyraźniejsze idee - w trakcie rozmowy, kiedy ktoś inny kwestionował jego argumenty i zmuszał do myślenia, do znajdowania związków, tworzenia wyjaśnień. W starciu z inną osobą adrenalina płynęła mu w żyłach, mózg dokonywał skojarzeń, w innej sytuacji nieosiągalnych.

Gdzie jest Deet? W dawnych latach mówiłby o tym z Deet przez cały dzień. Przez tydzień. Znałaby stan jego badań nie gorzej od niego i powtarzałaby bez przerwy "Czy o tym pomyślałeś?" albo "Skąd ci coś takiego przyszło do głowy?" A on tak samo atakowałby jej pracę. Za dawniejszych czasów.

Ale to już były inne czasy. Deet go nie potrzebowała, miała swoich przyjaciół w bibliotece. Prawdopodobnie nic w tym złego. W końcu teraz nie myślała, sprawdzała tylko w praktyce dawne przemyślenia. Potrzebowała tych kobiet, nie jego. Ale sama była mu wciąż potrzebna. Czy w ogóle o tym pamiętała? Równie dobrze mogłem lecieć na Terminusa - niech lichy porwie Hariego, który mi zabronił. Zostałem dla Deet, a i tak jej nie ma, kiedy jest mi potrzebna. Jak Hari śmiał decydować, co jest dobre dla Leyela Forski?

Ale Hari przecież nie zdecydował. Pozwoliłby Leyelowi lecieć - bez Deet. A Leyel nie po to został z Deet, żeby pomagała mu w pracy. Został, ponieważ... ponieważ...

Nie mógł sobie przypomnieć. Z miłości, oczywiście, ale nie rozumiał, dlaczego była dla niego taka ważna. Dla Deet, jak widać, nie była. Ostatnio jej wyobrażenie o miłości sprowadzało się do nalegania, żeby przyszedł do biblioteki. "Możesz tam prowadzić swoje badania. Dłużej bylibyśmy razem w ciągu dnia".

Przekaz był jasny: tylko w jeden sposób Leyel mógł pozostać częścią życia Deet - stając się elementem jej nowej "rodziny" w bibliotece. Ale Deet może sobie to wybić z głowy. Jeśli woli zatonać w tym labiryncie, proszę bardzo. Jeśli chce go porzucić dla bandy... bandy indeksatorów i katalogistów, świetnie. Świetnie.

Nie. Wcale nie świetnie. Chciał z nią rozmawiać. Natychmiast, w tej chwili, musiał jej opowiedzieć, co wymyślił, wysłuchać jej sprzeciwów, dyskutować z nią, aż dzięki niej odkryje nowe odpowiedzi. Wiele odpowiedzi. Potrzebował jej, by zobaczyła to, czego sam nie dostrzega. Potrzebował o wiele bardziej niż one...

Maszerował już w tłumie bulwarem Masło, nim sobie uświadomił, że pierwszy raz od śmierci Hariego opuścił najbliższe sąsiedztwo mieszkania. Po raz pierwszy od miesiący zmierzał do jakiegoś celu.

Po to właśnie wyszedłem. Muszę zmienić scenerię, odzyskać poczucie celu. Tylko z tego powodu idę do biblioteki. Wszystkie emocjonalne bzdury w domu były tylko podświadomą strategią, zmuszającą mnie znowu do wyjścia między ludzi. Zanim dotarł na miejsce, humor mu się poprawił.

Wiele razy w przeszłości odwiedzał Imperialną Bibliotekę, ale zawsze bywał tu na przyjęciach albo przy innych oficjalnych okazjach. Miał własnego lektora wysokiej pojemności, mógł więc sięgnąć po kable do wszystkich rejestrów biblioteki. Inni: studenci, profesorowie z pomniejszych szkół, przypadkowi czytelnicy - musieli tu przychodzić, żeby czytać. Ale dzięki temu znali rozkład budynku. Leyeł nie miał pojęcia, gdzie znajduje się cokolwiek poza główną salą wykładową i pokojami przyjęć.

Po raz pierwszy w życiu zauważył, jak ogromna jest Biblioteka Imperialna. Deet wiele razy wymieniała ważniejsze liczby: obsługa licząca pięć tysięcy osób, w tym maszynistów, stolarzy, kucharzy, ochronę... Praktycznie rzecz biorąc, zamknięte miasteczko... ale to oznacza, że wielu z tych ludzi nigdy się nie spotkało. Nie można znać po imieniu pięciu tysięcy osób. A on nie może zwyczajnie podejść i spytać o Deet. W którym dziale pracowała? Zmieniała je często i przemieszczała się w biurokratycznej strukturze.

Wokół widział tylko gości - ludzi przed lektorami, ludzi przy katalogach, nawet ludzi czytających książki i magazyny wydrukowane na papierze. Gdzie są bibliotekarze? Kilka osób w przejściach między stolikami okazało się wolontariuszami, pokazującymi przybyszom, jak używać lektorów i katalogów. O personelu biblioteki wiedzieli nie więcej od niego.

Wreszcie znalazł salę pełną bibliotekarzy przy kalkulatorach. Kobiety przygotowywały codzienny raport wykorzystania i obiegu zbiorów. Kiedy spróbował odezwać się do jednej z nich, machnęła tylko ręką. Z początku myślał, że każe mu iść sobie, ale zobaczył, że jej ręka zawisła w powietrzu z palcem wskazującym frontową część sali. Leyeł ruszył w stronę ustawionego na podwyższeniu biurka, gdzie tęga, senna kobieta w średnim wieku leniwie przeglądała długie kolumny liczb, w wojskowym porządku stojące przed nią w powietrzu.

- Przepraszam, że przerywam - zaczął cichym głosem. Podpierała dłonią brodę i nawet na niego nie spojrzała. Odpowiedziała jednak.

- Modłę się o przerwę.

Dopiero wtedy zauważył, że oczy miała otoczone siatką zmarszczek od śmiechu, że nawet przy obojętnej minie kąciki ust wyginały się w górę w lekkim uśmiechu.

- Szukam kogoś. Właściwie mojej żony. Deet Forska. Uśmiechnęła się szerzej.

- Więc jest pan ukochanym Leyelem...

Były to słowa absurdalne w ustach obcej kobiety, ale ucieszył się, że Deet o nim opowiadała. Oczywiście, wszyscy pewnie wiedzieli, że mężem Deet jest słynny Leyeł Forska. Ale ta kobieta powiedziała to inaczej. Nie Leyeł Forska, osobistość. Nie, tutaj znany był jako "ukochany Leyeł". Jeśli nawet ta kobieta chciała z niego zażartować, Deet musiała jednak zdradzić, że żywi do niego jakieś uczucia. Nie zdołał powstrzymać uśmiechu - ulgi. Nie zdawał sobie sprawy, że tak bardzo obawia się stracić jej miłość. A teraz miał chęć się roześmiać, podskoczyć, zatańczyć z radości.

- Tak sędzę - potwierdził.

- Jestem Zay Wax. Deet musiała o mnie wspominać. Codziennie jemy razem lunch.

Nie wspominała. Jeśli się zastanowić, to w ogóle nie mówiła o nikim z biblioteki. Codziennie jadły razem lunch, a Leyeł nic o tym nie wiedział.

- Tak, oczywiście - powiedział. - Miło mi panią poznać.

- A ja z ulgą stwierdzam, że stopami jednak dotyka pan ziemi.

- Od czasu do czasu.

- Deet pracuje ostatnio w Indeksach. - Zay wyczyściła ekran.

- Czy to na Trantorze?

Zaśmiała się. Wpisała kilka instrukcji i na ekranie pojawiła się mapa kompleksu biblioteki. Był to złożony labirynt sal i korytarzy, prawie niemożliwy do zapamiętania.

- To pokazuje tylko nasze skrzydło głównego budynku. Indeksy są na tych czterech piętrach.

Cztery warstwy pośrodku zmieniły kolor na jaśniejszy. - A jesteśmy tutaj.

Mała salka na parterze zajaśniała bielą. Oceniając plątaninę dróg między dwoma jasnymi częściami mapy, Leyeł parsknął śmiechem.

- Czy może pani po prostu dać mi bilet, żeby mnie doprowadził?

- Nasze bilety prowadzą tylko do miejsc, gdzie wolno wchodzić gościom. Ale to nietrudne, lordzie Forska. Jest pan przecież geniuszem, prawda?

- Ale nie w wewnętrznej topografii budynków. Cokolwiek by Deet o mnie opowiadała.

- Proszę wyjść tymi drzwiami i prosto korytarzem do wind. Nie można ich nie zauważyć. Windą na piętnaste, potem dalej, jakby pan wciąż szedł tym samym korytarzem. Po jakimś czasie trafi pan pod łuk z napisem "Indeksy". Wtedy trzeba nabrać tchu i krzyknąć "Deet!". Jak najgłośniej. Powtórzy pan to kilka razy, a wtedy albo ona przyjdzie, albo zjawi się ochrona i pana aresztuje.

- To właśnie zamierzałem zrobić, gdybym nie znalazł kogoś, kto mnie zaprowadzi.

- Miałam nadzieję, że mnie pan poprosi. - Zay wstała i odezwała się głośno do pracujących kobiet. - Kot wychodzi. Myszy mogą

poharcować.

- Najwyższy czas - mruknęła jedna z nich. Roześmiały się, ale

pracowały dalej.

- Proszę za mną, lordzie Forska. - Proszę mi mówić: Leyelu.

- Podrywacz z ciebie. - Kiedy wstała, wydała się jeszcze niższa i grubsza niż na siedząco. - Chodźmy.

Po drodze rozmawiali wesoło o niczym konkretnym. W windzie, nim uderzyło odpychanie grawitacyjne, zaczęli stopy o relingi. Leyel przyzwyczał się do nieważkości przez lata korzystania z wind na Trantorze. Ale Zay pozwoliła rękom popłynąć w powietrzu i westchnęła głośno.

- Uwielbiam jeździć windami - powiedziała.

Leyel uświadomił sobie, że nieważkość musi być wielką ulgą dla kogoś, kto nosi tyle zbędnych kilogramów. Kiedy dojechali do celu, Zay zachwiała się teatralnie, jakby pod wielkim ciężarem.

- Niebo wyobrażam sobie jako wieczne życie w polu odpychającym.

- Przecież możesz sobie odpychanie grawitacyjne zainstalować, w mieszkaniu. Jeśli tylko mieszkasz na najwyższym poziomie.

- Może ciebie na to stać - odparła. - Ale ja utrzymuję się z pensji bibliotekarki.

Leyel zeszywniał. Starał się nigdy nie przechwalać swoim bogactwem, ale rzadko rozmawiał dłużej z ludźmi, których nie stać na odpychanie grawitacyjne.

- Przepraszam - powiedział. - Ostatnio ja też bym chyba nie mógł sobie na to pozwolić.

- Owszem. Słyszałam, że przepuściłeś majątek na wystawny pogrzeb.

Zdziwiony, że mówi o tym tak otwarcie, spróbował odpowiedzieć tym samym żartobliwym tonem.

- Chyba rzeczywiście można to tak określić.

- Moim zdaniem warto było - stwierdziła. Spojrzała na niego chytrze. - Znałam Hariego, wiesz? Jego strata więcej kosztowała ludzkość, niż gdyby słońce Trantora przeszło w nową.

- Możliwe - przyznał Leyel.

Rozmowa wymykała się spod kontroli. Trzeba zachować ostrożność.

- Och, nie martw się. Nie wypaplam bezpiecznym. A oto i Złota Brama Indeksów, Krainy Subtelnych Skojarzeń Konceptualnych.



Przeszli pod łukiem i Leyeł miał wrażenie, że znaleźli się w całkiem innym budynku. Wystrój i urządzenie się nie zmieniły: ta sama lśniąca tkanina na ścianach, podłoga i sufit z tego samego gładkiego, dźwiękochłonnego plastiku, połyskującego lekko w bladym świetle. Ale zniknęły wszelkie pozory symetrii. Sufit zwisał na różnych, jakby przypadkowych wysokościach, po lewej i prawej stronie Leyeł widział drzwi, przejścia, schody i rampy, nisze i wielkie sale z kolumnami, regałami pełnymi książek i dziełami sztuki otaczającymi stoliki, przy których indeksarki pracowały z kilkoma lektorami i skryptorami równocześnie.

- Forma odpowiada funkcji - wyjaśniła Zay.

- Obawiam się, że wyciągam szyję niczym ktoś, kto pierwszy raz przybył na Trantora.

- To niezwykle miejsce. Ale architekt była córką indeksera i wiedziała, że standardowe, uporządkowane, symetryczne wnętrza są wrogiem swobodnych skojarzeń. Genialnym pociągnięciem, ale obawiam się, że również najbardziej kosztownym, był pomysł, by codziennie zmieniać układ pomieszczeń.

- To znaczy, że pokoje się przesuwiają?

- Zgodnie z zestawem stochastycznych procedur w głównym kalkulatorze. Są pewne zasady, ale program nie boi się marnowania miejsca. Niekiedy zmienia tylko jeden pokój i przenosi go w całkiem inne

miejsce w dziale indeksacji. Kiedy indziej zmienia się wszystko. Wcale nie żartowałam, mówiąc, że powinieneś tu wejść i krzyknąć.

- Ale... Przecież indeksery przez pół dnia szukają swoich stanowisk. ..

- Wcale nie. Każda z nich może pracować z dowolnego miejsca.

- Aha. Czyli po prostu wywołują pracę, którą przerwały poprzedniego dnia?

- Nie. Podejmują pracę, którą znajdują na stanowisku, jakie sobie akurat wybrały.

- Chaos - ocenił Leyeł.

- Właśnie. A jak myślisz, w jaki sposób powstaje dobry hiperindeks? Jeśli tylko jedna osoba indeksuje książkę, to jedynymi skojarzeniami są te, które zna sama. Tutaj każdy z indeksarów przegląda tylko, co zrobił dzień wcześniej jego poprzednik. Oczywiście, doda jakieś nowe połączenia, o których tamten nie pomyślał. Otoczenie, styl pracy, wszystko tu zostało zaprojektowane, by przełamać myślowe nawyki i sprawić, że miejsce wyda się zaskakujące i nowe.

- Żeby wyprowadzać z równowagi.

- Właśnie. Umysł szybciej pracuje, kiedy biegnie się skrajem przepaści.

- Zgodnie z tą teorią, wszyscy akrobaci powinni być geniuszami.

- Nonsens. Praca akrobaty polega na perfekcyjnym opanowaniu pewnych ruchów, tak żeby nigdy nie tracić równowagi. Akrobata, który improwizuje, nie pożyje długo. Ale kiedy indeksy Biblioteki Imperialnej są jedynymi wartymi czytania. Zaskakują i zadziwiają. Wszystkie inne to po prostu... spisy biurowe.

- Deet nigdy mi o tym nie wspominała.

- Indeksery rzadko mówią o swojej pracy. Zresztą tak naprawdę nie da się tego wytłumaczyć.

- Od jak dawna Deet tu pracuje?

- Niedługo, Wciąż jest nowicjuską. Ale słyszałam, że jest dobra, nawet bardzo dobra.

- A gdzie ją znajdziemy?

Zay uśmiechnęła się szeroko. Po czym nabrała tchu i wrzasnęła: -Deet!

Zdawało się, że labirynt pomieszczeń natychmiast wchłonął dźwięk. Nikt nie odpowiedział.

- Chyba nigdzie w pobliżu - stwierdziła Zay. - Musimy wejść trochę głębiej.

- A nie możemy zwyczajnie kogoś zapytać?

- A skąd ten ktoś ma wiedzieć?

Po dwóch kolejnych piętrach i trzech krzykach odpowiedziało im ciche wołanie:

- Tutaj!

Poszli za nim. Deet odzywała się regularnie, więc bez większego trudu podążali właściwą drogą.

- Dostałam dziś pokój kwiatów, Zay! Fiołki! Przechodzące w pobliżu indeksarki podniosły głowy. Niektóre

zmarszczyły czoła, inne uśmiechnęły się życzliwie.

- Czy to im nie przeszkadza? Takie wrzaski? - zdziwił się Leye.

- Indeksery tego potrzebują. Zakłócenie przerywa ciąg myśli. Potem muszą jeszcze raz przemyśleć to, co robili.

Deet, już blisko, zawołała znowu.

- Zapach jest oszałamiający. Wyobraź sobie, ten sam pokój drugi raz w miesiącu!

- Czy indeksery często trafiają do szpitala? - zapytał cicho Leyel.

- Z jakiego powodu?

- Stresu.

- W tej pracy nie ma stresów - zapewniła go Zay. - Tylko zabawa. Trafiamy tu w nagrodę za dobrą pracę w innych działach.

- Rozumiem. To miejsce, gdzie bibliotekarze mogą wreszcie czytać książki ze swojej biblioteki.

- Wszystkie wybrałyśmy tę pracę, ponieważ kochamy książki dla nich samych. Nawet te stare, niewygodne i nietrwałe, na papierze. Indeksacja to jak... jak pisanie na marginesach.

Sam pomysł był niezwykły.

- Pisanie w cudzej książce?

- Robiono to zawsze, Leyelu. Jak możesz podjąć dialog z autorem, nie wypisując na marginesie swoich odpowiedzi i argumentów? No, jesteśmy. - Zay pierwsza przeszła pod niskim łukiem i po kilku stopniach w dół.

- Słyszałam jakiś męski głos, Zay - powitała ją Deet.

- Mój - odezwał się Leyel.

Wyszedł zza zakrętu i zobaczył ją. Po tak długim oczekiwaniu na spotkanie, przez jedną chwilę miał uczucie, że jej nie rozpoznaje. Biblioteka losowo zmieniała także bibliotekarzy, nie tylko pokoje, i teraz trafił do kobiety, która tylko z wyglądu przypominała jego żonę; będzie musiał poznawać ją od początku.

- Tak myślałam - stwierdziła Deet.

Wstała i objęła go. Nawet to go zaskoczyło, choć przecież zwykle obejmowała go na powitanie. To tylko otoczenie jest inne, tłumaczył sobie. Jestem zakłopotany, ponieważ zwykle wita mnie tak w domu, w znajomym miejscu. I zwykle to Deet przychodzi, nie ja.

A może jednak jej gest miał więcej ciepła? Jak gdyby tutaj kochała go bardziej niż w domu. Albo jakby ta nowa Deet była po prostu cieplejszą, swobodniejszą osobą.

Myślałem, że jest swobodna przy mnie, pomyślał. Czuł się niepewny, trochę zakłopotany.

- Gdybym wiedział, że moja wizyta spowoduje tyle kłopotów... - zaczął.

Dlaczego właściwie koniecznie chciał przeproszać?

- Jakich kłopotów? - zdziwiła się Zay.

- Krzyki. Przerwy w pracy.

- Słyszysz go, Deet? Uważa, że świat się zatrzymał z powodu kilku krzyków.

Z oddali dobiegło wołanie mężczyzny, wykrzykującego czyjeś imię.

- To normalne - wyjaśniła Zay. - A teraz muszę wracać. Jakieś książątko z Mahogany pewnie się już dąsa, bo nie udzieliłam mu jeszcze dostępu do imperialnych ksiąg finansowych.

- Miło było cię spotkać - zapewnił ją Leyeł.

- Życzę szczęścia w drodze powrotnej - dodała Deet.

- Tym razem nie będzie problemów - zapewniła ją Zay. Zatrzymała się jeszcze w drzwiach, nie żeby coś powiedzieć, ale by przesunąć metaliczną płytkę wzdłuż prawie niezauważalnej szczeliny w futrynie, powyżej poziomu oczu. Obejrzała się, mrugnęła do Deet i zniknęła.

Leyeł nie spytał, co zrobiła - gdyby to była jego sprawa, sama by wyjaśniła. Podejrzewał, że Zay wyłączyła albo włączyła system zapisu. Niepewny, czy nie są podsłuchiwanie, przez chwilę rozglądał się tylko. Pokój Deet rzeczywiście wypełniały fiołki, prawdziwe fiołki, wyrastające ze szczelin i otworów w podłodze i ścianach. Zapach był wyraźny, ale nie bardzo mocny.

- Dlaczego taki pokój?

- Dla mnie. Przynajmniej dzisiaj. Tak się cieszę, że przyszedłeś.

- Nie opowiadałaś mi o tym.

- Nie wiedziałam, dopóki nie przenieśli mnie do tego dzianu. Nikt nie opowiada o Indeksacji. Nigdy nie mówimy obcym. Architekt zmarła trzy tysiące lat temu. Tylko nasi mechanicy rozumieją, jak to działa. To jak...

- Kraina Czarów.

- Właśnie.

- Miejsce, gdzie wszystkie prawa wszechświata ulegają zawieszeniu.

- Nie wszystkie. Pozostaje stara, dobra grawitacja. Bezwładność... Takie rzeczy.

- Pasuje do ciebie to miejsce, Deet. Ten pokój.

- Większość pracuje latami, nie trafiając do pokoju kwiatów. Zresztą nie zawsze rosną tu fiołki. Czasami pnące róże albo mirt. Podobno istnieje kilkanaście kwiatowych pokojów, ale nigdy nie jest dostępny więcej niż jeden. A ja oba razy trafiłam na fiołki.

Leyel nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. To było śmieszne. To było cudowne. Czy miało jakiś związek z biblioteką? Ale to wspaniale, ukryć coś podobnego w tak posępnym budynku.

Usiadł w fotelu. Fiołki wyrastały z oparcia i łaskotały go w kark.

- Wreszcie znudziło ci się siedzenie po całych dniach w mieszkaniu? - spytała Deet.

Na pewno się zastanawia, dlaczego w końcu wyszedł, skoro od tak dawna ignorował jej zaproszenia. Leyel nie był jednak pewien, czy może mówić szczerze.

- Chciałem z tobą porozmawiać. - Zerknął na szczelinę w futrynie. - Sam na sam.

Czyżby wyraz lęku przemknął jej po twarzy?

- Jesteśmy sami - odpowiedziała cichym głosem. - Zay o to zadbała. Naprawdę sami, jak nigdy w naszym mieszkaniu.

Leyel dopiero po chwili zrozumiał, co sugeruje Deet. Nie ośmielił się nawet wymówić tego słowa. Ułożył tylko wargi w pytanie:

- Bezpieczni?

- Zwykle pomijają bibliotekę przy normalnych podsłuchach. Nawet gdyby założyli dla ciebie coś specjalnego, w tej chwili pole interferencyjne blokuje naszą rozmowę. Prawdopodobnie jednak nie będą cię monitorować, dopóki stąd nie wyjdiesz.

Wydawała się spięta. Niecierpliwa. Jakby nie miała ochoty na rozmowę. Jakby chciała, żeby już zaczął, a może żeby już skończył.

- Jeśli ci to nie przeszkadza - rzekł. - Nigdy wcześniej cię nie nachodziłem. Pomyślałem, że ten jeden raz...

- Oczywiście - uspokoiła go. Ale wciąż z napięciem w głosie, jakby się obawiała, co usłyszy.

Opowiedział jej więc o swoich przemyśleniach na temat języka. Wszystko, czego dowiedział się z prac Kispitoriana i Magolissian. Miał wrażenie, że Deet uspokoiła się, gdy tylko zrozumiała, że chce rozmawiać o swoich badaniach. Czego się bała, myślał Leyel. Że zacznie rozmawiać o naszym związku? Tego nie musi się obawiać. Nie zamierzał utrudniać sytuacji, skarżąc się na to, czemu i tak nie można zaradzić.

Kiedy opowiedział już o wszystkich swoich pomysłach, Deet kiwnęła głową - jak już tysiące

razy, gdy wyjaśniał idee czy argumenty.

- Nie wiem - stwierdziła po chwili. Jak tyle razy wcześniej, unikała szybkich odpowiedzi.

I - jak często robił - nalegał.

- A jak myślisz? - zapytał. Przygryzła wargę.

- Tak na pierwszy rzut oka, bo nigdy nie próbowałam poważnych zastosowań teorii społeczności w lingwistyce... Pomyśl: może niewielkie, izolowane populacje strzegą języka, ponieważ jest on częścią ich tożsamości. Może język jest najważniejszym rytuałem, a ludzie mówiący tym samym językiem tworzą jedność tak, jak nigdy nie potrafiliby tego ludzie nie rozumiejący swojej mowy. Nie dowiemy się na pewno, gdyż od dziesięciu tysięcy lat wszyscy używają standardowego.

- Czyli to nie wielkość populacji, ale raczej...

- Raczej to, jak dbają o własny język. W jakim stopniu określa on ich społeczność. Duże populacje zaczynają wierzyć, że wszyscy mówią tak jak one. Chcą się jakoś wyróżniać, tworzyć oddzielną grupę. Wtedy rozwijają żargony i slang, żeby odróżnić się od pozostałych. Czy nie tak dzieje się ze wspólną mową? Dzieci szukają takich sposobów wyrażania się, jakich nie używają ich rodzice. Profesjonaliści korzystają z zamkniętych słowników, żeby laicy nie znali haseł. To rytuały określenia społeczności.

Leyel z powagą kiwnął głową. Dręczyła go jednak pewna oczywista wątpliwość.

Najwyraźniej Deet wiedziała, o co mu chodzi.

- Tak, tak. Wiem, Leyelu. Odruchowo interpretuję twoje pytania w terminach własnej dyscypliny. Jak fizycy, którzy wierzą, że wszystko da się wyjaśnić poprzez fizykę.

Leyel roześmiał się.

- Pomyślałem o tym, ale to, co mówiłaś, ma sens. I wyjaśnia naturalną tendencję różnicowania języków. Chcemy wspólnej mowy, języka otwartej dyskusji, ale chcemy też prywatnych systemów porozumiewania. Tyle że język całkowicie prywatny jest bezużyteczny, bo z kim byśmy rozmawiali? Czyli, kiedy formuje się społeczność, tworzy dla obcych przynajmniej kilka lingwistycznych barier, kilka kolokwializmów znanych tylko członkom.

- A im większy związek odczuwa się ze społecznością, tym bardziej płynnie i tym częściej mówi się jej językiem.

- Tak, to ma sens - powtórzył Leyel. - Takie proste. Widzisz, jak bardzo cię potrzebuję?

Te słowa miały być delikatnym wyrzutem - dlaczego nie było cię w domu, kiedy byłaś mi potrzebna - ale nie mógł ich powstrzymać. Siedząc obok Deet, nawet w tym dziwnym, pachnącym

pokoju, czuł się swobodnie i na swoim miejscu. Jak mogła się od niego odsunąć? To jej obecność sprawiała, że ten pokój był jak dom. Dla niej był domem, niezależnie od obecności Leyela.

Spróbował ubrać tę myśl w słowa - w abstrakcję, by jej nie zabolęły.

- Myślę, że największą tragedią jest, gdy osoba okazuje większą lojalność wobec społeczności niż którykolwiek z pozostałych jej członków.

Deet uśmiechnęła się lekko i uniosła brew. Nie wiedziała, do czego zmierza.

- Przez cały czas mówi językiem tej społeczności - tłumaczył Leyel. - Tylko że nikt inny nie rozmawia z nią tym językiem, a im częściej go używa, tym bardziej izoluje się od pozostałych, odpycha ich od siebie. Wreszcie zostaje sama. Czy możesz sobie wyobrazić coś tak smutnego? Kogoś myślącego w języku, kto chciałby nim mówić, chciałby go słuchać, ale nie pozostał nikt inny, kto rozumiałby choć słowo.

Kiwnęła głową, patrząc mu w oczy. Czy rozumie, co próbuję powiedzieć? Czekał na jej odpowiedź. Nic więcej nie ośmielił się dodać.

- Ale wyobraź sobie - odparła w końcu - że ten ktoś opuszcza małą osadę, gdzie nikt go nie rozumie. Idzie za góry, w nowe miejsce, i nagle słyszy setki, tysiące głosów wymawiających słowa, o których marzył przez lata samotności. I uświadamia sobie, że tak naprawdę wcale nie znał języka. Słowa mają setki znaczeń i odcieni, jakich się nie domyślał. Ponieważ korzystając z niego każdy odrobinę zmienia język. I kiedy ten ktoś wreszcie przemówi, własny głos brzmi w jego uszach jak muzyka, a inni słuchają tej muzyki z zachwytem, w oszołomieniu, niby wody życia tryskającej z fontanny. I ten ktoś rozumie, że nigdy dotąd nie był w domu.

Leyel nie pamiętał, by Deet przemawiała tak... poetycko, tak, właśnie to, jakby sama śpiewała. To ona jest tą osobą, o której opowiada. Tutaj jej głos brzmi inaczej - o to jej chodzi. W domu, ze mną, była samotna. Tutaj, w bibliotece, znalazła innych, którzy mówią jej tajemnym językiem. To nie znaczy, że nie chciała, by nasze małżeństwo się udało. Miała taką nadzieję, ale ja nigdy jej nie rozumiałem. Ci ludzie zrozumieli. Rozumieją. Tutaj jest u siebie - to właśnie chce mi powiedzieć.

- Rozumiem.

- Na pewno? - Zerknęła na niego badawczo.

- Tak myślę. Dobrze. Spojrzała zagadkowo.

- To znaczy, świetnie. Dobrze. To miejsce. Bardzo ładne. Chyba odczuła ulgę, ale nie do końca.

- Nie powinieneś być taki smutny, Leyelu. To szczęśliwe miejsce. Możesz tu robić wszystko, co robiłeś w domu.

Tylko nie kochać ciebie, jak cząstkę mnie samego, i czuć, że ty mnie kochasz jak cząstkę siebie.

- Tak, jestem pewien.

- Nie, naprawdę. Pracujesz nad czymś i widzę, że zbliżasz się do rozwiązania. Dlaczego nie spróbujesz tutaj, gdzie możemy o tym rozmawiać?

Leyel wzruszył ramionami.

- Zbliżasz się, prawda?

- Skąd mogę wiedzieć? Szukam na oślep, jak człowiek tonący nocą w oceanie. Może jestem blisko brzegu, a może płynę tylko coraz dalej w morze.

- A co znalazłeś? Czy przed chwilą nie zbliżyliśmy się trochę do celu?

- Nie. Problem języka... Gdyby był tylko aspektem teorii społeczności, nie mógłby stanowić rozwiązania początku człowieka.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ wiele ssaków naczelnych tworzy społeczności. I wiele innych zwierząt. Wszystkie stadne. Albo nawet ławice ryb. Pszczoły. Mrówki. Każdy organizm wielokomórkowy jest właściwie społecznością. Jeśli więc różnicowanie języka jest cechą społeczności, to występuje u zwierząt, a więc nie jest elementem definicji człowieczeństwa.

- Och... Chyba nie.

- Właśnie.

Była chyba rozczarowana. Jakby naprawdę się spodziewała, że rozwiążą problem początku natychmiast, już dzisiaj. Leyel wstał.

- No nic. Dziękuję za pomoc.

- Niewiele ci pomogłam.

- Ależ tak. Pokazałaś, że to ślepy zaułek. Zaoszczędziłaś mi wiele... myślenia. Postęp w nauce to także odkrywanie, które z odpowiedzi są fałszywe.

Jego słowa miały podwójne znaczenie. Pokazała mu także, że ich małżeństwo jest ślepym zaułkiem. Może to zrozumiała, a może nie. To bez znaczenia - on zrozumiał. Ta historyjka o samotnym człowieku, który w końcu znajduje miejsce, gdzie czuje się jak w domu... Czy mógł nie zrozumieć jej sensu?

- Leyelu - odezwała się Deet. - Może przedstawiś swój problem indeksantom?



- Myślisz, że badacze z biblioteki znajdą odpowiedź, jeśli mnie się nie udało?

- Nie do działu badań naukowych. Do indeksacji.

- O co ci chodzi?

- Spisz swoje pytania, wszystkie te uliczki, w które zagłędałeś... Różnicowanie języków. Języki naczelnych. I wszystkie inne, nawet te stare. Podejścia archeologiczne, historyczne. Biologiczne. Wzorce pokrewieństwa. Obyczaje. Wszystko, co ci przyjdzie do głowy. Wypisz to w formie pytań. A potem zindeksujemy je.

- Zindeksujecie moje pytania?

- Tym się zajmujemy: czytamy różne rzeczy i myślimy o innych, które mogą być jakoś powiązane. I łączymy je. Nie mówimy, co oznacza dany związek, ale wiemy, że coś oznacza, że istnieje. Nie podajemy odpowiedzi, Leyelu, ale jeśli zbadasz nasz indeks, może ci pomóc coś wymyślić. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Nigdy o tym nie myślałem. Sądzisz, że kilku indeksatorów znalazłoby wolną chwilę?

- Nie kilku. My wszyscy.

- To absurd, Deet. Nigdy bym o to nie poprosił.

- Ja poproszę. Nikt nas tu nie nadzoruje, Leyelu. Nie wypełniamy norm. Nasza praca polega na czytaniu i myśleniu. Zwykle realizujemy tu kilkaset projektów równocześnie, ale przez jeden dzień możemy wszyscy popracować nad tym samym dokumentem.

- Szkoda czasu. I tak nic nie mogę publikować.

- Nie musisz nic publikować, Leyelu. Nie rozumiesz? Nikt oprócz nas nie wie, co tu robimy. Możemy przyjąć twoje pytania jako niepublikowany artykuł i zająć się nim i tak. Nie musi nawet wejść do sieci bibliotecznej.

Leyel pokręcił głową.

- A jeśli doprowadzą mnie do rozwiązania, to co? Opublikujemy pracę z dwoma setkami współautorów?

- To będzie twój artykuł. My tylko indeksujemy, ty jesteś autorem. Sam musisz dokonać odpowiednich skojarzeń. Pozwól nam się włączyć.

Nagle Leyel zrozumiał, dlaczego tak go namawia. Włączenie go do prac biblioteki pozwoli jej wierzyć, że nadal jest częścią jego życia. Jeśli stanie się członkiem jej nowej społeczności, będzie się czuła, jakby wcale go nie opuściła.

Nie wiedziała, jakie to bolesne? Widzieć ją tutaj, szczęśliwą i bez niego? Przychodzić jak jeden z wielu przyjaciół, choć byli kiedyś -przynajmniej tak sądził - jedną niepodzielną duszą? Jak mógłby się na to zgodzić?

Ale tego pragnęła. Poznawał po jej spojrzeniu, tak dziewczęcym i błagalnym, że przypomniało mu dni, kiedy się w sobie zakochali - daleko stąd, na innej planecie. Tak na niego patrzyła, kiedy tłumaczył, że musi już iść. Kiedy bała się, że może go stracić.

Czy nie pojmuje, kto tu kogo traci?

Mniejsza z tym. Co z tego, że nie pojmuje? Jeśli ma ją ucieszyć jego udawanie, że jest elementem jej nowego domu, elementem tej społeczności bibliotekarzy... Jeśli chce, żeby poddał pracę swego życia tej absurdalnej indeksacji... Dlaczego nie? Przecież nic na tym nie traci. A samo spisanie pytań w jakimś porządku może mu pomóc. Może zresztą Deet ma rację, a trantoriański indeks wskaże drogę do rozwiązania problemu początku.

Jeśli będzie tu przychodził, może nadal pozostanie drobną cząstką jej życia. Nie jak w małżeństwie, naturalnie. Ale skoro to niemożliwe, przynajmniej będzie ją widywał i dzięki temu zostanie sobą, człowiekiem, jakim się stał, ponieważ kochał ją przez lata.

- Zgoda - rzekł. - Spiszę wszystko i przyniosę.

- Naprawdę uważam, że możemy ci pomóc.

- Owszem - przyznał z większą pewnością, niż naprawdę odczuwał. - Może.

Ruszył do drzwi.

- Musisz już iść? Przytaknął.

- Jesteś pewien, że znajdziesz drogę?

- Chyba że pokoje się przesunęły. -Nie, tylko nocą...

- W takim razie na pewno nie zabłądzą. Zrobił krok w jej stronę i zrezygnował.

- Co? - zdziwiła się. -Nic.

- Oj. - Zrobiła zawiedzioną minę. - Myślałam, że chcesz mnie pocałować na do widzenia.

Wydeła wargi jak trzylatka.

Zaśmiał się. I pocałował ją - jak trzylatek. Potem wyszedł.

Zastanawiał się przez dwa dni. Żegnał ją rankiem, potem próbował czytać, oglądać filmy, cokolwiek. Na niczym nie potrafił skupić uwagi. Chodził na spacer. Raz nawet wyprawił się na

powierzchnię zobaczyć niebo - była noc i aż gęsto od gwiazd. Nic. W jednym z programów zobaczył krótką scenę z półpustynnej planety. Rosła tam dziwna roślina, która usychała po osiągnięciu dojrzałości, pękała u korzenia, a wiatr porywał ją i niósł w dal, rozrzucając nasiona. Przez chwilę Leyel czuł niezwykłą wspólnotę z rośliną toczącą się po pustyni. Może sam też tak uschł i mknę po jałowej ziemi? Ale nie, wiedział, że to nieprawda; w roślinie pozostało dość życia, by rozrzucać nasiona. Leyel nie miał już nasion. Te rozrzucił już lata temu.

Trzeciego ranka przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze i parsknął gorzkim śmiechem.

- Czy tak czują się ludzie, zanim popełnią samobójstwo? - zapytał na głos.

Oczywiście, że nie. Wiedział, że to tylko melodramatyczne gesty. Nie miał ochoty umierać.

Ale zaraz przyszło mu do głowy, że jeśli to poczucie bezużyteczności będzie trwało, jeśli nie znajdzie czegoś, co go zajmie, to równie dobrze może umrzeć. Ponieważ żyjąc będzie już tylko ogrzewał własne ubranie.

Usiadł przed skrytorem i zaczął spisywać pytania. Pod każdym dodawał wyjaśnienie, jak badał tę kwestię i dlaczego nie doprowadziła go do rozwiązania problemu początku. Pojawiały się wtedy nowe pytania... Tak, miał rację. Sam proces porządkowania bezowocnych badań sprawił, że odpowiedzi wydały się kusząco bliskie. To niezłe ćwiczenie. Nawet jeśli nie znajdzie rozwiązania, lista pytań może pomóc komuś posiadającemu sprawniejszy umysł - lub więcej informacji - za dekady, stulecia czy tysiąclecia.

Deet wróciła i położyła się, a Leyel wciąż pisał. Wiedziała, kiedy jest zajęty bez reszty, i starała się nie przeszkadzać. Zauważył ją i zrozumiał, że omija go z daleka. A potem wrócił do skryptora.

Następnego ranka obudziła się i znalazła go w łóżku, w ubraniu. W drzwiach sypialni leżała osobista kapsuła listowa - Leyel zakończył spis pytań. Deet podniosła go i zabrała do biblioteki.

- Jego pytania wcale nie są akademickie, Deet.

- Mówiłam, że nie będą.

- Hari miał rację. Chociaż wydaje się dyletantem, przy całym swoim majątku i lekceważeniu uniwersytetów, jest człowiekiem wielkiego rozumu.

- Czy Druga Fundacja skorzysta, jeśli znajdzie rozwiązanie swojego problemu?

- Nie wiem, Deet. Hari był wróżbitą. Można przyjąć, że ludzkość osiągnęła już człowieczeństwo, więc nie musimy zaczynać całego procesu od początku.

- Tak sądzisz?

- A co? Powinniśmy znaleźć niezamieszkaną planetę, umieścić na niej grupę noworodków, pozwolić im dorastać jak zwierzęta, a potem wrócić za tysiąc lat i spróbować zmienić ich z powrotem w ludzi?

- Mam lepszy pomysł. Weźmy dziesięć tysięcy zamieszkanych światów pełnych ludzi żyjących jak zwierzęta, zawsze głodnych, chętnych do użycia zębów i pazurów. Odrzujemy ich z pozorów cywilizacji i pokażemy, czym są naprawdę. A kiedy już zobaczą siebie wyraźnie, wrócimy i nauczymy ich, jak być ludźmi, ale tym razem naprawdę, nie tylko przejawiać skrawki i prześliski człowieczeństwa.

- Dobrze. Tak zrobimy.

- Wiedziałaś, że mnie zrozumiesz.

- Niech tylko twój mąż odkryje, na czym polega ta sztuczka. Wtedy będziemy miały cały czas wszechświata, żeby ją przygotować i wykonać.

Gdy indeks był gotowy, Deet rano przyprowadziła Leyela do biblioteki. Nie zabrała go do Indeksacji, ale usadowiła w osobnym pokoju studyjnym wyłożonym ekranami widów. Nie sprawiały wrażenia okien wychodzących na zewnątrz, ale pokrywały całe ściany, od podłogi po sufit, i wydawało się, że stoi na wysokim szczycie ponad ziemią, bez ścian ani nawet poręczy chroniącej przed upadkiem. Kiedy się rozejrzył, zaczynał odczuwać zawroty głowy. Jedyne drzwi rozbijały iluzję. Przez chwilę chciał prosić o inny pokój, ale przypomniał sobie Indeksację i zrozumiał, że będzie lepiej pracował, jeśli on także poczuje się nieco wytracony z równowagi.

Z początku indeksy wydawały się oczywiste. Wywołał na ekran lektora pierwszą stronę swojej listy pytań i zaczął czytać. Lektor śledził ruch źrenic, więc kiedy tylko Leyel dłużej przyglądał się jakiemuś słowu, w przestrzeni obok strony zaczynały się pojawiać odniesienia. Spoglądał na jedno z nich; jeśli okazało się nieciekawe albo oczywiste, przechodził do następnego, a pierwsze odsuwało się do tyłu, nadal dostępne, gdyby jednak zmienił zdanie i chciał do niego wrócić.

Jeśli uznał odnośnik za interesujący, to po dotarciu do ostatniej linii wyświetlonego na ekranie fragmentu, rozrastał się do pełnej strony i zasłaniał główny tekst. Potem, jeśli nowy materiał także był indeksowany, wywoływał nowe odniesienia, prowadząc coraz dalej od oryginalnego dokumentu, aż wreszcie Leyel postanawiał wrócić i podjąć lekturę w miejscu, gdzie ją przerwał.

Jak dotąd, znalazł tylko tyle, ile mógłby się spodziewać po każdym indeksie. Dopiero kiedy posuwał się dalej w lekturze własnych pytań, zaczynał sobie uświadamiać jego dziwactwa. Zwykle odnośniki indeksu powiązane były z kluczowymi słowami, kiedy więc chciało się chwilę pomyśleć, bez wywoływania masy niechcianych odwołań, należało zatrzymać wzrok na słowach-wypełniaczach, pustych frazach typu "gdyby to było wszystko, co..." Każdy, kto często czytał indeksowane teksty, szybko uczył się tej sztuczki i korzystał z niej tak często, że stawała się odruchem.

Ale tutaj, kiedy Leyel patrzył na taką pustą frazę, odnośniki nadal się pojawiały. W dodatku nie

miały wyraźnego związku z tekstem, były raczej przewrotne, komiczne czy kłótniwe. Na przykład, przerwał czytanie swojej argumentacji, że archeologiczne poszukiwania "prymitywności" nie pomogą rozwiązać kwestii początku, ponieważ wszystkie kultury "prymitywne" są jedynie skutkiem upadku kultury lotów kosmicznych. Napisał tam zdanie: "Cały ten prymitywizm jest użyteczny jedynie dlatego, że przewiduje, czym możemy się stać, jeśli nie będziemy ostrożni i nie zachowamy naszych kruchych związków z cywilizacją". Z przyzwyczajenia zatrzymał spojrzenie na pustych słowach "czym możemy się stać, jeśli". Nikt nie mógł zaindeksować takiej frazy.

Ale oni tak. Pojawiło się kilka odnośników. Zamiast więc zastanawiać się dalej, zwrócił uwagę na to, co indeksery skojarzyli z tą absurdalną frazą.

Jednym z odniesień była dziecinna wyliczanka, którą znał kiedyś, choć dawno zdążył zapomnieć:

Ene due dużo rakiet, Korbą kręcą, ósme takie, Raz w góreus, raz w dółeus Bęc!

Dlaczego indeksy dołączył coś takiego? Pierwszy obraz, jaki pojawił się w pamięci Leyela, to on i kilkoro dzieci służby, trzymający się za ręce i chodzący w koło. Kiedy dochodzili do ostatniej linijki, wszyscy rzucali się na ziemię i śmiali jak zwariowani. Gra, którą tylko małe dzieci mogą uznać za zabawną.

Ponieważ przez chwilę wpatrywał się w wierszyk, tekst przesunął się na główną część ekranu i pojawiły się nowe odnośniki. Jednym z nich był naukowy artykuł o ewolucji wierszyka. Autor sugerował, że wyliczanka mogła powstać w okresie pierwszych lotów kosmicznych na planecie początku, kiedy rakiet używano do ucieczki ze studni grawitacyjnej planety. Czy dlatego połączono ten wierszyk z jego tekstem? Ponieważ wiązał się z planetą początku?

Nie, to zbyt oczywiste. Kolejny artykuł okazał się bardziej pomocny. Autor odrzucał ideę pierwszych lotów kosmicznych, ponieważ najwcześniejsze wersje wierszyka w ogóle nie zawierały słowa "rakiety". Najstarsza zapisana wersja brzmiała:

Ene due rikfake Korba borba ósme take. Deus deus kosmadeus Baks!

Jak widać, pisał autor, były to głównie nonsensowne słowa. Późniejsze wersje powstały, gdyż dzieci próbowały nadać im sens.

Leyelowi przyszło do głowy, że może dlatego indeksy połączył wierszyk ze zdaniem - ponieważ kiedyś był nonsensowny, a my próbowaliśmy nadać mu sens.

Czy to komentarz do całych poszukiwań początku? Czy indeksy uznał, że są bezużyteczne?

Nie - wierszyk połączono z pustą frazą "czym możemy się stać, jeśli". Może indeksy chciał powiedzieć, że istoty ludzkie są jak ta wyliczanka, że nasze życie nie ma sensu, tylko my upieramy się go szukać. Czy Deet nie mówiła czegoś podobnego, gdy kiedyś dyskutowali o roli opowieści w formowaniu społeczności? Wszechświat opiera się przyczynowości, powiedziała, ale ludzka

inteligencja jej pożąda. Dlatego opowiadamy historie: żeby narzucić związki przyczynowe nie powiązanym wydarzeniom wokół nas.

To dotyczy również nas, prawda? Nasze życie jest nonsensem, ale narzucamy na nie opowieści, układamy nasze wspomnienia w łańcuchy przyczynowo-skutkowe, zmuszając je do zdradzania znaczeń, nawet jeśli ich nie mają. Potem bierzemy sumę naszych opowieści i nazywamy "sobą". Ten wierszyk demonstruje cały proces - od losowości do znaczenia. Potem wierzymy, że te znaczenia są "prawdziwe".

Ale wszystkie nasze dzieci w jakiś sposób zgodziły się na nową wersję wyliczanki. Około roku 2000 IG istniała już tylko ostatnia, aktualna wersja, która nie zmieniła się do dzisiaj. Jak to możliwe, że dzieci ze wszystkich planet uzgodniły tę wersję? Jak rozprzestrzeniła się zmiana? Czy może dziesięć tysięcy dzieci na dziesięciu tysiącach planet wymyśliło te same poprawki?

Musiały być podawane z ust do ust. Jakiś dzieciak dokonał gdzieś kilku zmian i jego wersja się rozpowszechniła. Po kilku latach używały jej wszystkie dzieci z sąsiedztwa, potem wszystkie w całym mieście, na całej planecie. Działo się to szybko, ponieważ dziecięca generacja żyje tylko kilka lat. Siedmiolatki mogły uważać nową wersję za żart, ale powtarzały ją tak często, że pięciolatki uznały ją za prawdziwą. A po kilku latach wśród dzieci nie pozostał już nikt, kto by pamiętał oryginalny wierszyk.

Tysiąc lat to dość, żeby rozpowszechniła się nowa wersja. Albo żeby doszło do kolizji pięciu czy dziesięciu nowych wersji, które zlały się i powróciły - zmienione - na planety, które już raz lub dwa razy zmieniały słowa.

Myśląc o tych słowach, Leyel przywołał w wyobraźni obraz sieci dzieci, powiązanych ze sobą niemi wierszyka, rozciągającej się z planety na planetę przez całe Imperium, a potem wstecz przez czas, od jednej generacji do poprzedniej - trójwymiarowy splot, wiążący wszystkie dzieci od samego początku.

Ale kiedy dorósł, wyrywał się z sieci wierszyka. Już nie słyszał słów "Ene due dużo rakiet" i nie chwycił za ręce dzieci stojących obok. Nie był już elementem pieśni.

Ale jego dzieci tak. A potem wnuki. Wszystkie chwyciły się za ręce, zmieniały się z kręgu do kręgu - nieskończony ludzki łańcuch sięgający do dawno zapomnianego rytuału na jednej z planet ludzkości - może, może na samej planecie początku.

Wizja była tak wyraźna, tak pochłaniająca, że kiedy w końcu znów zauważył ekran lektora, odebrał to jak nagłe przebudzenie. Musiał się wyprostować i oddychać płytko, dopóki się nie uspokoił, dopóki serce nie zaczęło bić wolniej.

Znalazł fragment rozwiązania, chociaż jeszcze go nie rozumiał. Splot łączący wszystkie dzieci jest elementem tego, co czyni nas ludźmi, chociaż Leyel wciąż nie wiedział, dlaczego. Niezwykłe, przewrotne indeksowanie frazy bez znaczenia skłoniło go do nowego spojrzenia na problem. To nie znaczy, że uniwersalna kultura dzieci jest nowym pomysłem. Po prostu dotąd nie przypuszczał nawet,

że może mieć coś wspólnego z kwestią początku.

Co miał na myśli indeksers, kiedy dołączał tę wyliczankę? Czy także dostrzegł wizję?

Może, ale raczej nie. Zapewne fraza o stawaniu się wywołała u indeksera skojarzenie z wysiłkiem - jak przy kręceniu korbą. A może tylko ogólna myśl o ludzkości sięgającej gwiazd przypomniawsła, że wierszyk mówił o raketach wznoszących się z planety początku, a potem opadającej na nowe światy. Kto może wiedzieć, co wierszyk oznaczał dla indeksera? Kto zgadnie, dlaczego został połączony z tym właśnie zdaniem?

Leyel pojął nagle, że wyobraża sobie Deet dokonującą tego konkretnego skojarzenia. Nie miał powodów, by wierzyć, że to jej dzieło, ale dla niego była uosobieniem wszystkich indeksersów. Przyłączyła się do nich, stała się jedną z nich, kiedy więc przeprowadzano indeksację, była jej częścią. To właśnie oznacza przynależność do społeczności - cała praca jest w pewnym stopniu twoja. Deet była częścią wszystkiego, co zrobili indeksersy, a zatem Deet to zrobiła.

I znowu wyobraził sobie sieć, ale tym razem była to sieć topologicznie niemożliwa, skręcona w sobie tak, że choćby trzymał w dłoni dowolną częśćkę brzegu, trzymał cały brzeg i środek także. Była jednością, a każdy fragment zawierał w sobie całość.

Ale jeśli wizja jest prawdziwa, to kiedy Deet przyłączyła się do społeczności bibliotekarzy, Leyel przyłączył się także, ponieważ zawierała go w sobie. Przychodząc tutaj, wcale go nie opuszczała. Wplotła go w nową sieć, więc zamiast coś tracić, jedynie zyskiwał. Był tego częścią, ponieważ ona była, więc gdyby ją stracił, to tylko dlatego, że ją odepchnął.

Zasłonił dłońmi oczy. W jaki sposób niezborne myśli o problemie początku doprowadziły go do rozważań o własnym małżeństwie? Już wierzył, że zbliża się do pełni zrozumienia, kiedy nagle powrócił do własnych kłopotów.

Usunął wszystkie odniesienia do "Ene due dużo rakiet" i "Ene due rike fake" czy jak to brzmiało, po czym wrócił do oryginalnego dokumentu, próbując skupić myśli na zasadniczym temacie.

Przegrywał jednak tę bitwę. Nie potrafił się oprzeć kuszącemu wyzwaniu indeksu. Powinien czytać o używaniu narzędzi i techniki, o tym że nie może to być linia graniczna między człowiekiem a zwierzęciem, ponieważ istnieją zwierzęta, które wytwarzają narzędzia i uczą inne, jak z nich korzystać.

I nagle indeks podsuwał mu opowieść grozy o człowieku, który zapragnął być największym geniuszem wszystkich czasów i sądził, że jedynie godziny tracone na sen nie pozwalają mu osiągnąć pożądanej wielkości. Wynalazł więc maszynę, która spała za niego. Działała doskonale, dopóki nie uświadomił sobie, że maszyna ma również wszystkie jego sny. Zażądał, żeby mu je opowiedziała.

Maszyna zaczęła przekazywać najwspanialsze, najbardziej błyskotliwe idee, jakie mógł sobie wyobrazić - o wiele mądrzejsze, niż człowiek ów wymyślał na jawie. Wziął więc młotek i rozbił

maszynę, by odzyskać swoje sny. Ale chociaż znowu mógł sypiać, nie zdołał osiągnąć tej jasności myśli, jaką posiadała maszyna.

Oczywiście, nie mógł opublikować tego, co pisała maszyna - to nie do pomyślenia, by produkt maszyny przedstawiać jako dzieło człowieka. Kiedy umarł w rozpaczy, inni znaleźli maszynowe wydruki i uznali, że ów człowiek napisał to wszystko i ukrył. Opublikowali teksty i wszyscy uznali go za największego geniusza w historii ludzkości.

Opowieść tę powszechnie uznawano za obscenicznie przerażającą, ponieważ występowała w niej maszyna kradnąca część umysłu człowieka i wykorzystująca ją, by go zniszczyć. Typowy motyw. Ale dlaczego indekserski odwołał się do niej w dyskusji o wytwarzaniu narzędzi?

Leyel zastanowił się i uznał, że opowieść sama w sobie jest rodzajem narzędzia. Tak samo jak maszyna, zbudowana przez człowieka, o którym mówi. Opowiadający przekazał w tej historii swoje sny, a kiedy ludzie słuchali jej lub czytali, te sny, a raczej koszmary, pozostawały im w pamięci. Pozostawały ostre i wyraźne, straszne i rzeczywiste. Gdyby starał się przekazać im te same prawdy bezpośrednio, nie w formie opowieści, uznaliby, że jego idee są głupie i nieistotne.

Leyel przypomniał sobie słowa Deet, jak to ludzie absorbują opowieści własnej społeczności, przerabiają je na swoją modłę i wykorzystują dla tworzenia własnej duchowej autobiografii. Pamiętają, jak robili to, co bohaterowie opowieści, i nadal odgrywają w życiu postacie bohaterów, a jeśli im się nie udaje, przynajmniej oceniają się według norm ustalonych przez bohaterów. Opowieści stają się ludzkim sumieniem albo zwierciadłem.

I znowu, jak już wiele razy, przerwał te rozmyślenia z dłońmi przyciśniętymi do oczu, próbując wypchnąć - lub opanować - wizje sieci i zwierciadeł, światów i atomów, a kiedy wreszcie otworzył oczy, zobaczył siedzące przed nim Deet i Zay.

Nie - pochylające się nad nim. Leżał na niskim łóżku, a one klęczały obok.

- Jestem chory? - zapytał.

- Mam nadzieję, że nie - odparła Deet. - Znalazłyśmy cię na podłodze. Jesteś wyczerpany, Leyelu. Mówiłam ci: musisz coś jeść, musisz normalnie sypiać. Nie jesteś już młody i nie możesz tak dużo pracować.

- Dopiero zacząłem. Zay roześmiała się.

- Posłuchaj go tylko, Deet. Mówiłam, że go to wciągnęło i nie wie nawet, jaki dziś dzień.

- Siedzisz tu od trzech tygodni, Leyelu. Przez ostatni tydzień nie wracałeś nawet do domu. Przynosiłam ci jedzenie, ale nie chciałeś jeść. Ludzie mówili do ciebie, a ty zapominałeś o ich obecności. Odpływałeś w coś w rodzaju... transu. Leyelu, żałuję, że cię tu przyprowadziłam. Żałuję, że zaproponowałam ci indeksację...



- Nie! - krzyknął. Usiadł z wysiłkiem. Z początku Deet próbowała ułożyć go z powrotem, powtarzając, że musi wypocząć. To Zay pomogła mu usiąść.

- Pozwól mu mówić - powiedziała. - To, że jesteś jego żoną, nie oznacza jeszcze, że możesz go uciszyć.

- Indeks jest naprawdę cudowny - oświadczył Leyel. - Jak tunel, który otworzył się w głąb mojego własnego umysłu. Ciągłe widzę światło tuż poza zasięgiem, a potem budzę się i znowu jestem na wierzchołku sam, jeśli nie liczyć stronic w lektorze. Ciągłe je tracę...

- Nie, Leyelu, to my cię tracimy. Indeks cię zatruwa, odbiera ci duszę...

- Nie żartuj, Deet. To ty mi go zaproponowałaś i miałaś rację. Indeks ciągle mnie zaskakuje, zmusza do myślenia na nowe sposoby. Już znalazłem niektóre odpowiedzi.

- Odpowiedzi? - spytała Zay.

- Nie wiem, czy potrafię to wytłumaczyć. Co czyni nas ludźmi. To ma związek ze społecznościami, opowieściami i narzędziami, i... ma związek z tobą i ze mną, Deet.

- Mam nadzieję, że jesteśmy ludźmi - odparła. Przekomarzała się, ale też zachęcała, by mówić dalej.

- Przez wiele lat żyliśmy razem i stworzyliśmy społeczność... Najpierw z dziećmi, dopóki nie odeszły, a potem my sami. Ale jesteśmy jak zwierzęta.

- Tylko czasami.

- To znaczy jak zwierzęta stadne, jak szczepy małp naczelnych czy dowolna inna społeczność, spajana jedynie rytuałami i wzorcami chwili bieżącej. Mamy swoje przyzwyczajenia, swoje obyczaje. Swój prywatny język słów i gestów, swoje tańce, wszystko to, co może posiadać stado gęsi albo rój pszczół.

- Bardzo prymitywne.

- Tak. Ale to prawda, rozumiesz? To społeczność, która ginie z każdym pokoleniem. Kiedy umrzemy, Deet, wszystko to zniknie. Inni ludzie będą zawierać małżeństwa, ale nikt z nich nie zapamięta naszych tańców, pieśni, języka i...

- Nasze dzieci będą je znały.

- Nie. O to mi właśnie chodzi. Znały nas, myślą nawet, że wciąż nas znają, ale nigdy nie należały do społeczności naszego małżeństwa. Nikt nie należał. Nikt nie mógł należeć. Dlatego właśnie, kiedy pomyślałem, że opuszczasz mnie dla tej...

- Kiedy pomyślałeś, że cię...

- Cicho, Deet - przerwała jej Zay. - Niech sobie gada.

- Kiedy pomyślałem, że mnie opuszczasz, czułem się jak umarły, jakbym stracił wszystko... Bo jeśli przestałaś być częścią naszego małżeństwa, nie pozostało już nic. Rozumiesz?

- Nie rozumiem, jaki to ma związek z początkiem człowieka, Leyelu. Wiem tylko, że nigdy bym cię nie opuściła i nie mogę uwierzyć, że przyszło ci do głowy...

- Nie przeszkadzaj mu, Deet.

- To dzieci. Wszystkie dzieci. Bawią się w "Ene due dużo rakiet", potem dorastają! przestają się bawić, więc konkretna społeczność tych pięciorga czy sześciorga dzieci już nie istnieje, ale inne dzieci wciąż wykonują ten taniec. Recytują ten wierszyk. Od dziesięciu tysięcy lat!

- To czyni nas ludźmi? Dziecinne wyliczanki?

- Są częścią tej samej społeczności! I śmieją połączenia między nimi poprzez pustkę międzygwiazdnej przestrzeni; one wciąż pozostają jakoś tymi samymi dziećmi. Dziesięć tysięcy lat, dziesięć tysięcy planet, kwintyliony dzieci, a wszystkie znają ten wierszyk, wszystkie wykonują a taniec. Opowieść i rytuał... one nie giną ze szczepem, nie zatrzymują się na granicy. Dzieci, które nigdy nie spotkały się twarzą w twarz, które żyją tak daleko od siebie, że światło jednej gwiazdy wciąż jeszcze nie dotarło do drugiej, należą do tej samej społeczności. Jesteśmy ludźmi, ponieważ pokonaliśmy przestrzeń i czas. Pokonaliśmy barierę wiecznej ignorancji pomiędzy jednym człowiekiem a drugim. Znaleźliśmy sposób przelania moich wspomnień do twojego umysłu, a twoich do mojego.

- Przecież odrzuciłaś już te idee, Leyelu. Język, społeczność i...

- Nie! Nie tylko język, nie tylko stada szympanсів popiskujących do siebie. Historie, definiujące społeczność epickie opowieści, mity uczące nas, jak funkcjonuje świat... Wykorzystujemy je, by tworzyć siebie nawzajem. Staliśmy się innym gatunkiem, staliśmy się ludźmi, bo znaleźliśmy sposób wydłużenia ciąży poza macicę, sposób obdarowania każdego dziecka dziesiątkami tysięcy rodziców, którzy nigdy się nie spotkali.

Leyel zamilkł, pochwycony w pułapkę niemożności znalezienia odpowiednich słów. Nie potrafił przekazać tego, co widział w myślach. Jeśli do tej pory nie zrozumiały, nigdy tego nie pojmą.

- Tak - stwierdziła Zay. - Myślę, że indeksacja twojego tekstu była dobrym pomysłem.

Leyel westchnął i położył się na wznak.

- Nie warto było próbować.

- Wręcz przeciwnie. Udało ci się.

Deet pokręciła głową. Leyeł wiedział, dlaczego - próbowała dać Zay znak, że nie powinna uspokajać Leyeła pochwałami.

- Nie uciszaj mnie, Deet. Wiem, co mówię. Może nie znam Leyeła tak dobrze, jak ty, ale umiem rozpoznać prawdę, kiedy ją usłyszę. W pewnym sensie, przypuszczam, Hari rozpoznawał ją instynktownie. Dlatego upierał się przy tych dzieciennych holonagraniach, zmuszając nieszczęsnych mieszkańców Terminusa, żeby co kilka lat znosili jego przemowy. W ten sposób nadal ich tworzy, pozostaje żywy wśród nich. Dzięki temu mają wrażenie, że ich życie ma jakiś cel poza nimi samymi. Historia mityczna i epicka równocześnie... Wszyscy oni noszą w sobie część Hariego Seldona, tak jak dzieci aż do grobu noszą w sobie część rodziców.

Z początku Leyeł zrozumiał tylko, że Hari Seldon pochwaliłby jego przemyślenia o początku człowieka. Potem uświadomił sobie, że w słowach Zay było coś więcej niż tylko pochwała.

- Znałaś Hariego Seldona?

- Trochę - potwierdziła Zay.

- Albo mu powiesz, albo nic nie mów - wtrąciła Deet. - Nie możesz doprowadzić go tak daleko i zostawić.

- Znałam Hariego tak, jak ty znasz Deet - powiedziała Zay.

- Nie - zaprotestował Leyeł. - Wspomniałby o tobie.

- Doprawdy? Nigdy nie mówił o swoich studentach.

- Miał tysiące studentów.

- Wiem, Leyełu. Widziałam, jak wypełniają sale wykładowe i słuchają drobnych odprysków psychohistorii, których nauczał. Ale potem odchodził do biblioteki, do pokoju, gdzie bezpieczni nigdy nie zagląдают, gdzie mógł mówić to, czego bezpieczni nigdy nie usłyszeli. Tam nauczał swoich prawdziwych studentów. To jedyne miejsce, gdzie nauka psychohistorii wciąż żyje, gdzie pomysły Deet na temat formowania społeczności znajdują zastosowanie, gdzie twoja wizja początku człowieczeństwa będzie kształtowała nasze obliczenia przez najbliższy tysiąc lat.

Leyeł słuchał w oszołomieniu.

- W Bibliotece Imperialnej? Hari miał swoją uczelnię w bibliotece?

- A gdzie indziej? W końcu musiał nas zostawić, kiedy nadszedł czas, by publicznie ogłosić przepowiednie upadku Imperium. Wtedy bezpieczni zaczęli obserwować go na poważnie, a że nie chciał pozwolić, by nas wykryli, nigdy już tu nie powrócił. To najstraszniejsze, co nam się przydarzyło. Jakby umarł dla nas, długie lata przed śmiercią ciała. Był częścią nas, Leyełu, tak jak ty i Deet jesteście częściami siebie nawzajem. Ona wie. Przyłączyła się do nas przed jego odejściem.

To go zabolalo. Tak wielka tajemnica, a on nie zostal dopuszczony.

- Dlaczego Deet, a nie ja?

- Nie rozumiesz, Leyelu? Najwazniejsze bylo przetrwanie naszej malej spolecznosci. Dopoki byles Leyelem Forska, wladca jednej z najwiekszych fortun Imperium, nie mogles do nas nalezec. Sprowokowalbys zbyt wiele komentarzy, sciagnalbys na nas uwage. Deet mogla przyjsc, poniewaz przewodniczacy Chen nie dbal o to, co robi. Nigdy powaznie nie traktowal malzonek. To jeden z dowodow, ze jest glupcem.

- Ale Hari zawsze planowal, ze zostaniesz jednym z nas - wtracila Deet. - Najbardziej sie obawial, ze rozniewasz sie i sila dolaczysz do Pierwszej Fundacji. Twoja role widzial w naszej. W Drugiej Fundacji.

Leyel przypomniat sobie swoja ostatnia rozmowe z Harim. Nie pamietal: czy Hari kiedykolwiek go oklamal? Powiedzial, ze Deet nie moze leciec na Terminusa, ale teraz slowa te nabraly calkiem innego znaczenia. Chytry lis! Ani razu nie sklamal, ale tez nie powiedzial prawdy.

- Nie bylo to latwe - podjela Zay. - Musieliśmy zachecic cię do sprowokowania Chena. Nie za bardzo, zeby nie kazal cię uwięzić albo zabić, ale dostatecznie, zeby odebral ci majatek i zapomniat o tobie.

- Wy to sprawiliście?

- Nie, nie, Leyelu. To i tak by sie stalo, poniewaz jestes, kim jestes, a Chen tez jest tym, kim jest. Istniaty jednak rozne mozliwosci, pomiedzy zameczeniem na smierc ciebie i Deet z jednej strony a z drugiej toba spiskujacym z Romem, by zabic Chena i przejac wladze w Imperium. Kazde z tych ekstremow uniemozliwilyby ci uczestnictwo w Drugiej Fundacji. Hari byl przekonany, podobnie jak Deet i ja, ze twoje miejsce jest miedzy nami. Nie wzrod umarlych. Nie w polityce. Tutaj.

To oburzajace, ze ktos podejmowal za niego takie decyzje, nawet go nie uprzedzajac. Jak Deet mogla tak dlugo trzymac to w tajemnicy? A jednak wyraznie mieli racje. Gdyby Hari powiedzial mu o tej Drugiej Fundacji, Leyel bylby chetny - bylby dumny, mogac sie do niej przylaczyc. Ale nie mogle sie dowiedziec, nie mogle tu trafic, dopoki Chen nie przestal uwazac go za zagrozenie.

- Dlaczego sadzisz, ze Chen kiedyś o mnie zapomni?

- Juz o tobie zapomniat, na pewno. Szczerze mowiac, wydaje mi sie, ze dzisiaj zapomni o wszystkim, co wiedzial.

- Nie rozumiem.

- Jak myslisz, dlaczego rozmawiamy tak otwarcie akurat dzisiaj, kiedy tak dlugo zachowywalismy milczenie? Przeciez nie jesteśmy w Indeksacji.

Leyel poczuł zimny dreszcz strachu.

- Mogą nas usłyszeć?

- Gdyby słuchali. Jednak w tej chwili bezpieczni są zbyt zajęci udzielaniem Romowi Divartowi pomocy w zyskaniu pełnej władzy nad Komisją Bezpieczeństwa Publicznego. A jeśli nawet Chen nie trafił już do komory radiacyjnej, wkrótce to nastąpi.

Leyel nie mógł się pohamować - wieści były nazbyt wspaniałe. Zeskoczył z łóżka i niemal skakał z radości.

- Rom to zrobił! Po tylu latach zrzucił tego starego pająka!

- To ważniejsze niż tylko sprawiedliwość i zemsta - oświadczyła Zay. - Jesteśmy przekonani, że znaczna liczba gubernatorów, prefektów i dowódców wojskowych nie uzna nowego przywództwa Komisji Bezpieczeństwa Publicznego. Resztę życia zajmie Romowi Divartowi walka z buntownikami. Aby skupić swoje siły blisko Trantora, w obronie przed najgroźniejszymi przeciwnikami i pretendentami, przyzna bezprecedensowe swobody i autonomię wielu, bardzo wielu światom peryferyjnym. Praktycznie rzecz biorąc, światy zewnętrzne przestaną być częścią Imperium. Władza imperialna zostawi je w spokoju, a ich podatki nie będą służyć na Trantor. Imperium nie jest już Galaktyczne. Dzisiejsza śmierć przewodniczącego Chena oznacza początek końca Imperium, chociaż nikt prócz nas nie dostrzeże tego przez najbliższe dekady czy nawet stulecia.

- Tak niedawno zmarł Hari, a jego przepowiednie już zaczynają się sprawdzać.

- To nie był zwykły przypadek - wyjaśniła Zay. - Jeden z naszych agentów zdołał wpłynąć na Chena, żeby z misją odebrania ci majątku wysłał osobiście Roma Divarta. To przepełniło czarę i skłoniło Roma do puczu. Chen upadłby albo umarł i tak, niezależnie od naszych działań, w ciągu najbliższego półtora roku. Ale przyznaję, że z pewną satysfakcją wykorzystaliśmy śmierć Hariego jako zapalnik, który obalił go trochę wcześniej i w okolicznościach, które doprowadziły cię do biblioteki.

- To była także próba - dodała Deet. - Szukamy sposobów wpływania na pojedyncze osoby tak, żeby o tym nie wiedziały. Takie działania są wciąż bardzo prymitywne i niesystematyczne, chociaż w tym przypadku wpływaliśmy na Chena skutecznie. Nie mieliśmy wyjścia. Stawką było twoje życie, a także szansa, że się do nas przyłączysz.

- Czuję się jak marionetka - mruknął Leyel.

- Chen był marionetką - odparła Zay. - Ty byłeś nagrodą.

- To przecież bzdura - stwierdziła Deet. - Hari cię kochał. Ja cię Kocham. Jesteś wielkim człowiekiem. Druga Fundacja musiała cię pozyskać. Wszystko, co mówiłeś, czego broniłeś przez całe życie, dowodziło jasno, że pragniesz uczestniczyć w naszej pracy. Mam rację?

- Tak - przyznał Leyel. I roześmiał się. - Ten indeks...

- Co w tym śmiesznego? - zdziwiła się Zay, trochę urażona. - Ciężko nad nim pracowaliśmy.

- I był cudowny, niezwykły, hipnotyczny. Potrafiliście zebrać tych wszystkich ludzi i połączyć ich, jakby byli jednym umysłem, intuicyjnie o wiele mądrzejszym niż ktokolwiek inny w pojedynkę. Najściślej zunifikowana, najpotężniejsza ludzka społeczność w całej historii. Jeśli nasza zdolność opowiadania czyni nas ludźmi, to może umiejętność indeksowania czyni nas czymś więcej.

Deet poklepała dłoń Zay.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Przejawia szaleńczy entuzjazm neofity.

Zay uniosła brew.

- Wciąż czekam, aż wyjaśni, dlaczego ten indeks go rozśmieszył.

- Bo przez cały czas myślałem: jak bibliotekarze mogli tego dokonać? Zwykli bibliotekarze! A teraz dowiaduję się, że ci bibliotekarze to wybrani studenci Hariego Seldona. Moje pytania indeksowali psychohistorycy!

- Nie wyłącznie. Większość z nas jest rzeczywiście bibliotekarzami. Albo mechanikami, strażnikami czy czymkolwiek jeszcze. Psychologowie i psychohistorycy to niewielka strużka w strumieniu biblioteki. Z początku uznawano ich za obcych. Badaczy. Użytkowników biblioteki, nie jej pracowników. Tym właśnie zajmowała się Deet przez ostatnie lata: próbowała związać nas razem w jedną społeczność. Ona także przybyła tu jako badacz, pamiętasz? A teraz sprawiła, że lojalność tych ludzi wobec biblioteki jest silniejsza od innych związków. Całość działa znakomicie. Przekonasz się, Leyelu. Deet to czarodziejka.

- Wszyscy tworzymy razem - powiedziała Deet. - Pomocne jest to, że te kilkaset osób, które chcę połączyć w jedność, tak dobrze zna i rozumie ludzki umysł. Wiedzą, co robię, i ułatwiają mi to. Nie odniosłam jeszcze pełnego sukcesu. W najbliższych latach musimy powołać grupę psychologów, nauczającą i wprowadzającą dzieci bibliotekarzy, mechaników czy personelu medycznego, żeby psychologowie nie stali się kastą rządzącą. A potem mieszane małżeństwa między grupami... Może za sto lat powstanie prawdziwie spójna społeczność. Budujemy tu demokratyczne miasto-państwo, nie wy. dział uniwersytecki ani klub towarzyski.

Leyel myślał o czymś innym. To nie do zniesienia, że setki ludzi znały pracę Hariego, ale on nie.

- Musisz mnie nauczyć - zażądał. - Wszystkiego, czego nauczył cię Hari, wszystkiego, co przede mną ukrył...

- Z czasem oczywiście, Leyelu - zgodziła się Zay. - Ale w tej chwili ciekawsze jest to, czego ty możesz nas nauczyć. Jestem pewna, że już w tej chwili krąży po bibliotece zapis twoich słów po

przebudzeniu.

- Były nagrywane?

- Nie mieliśmy pewności, czy lada moment nie wpadniesz w katatonię. Nie masz pojęcia, jak się o ciebie martwiłyśmy. Oczywiście, że nagraliśmy wszystko. To mogły być twoje ostatnie słowa.

- Nie będą. Wcale nie czuję się zmęczony.

- W takim razie nie jesteś tak inteligentny, jak mi się wydawało. Masz niebezpiecznie osłabiony organizm. Straszliwie siebie traktowałeś. Nie jesteś już młody i nalegam, żebyś przez kilka dni nie zbliżał się do lektora.

- A co, jesteś moim lekarzem?

- Leyelu... - Deet dotknęła jego ramienia, jak zawsze, kiedy chciała go uspokoić. - Badali cię już lekarze. I musisz zdać sobie sprawę: Zay jest Pierwszym Mówcą.

- To znaczy dowódcą?

- To nie Imperium - odparła Zay. - A ja nie jestem Chenem. Być Pierwszym Mówcą oznacza, że pierwsza zabieram głos, kiedy spotykamy się razem. A potem, na końcu, podsumowuję, co zostało powiedziane, i ogłaszam decyzję grupy.

- To prawda - zapewniła Deet. - Wszyscy uważają, że powinieneś odpocząć.

- Wszyscy o mnie wiedzą?

- Naturalnie. Po śmierci Hariego jesteś najbardziej oryginalnym myślicielem, jaki nam pozostał. Potrzebujemy cię, więc naturalnie martwimy się o ciebie. Poza tym Deet tak bardzo cię kocha, a my tak bardzo kochamy Deet, aż wydaje nam się, że też jesteśmy trochę w tobie zakochani.

Roześmiała się, po niej Leyel, a potem Deet. Leyel zauważył jednak, że kiedy zapytał, czy wszyscy o nim wiedzą, Zay wyjaśniła, że martwią się o niego i że go kochają. Dopiero teraz uświadomił sobie, że odpowiedziała mu na pytanie, które naprawdę chciał zadać.

- A kiedy będziesz wracał do zdrowia - podjęła Zay - Indeksacja zajmie się twoją nową teorią...

- To nie teoria, to tylko sugestia, myśl...

- ...i kilku psychohistoryków. Zobaczymy, czy można ją skwantyfikować, może poprzez wariację wzorów, jakie wykorzystywaliśmy przy prawach rozwoju społeczności Deet. Może uda się nam zamienić studia początku w prawdziwą naukę.

- Może - zgodził się Leyel.

- Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie jestem pewien. Przede wszystkim jestem podniecony, ale też zły, że zostaję na boku. A przede wszystkim... czuję ulgę.

- To dobrze. Wpadłeś w beznadziejne bagno. Praca będzie szła ci lepiej, jeśli na zawsze pozostaniesz wytrącony z równowagi.

Zay odprowadziła go do łóżka, pomogła się ułożyć i wyszła. Sam na sam z Deet, Leyer nie wiedział, co ma mówić. Trzymał ją tylko za rękę i patrzył jej w twarz. Serce przepełniały mu uczucia, których nie umiał ubrać w słowa. Wieści o bizantyjskich planach Hariego, o Drugiej Fundacji psychohistoryków, o Romie Divarcie przejmującym rządy zamglily się gdzieś w tle. Najważniejsza była ręka Deet w jego dłoni, jej oczy wpatrzone w niego, jej serce, umysł, dusza tak ściśle związane z jego, że nie wiedział i nie dbał, gdzie sam się kończy i zaczyna Deet.

Jak mógł sobie choćby wyobrazić, że chce go porzucić? Przez lata małżeństwa stwarzali sobie nawzajem. Deet była najwspanialszym osiągnięciem jego życia, a on jej najcenniejszym dziełem. Jesteśmy dla siebie rodzicami i dziećmi. Możemy dokonać wielkich rzeczy, które przetrwają w tej społeczności, w bibliotece, w Drugiej Fundacji. Ale największym z naszych dzieł jest to, które zginie wraz z nami, i nikt inny się o nim nie dowie, ponieważ wszyscy na zawsze pozostaną na zewnątrz. Nie potrafimy nawet im tego wytłumaczyć. Nie znają języka, który pozwoliłby zrozumieć. Tym językiem możemy mówić tylko do siebie nawzajem.



# POSŁOWIE

## TYSIĄC ŚMIERCI

Moje wczesne opowiadania zyskały mi sławę okrutnika. Zapamiętałem jedno zdanie z recenzji w *Locusie*: "Czytanie Carda to jak zabawa w kosi-kosi-łapci patty cake z małą piranią". Taki komentarz, choć elegancko napisany, trochę mnie zmartwił. Najwyraźniej moje teksty sprawiały wrażenie, że są bardziej krwawe niż innych pisarzy; a przecież nigdy nie było to moją intencją. Jestem człowiekiem od urodzenia przeciwnym przemocy i chyba nigdy nie uderzyłem nikogo w gniewie; w szkole, kiedy kroila się bójka i nie mogłem uciec, zwykle starałem się wyłgać. Nigdy nie dręczyłem zwierząt. Nie lubię bólu. Więc dlaczego piszę opowiadania, po których dorosłym mężczyznom robi się słabo?

Opowiadanie *Tysiąc śmierci* powstało razem z drugim (chodzi mi o *Kingsmeat*), które najbardziej przyczyniły się do zyskania tej reputacji. Jest to jedyne moje opowiadanie tak obrzydliwe, że żona nie może go skończyć; o ile wiem, nie przeczytała go do dzisiaj, A jednak nadal nie widzę sposobu, żeby napisać je inaczej.

Jest to opowiadanie o niezgodzie. Przyczyną jego powstania stał się cytat z *A Man for All Seasons* Roberta Bolta, który zapamiętałem w takiej postaci: "Nie czynię złego, nie myślę złego, a jeśli to nie wystarczy, żeby utrzymać człowieka przy życiu, wtedy naprawdę tęsknię, aby nie żyć". Są takie chwile, gdy rząd, aby zachować władzę, wymaga, by pewni ludzie załamali się publicznie. Ich niezgoda z wolą rządu stale dodaje siły wrogom państwa. Można tu pomyśleć o Nelsonie Mandeli, który - aby wyjść na wolność - musiał tylko podpisać oświadczenie, w którym rezygnuje z przemocy jako środka walki o sprawę swojego ludu. Przychodzi też do głowy piękne zdanie z filmu *Gandhi* (który nie powstał jeszcze, gdy pisałem to opowiadanie, chociaż ten cytat niemal doskonale oddaje jego sens): "Mogą mnie zabić. Ale co na tym zyskają? Moje martwe ciało. Ale nie moje posłuszeństwo". Siła biernego oporu wobec rządu, który może karać nawet śmiercią, w końcu obala władzę tego rządu.

W *Tysiącu śmierci* zrobiłem to, co zwykle robi satyryczna science fiction - wymyśliłem społeczeństwo, które podkreśla problem. W tym przypadku chodziło o władzę państwa, władzę wymierzanie kar dla kontroli zachowań ludzi. Moje a jeśli brzmiało "A jeśli rząd może nie tylko zagrozić, że cię zabije, ale naprawdę cię zabić raz, drugi, trzeci, aż w końcu uzyska potrzebne wyznanie?" Mechanizm był dość prosty. Już wcześniej wymyśliłem narkotyk somec i dla potrzeb mojego cyklu *Worthing Chronicle* ukradłem od innych pisarzy pomysł nagrywania stanu mózgu. Ważne było skupienie się w punkcie, gdzie ten przymus załamuje się w końcu i rozbija o skałę prawdy. Rząd zabija bohatera, próbując go złamać tak, aby w końcu wyznał swoje grzechy i

zaświadczył o słusznosci działań rządu. Problem w tym, że rząd ocenia jego wyznania, ustalając jednocześnie zbyt wysokie normy, których bohater nie może spełnić. Nie wystarczy, żeby złożył zeznanie - ludzie muszą mu uwierzyć. I do tego właśnie bohater nie jest zdolny: do wiarygodnego wyznania. Sam sobie nie wierzy, nie wierzy też nikt z pozostałych. Tego przymusu nie można pokonać. Można uzyskać posłuszeństwo zastraszonych ludzi, ale nie można uzyskać wiary. Serce jest niezdobytą twierdzą.

Więc powiedzcie mi proszę, jak mogłem opowiedzieć tę historię, nie zmuszając was, czytelników, do uwierzenia w śmierć bohatera? Musicie przeżyć jakiś cień cierpienia, aby w pełni zrozumieć niemożność wyznania. Jeżeli opowiadanie wyda wam się nieznośne, pamiętajcie, że więcej śmierci niż jemu, i straszniejszych, zadano w podobnej walce w świecie rzeczywistym.

Dopisek: W latach siedemdziesiątych umieściłem akcję opowiadania w Stanach Zjednoczonych, rządzonych przez Rosjan. Nie próbowałem przewidywać niczego, w co bym wierzył, że nastąpi. Lecz starałem się umieścić opowieść o państwie totalitarnym w Stanach Zjednoczonych choćby po to, żeby wydało się bliższe amerykańskim czytelnikom, którzy - jeśli nie liczyć doświadczeń Murzynów z wielu miast Południa - nie zdawali sobie sprawy z cierpienia i grozy totalitaryzmu. Kiedy już podjąłem decyzję, aby akcja rozgrywała się tutaj, mogłem wybierać: albo ukazać Amerykę rządzoną przez miejscowego demagoga, albo Amerykę rządzoną przez obcego zdobywcę. Odrzuciłem pierwszy pomysł, gdyż ostatnio kliszą amerykańskich literatów stało się udowadnianie, że jedynym zagrożeniem dla Stanów Zjednoczonych są konserwatywni ekstremiści. Wolałem więc pokazać Amerykę we władzy najokrutniejszego i naskuteczniejszego systemu totalitarnego, jaki istniał na Ziemi: stalinowskiej wersji partii komunistycznej.

Nie zmieniły tego faktu wydarzenia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku we wschodniej Europie. To właśnie niechęć Gorbaczowa do odgrywania roli Stalina doprowadziła do wyzwolenia pokonanych narodów. Gdyby chciał odwołać się do karabinu maszynowego i czołgu, tak jak jego poprzednicy, nie byłoby już Solidarności ani drugiej Praskiej Wiosny, nie byłoby dziur w Berlińskim Murze ani podziurawionego kulami ciała Ceausescu, nie byłoby otwartej granicy węgiersko-austriackiej. A może? Gorbaczow był człowiekiem, który przeprowadził Rosję przez moralne mielizny, ale myślę, że i tak w końcu to wszystko by się zdarzyło, z nim albo z kimś innym.

Tysiąc śmierci to prawdziwa historia, a wykorzystałem w niej Rosjan, ponieważ są ostatnim światowym mocarstwem, mogącym pokazać, że jest prawdziwa.

## KLAŚNIJ I ZAŚPIELAJ

W połowie lat siedemdziesiątych rozmawiałem z młodą kobietą, o której myślałem kiedyś, że jestem w niej zakochany.

- Strasznie na ciebie leciałam, zanim wyjechałeś z misją - powiedziała. - I te wiersze, które dla mnie pisałeś, gdy cię nie było... Myślałam, że kiedy wrócisz, coś z tego będzie. A potem przyleciałeś

z Brazylii, czekałam, czekałam, a ty nawet nie zadzwoniłeś.

- Myślałem, żeby zadzwonić - odparłem. - Często.

- Ale nie zadzwoniłeś. Zniechęcona do ciebie, zakochałam się w kimś innym.

I to jest najzabawniejsze: nawet się nie domyślałem, co ona czuje. Jednym z powodów, dla którego nie zadzwoniłem, była obawa, że uzna mnie za dziwaka, usiłującego zmienić przyjaźń w coś więcej. Nastolatki potrafią tak pokrzyżować swoje plany, że umożliwiają romantyczne tragedie.

W następnych latach znalazłem miłość głębszą i przywiązanie mocniejsze niż cokolwiek, co mogłem sobie wtedy wyobrazić. Ale kiedy rozważałem ideę podróży w czasie, pomyślałem o ironicznej historii dwojga ludzi zupełnie sobie nieznanych, którzy - nie wiedząc o tym - podróżują w przeszłość, by spędzić razem cudowną noc. Moje myśli, oczywiście, wróciły do tej chwili bezsilnej frustracji, kiedy uświadomiłem sobie, że gdybyśmy - ta młoda dama i ja - zachowali się trochę inaczej, mogliśmy żyć razem. Ponieważ o wiele łatwiej jest wykorzystywać prawdziwe zdarzenia, niż wymyślać nowe, wykradłem ten fakt z własnego życia z nadzieją na znalezienie tych gorzkosłodkich wspomnień, które są kluczem dla filmowych romansów.

## PIESER

Cyberpunk był u szczytu, gdy wracałem do domu z ArmadilloConu, konwentu science fiction w Austin, gdzie spotkałem biskupa cyberpunku, Bruce'a Sterlinga. Długo żywiłem wobec tego nurtu uczucia dość ambiwalentne. Wizje cyberpunku Bruce'a Sterlinga zafascynowały mnie, pewnie dlatego, że on jeden mówił o science fiction w terminach, które nie były odgrzewanym Jamesem Blissem czy Damonem Knightem ani nie zostały wykradzione gnijącym zwłokom modernizmu, które wciąż cuchną pod niebo na wydziałach literatury amerykańskich uniwersytetów. Krótko mówiąc, Sterling miał idee, nie tylko echa.

Jednocześnie nie mogłem pozbyć się pewnego wrażenia niesmaku na myśl o tym, co się robi pod nazwą cyberpunku. William Gibson, choć całkiem utalentowany, wydawał się pisać raz po raz tą samą historię. Co więcej, była to wciąż tę sama samoobsługowa historia obracana na każdym kursie pisarskim w Ameryce i przynajmniej raz na numer publikowana w każdym piśmie literackim: cierpiący artysta, wyalienowany ze społeczeństwa i walczący, by znaleźć cel życia. Moja odpowiedź jest prosta. Artysta wyalienowany ze swego społeczeństwa nie ma w życiu żadnego celu. Przynajmniej jako artysta. Człowiek tylko wtedy może żyć jako artysta, jeśli jest ściśle powiązany ze społeczeństwem, któremu prezentuje swoją sztukę.

Jednak najgorsza w cyberpunku była płytkość tych, którzy go naśladowali. Wystarczy sypnąć trochę narkotyków na sprzęg mózgowo-chipowy, wymieszać z luźnymi nawiązaniami do kontrkultury lat sześćdziesiątych, dołożyć sztuczny, afektowany język i dostaniemy cyberpunk. Mniejsza z tym, że opowiadane historie to klisze równie głupie i wtórne jak najgorsze teksty, przeciwko którym Bruce Sterling się początkowo buntował. Nawet gdyby historie były wysoce oryginalne, stylistyczna

imitacja i afekcja są przestępstwami tak ciężkimi, że czynią ruch literacki godnym kary śmierci.

Tak więc, będąc dzieckiem przewrotnym i złośliwym, rzuciłem sobie wyzwanie: czy wtórność cyberpunku jest źródłem czy symptomem jego pustki? Czy można napisać dobre opowiadanie, które wykorzystuje wszystkie cyberpunkowe klisze? Sprzęg mózgowo-chipowy, podrabiany slang, prochy, kontrkultura... Czy ja, porządny mormoński chłopiec, który obserwował lata sześćdziesiąte z odwrotnego końca lornetki, potrafię napisać przekonujące opowiadanie w tym stylu, a także opowiedzieć historię, która mnie osobiście usatysfakcjonuje jako dobre opowiadanie?

Jedno było pewne: nie mogłem naśladować cudzych pomysłów. To tylko język, styl chciałem imitować, musiałem więc naruszyć własne przyzwyczajenia i zacząć nie od fabuły, lecz od głosu. Od monologu. Pierwsze dwa akapity Piesera to pierwsze dwa, jakie napisałem, właściwie już w takiej formie, jakie są teraz. Fabuła przyszła później, kiedy miałem już w miarę dobrze ustalony głos i postać narratora.

Skończyłem tekst wkrótce po powrocie do domu i wysłałem do Gardnera Dozois w Asimovie. Spodziewałem się, że je odrzucą. Wyobrażałem sobie Gardnera, jak zataczając się ze śmiechu wchodzi do holu Davis Publications, krztusi się i dusi, trzymając mój maszynopis jak worek płonącego nawozu. "Patrzcie tylko, teraz Card próbuje pisać cyberpunk". Zamiast tego Gardner przysłał mi umowę. Trochę zepsuł tym moje plany; chciałem wykorzystać opowiadanie podczas warsztatów w Sycamore Hill tego lata, a ponieważ zostało sprzedane, nie mogłem tego zrobić. W rezultacie podczas warsztatów napisałem nowelę Pageant Wagon, więc tak zupełnie nie przegrałem.

Tymczasem jednak Gardner nie opublikował Piesera. Trzymał go dwa i pół roku, zanim wysłałem liścik przypominający, że nasza umowa dobiega końca i jeśli nie zamierzają drukować mojego opowiadania, to chcę je z powrotem, żeby sprzedać komuś innemu. Wtedy jakby nagle sobie o nim przypomnieli i wstawili do numeru w ostatniej chwili, żebym zdążył dołączyć je do tej książki.

W pewnym jednak sensie Gardner zrobił mi przysługę - być może celowo. Zatrzymując opowiadanie na tak długo, sprawił, że Pieser wyszedł drukiem już po szczytowej fali naśladownictwa cyberpunku. Opowiadanie nie zostało tak wyraźnie uznane za wtórne. I wprawdzie z pozoru nie było "typowym Cardem", mogło jednak być odebrane jako moje dzieło, a nie błada imitacja Gibsona. I tak zaoszczędzono mi losu zaprezentowania się tak żałośnie, jak - powiedzmy - Barbra Streisand śpiewająca disco z Bee Gees.

## STARAMY SIĘ TEGO NIE OKAZYWAĆ

Przez krótki czas ulubioną restauracją moją i Kristine w Salt Lake City był Savoy, restauracja jakoby angielska, która jednak serwowała znakomite jedzenie. Sprowadzaliśmy tam przyjaciół, chodziliśmy sami, robiliśmy wszystko, żeby im się udało. W dodatku zawsze był tam tłok. W sześć miesięcy później właściciele zwinęli interes.

Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy. Programy telewizyjne, które lubię, są skazane na

spadnięcie z ramówki. Autorzy, których kocham, przestają pisać książki, jakie kochałem. (Dalej, Mortimer i Rendell! Dla Rumpole'a i Wexforda przyszlście na świat! Co do ciebie, Gregory McDoladzie, pisz Fletchera albo giń!) Trendy w science fiction i fantasy, które podziwiam, szybko się kończą; te, od których dostaję mdłości, trzymają się jak hemoroidy. Z tego czy innego powodu, świat realny nie chce odzwierciedlać moich gustów.

Stąd wzięło się to opowiadanie. Niestety, nie potrafiłem wznieść się ponad jego źródło. Od tego czasu nauczyłem się, że nie powinienem pisać opowiadań startujących od pojedynczego pomysłu, a raczej czekać na drugi, nie związany z pierwszym, tak żeby z ich zetknięcia powstało coś naprawdę żywego. W rezultacie opowiadanie jest obciążone klątwą większości tekstów science fiction - mówi raczej o idei niż o postaciach, co oznacza, że jest w końcowym efekcie do zapomnienia. To jednak nie znaczy, że jest bez wartości. Mam nadzieję, że przyjemnie wam było przeczytać je raz. Nic nie zyskacie, czytając je po raz drugi. Po pierwszej lekturze otrzymaliście już wszystko, co może wam ofiarować.

## GENOTOPIA

Jim Baen napisał kiedyś do magazynu Galaxy artykuł wstępny, w którym wzywał pisarzy science fiction, aby przestali pisać o tych samych znanych "przyszłościach" i spojrzeli na to, czym nauka zajmuje się teraz. Gdzie na przykład są opowiadania przewidujące skutki obecnych badań nad rekombinacjami DNA?

Pracowałem wtedy w magazynie The Ensign, więc Jay, Lane i ja uznaliśmy to za osobiste wyzwanie. Naturalnie, zgodnie z tradycją młodych pisarzy SF, mechanicznie wzięłem pomysł manipulacji genetycznych (jako greczny chłopczyk czytałem Scientific American, więc mogłem całkiem niegłupio to wymyślić), doprowadziłem go do ekstremum i dodałem stereotypową fabułę o dwóch narodach zajętych walką na śmierć i życie. W dodatku jeden z nich nie zdaje sobie sprawy, że ten drugi już dawno nie istnieje, a prawdziwa walka toczy się teraz przeciwko światu, który zniszczyli. Myślę, że jako polemika na temat "przestańmy narażać naszą planetę", opowiadanie nadal pełni swoją rolę. Jako literatura jest jednak wyraźnie dziełem mojej młodości. Temat rekombinacji DNA został opisany przez ten czas o wiele lepiej, zarówno w moich własnych opowieściach (Glizdawce, Mówca Umarłych), jak i pracach pisarzy, którzy oddali mu większą sprawiedliwość (w szczególności myślę tu o wspaniałych dokonaniach Octavii Butier: Dawn, Adulthood Rites i Imago). Jeśli chcecie dowodu, że była to tylko niedojrzała, młodzieńcza próba science fiction, wystarczy popatrzeć na oryginalny tytuł - I Put My Blue Genes on - marna gra słów z zabawnej, ale głupiej piosenki, napisanej - o ile pamiętam - do reklamy dzinsów.

Dzisiaj jednak dostrzegam, że pewne moje późniejsze zainteresowania są już widoczne w Genotopii. Przede wszystkim wysłałem w kosmos Brazylijczyków. Nie byłem pierwszym, który tego dokonał, ale niewątpliwie jest to moja pierwsza świadoma próba pokazania amerykańskim pisarzom SF, że przyszłość prawdopodobnie nie należy do Ameryki. W science fiction przed pierwszą wojną światową w kosmos zawsze latali Francuzi i Anglicy. Teraz, w świecie postimperialnym, uważamy

to za dość dziwną ideę. Osobiście głęboko wierzę, że za pięćdziesiąt lat pomysł, by Amerykanie prowadzili świat dokądkolwiek, wyda się równie anachroniczny. Tylko ci z nas, którzy wysłą w przestrzeń Brazylijczyków, Tajów, Chińczyków i Meksykanów, będą mogli uważać się za ludzi przewidujących.

Oczywiście, mogę się mylić w tej szczególnej przepowiedni, jaką głoszę. Jest jednak i inny powód, by otworzyć science fiction dla innych kultur - taki, że science fiction to jedyny trwały wkład Ameryki w literaturę. Na każdym innym polu jesteśmy wtórni do... no, może nie do głębi, ponieważ na tych polach nie mamy żadnej głębi. Nikt w innych krajach nie próbuje pisać westernów, nikt w Rosji, Niemczech czy Japonii nie ogląda się na Updike'a czy Bellowa, żeby nauczyli go pisać "poważną" beletrystykę. Mają już tradycje literackie starsze i lepsze od naszych tak zwanych szczytowych osiągnięć. Ale w science fiction wszyscy oglądają się na nas. Także chcą tworzyć fantastykę, ponieważ wszyscy, którzy ją czytają, we wszystkich krajach, widzą w niej literaturę możliwości, literaturę niezwykłości. To jedyny istniejący gatunek, który pozwala pisarzowi tworzyć satyrę, nie rozpoznawaną natychmiast jako satyra, tworzyć powieść metafizyczną, nie uznawaną za filozoficzny czy religijny prozelityzm. Krótko mówiąc, jest to najbardziej swobodna, najbardziej otwarta literatura dnia dzisiejszego, i jedyna, której inni pisarze uczą się głównie i przede wszystkim od Amerykanów.

Dlaczego zatem autorzy science fiction z uporem opisują wyłącznie amerykańską przyszłość? Nasza publiczność sięga szerzej niż ten kontynent. Istnieją kraje, gdzie nasze słowa traktują z większą powagą niż tutaj. Jeśli naprawdę chcemy naszym pisarstwem zmienić świat - a nie umiem wymyślić innego powodu, by w ogóle dotykać piórem papieru - to powinniśmy przemawiać do świata. A jedyny sposób, by pokazać światu, że do niego mówimy, to umieścić ich - obywateli innych krajów - w naszych przyszłościach. Zachować się inaczej to jakby ich spoliczkować, jakby powiedzieć: "Widziałem przyszłość i was tam nie było". No cóż, ja też widziałem przyszłość, i oni tam są - w wielkiej liczbie, z wielką potęgą. I chcę, żeby mój głos stał się jednym z tych, których słuchali w drodze na szczyt. W Genotopii zrobiłem pierwszy krok na tej drodze.

## W PSIEJ BUDZIE (Z JAYEM A. PARRYM)

Co by było, gdyby obcy przybyli do nas nie w obcym kształcie? Gdyby przybyli w postaci, którą już znamy, o której sądzimy już, że rozumiemy? Jay Parry i ja rozważaliśmy pomysł innego rozegrania tej historii - z obcymi pojawiającymi się w postaci jakiejś uciskanej mniejszości, na przykład Indian albo Murzynów. Jednak problemy wówczas wydawały się nie do pokonania - w szczególności problemy polityczne. Dla białego pisarza wielką sztuką jest próba wyrażenia punktu widzenia Czarnych bez wpadania w polityczną niepoprawność. Myślałem wtedy, że o pewnych sprawach mogą w imieniu Czarnych mówić czarni pisarze, ale nie biali, których przekaz byłby źle zrozumiany. W ciągu lat, jakie minęły, przekonałem się, że pisarz dowolnej rasy, płci czy religii może pisać o każdej innej rasie, płci i religii; musi tylko:

1. Dokładnie przestudiować temat, żeby nie zrobić z siebie durnia.

2. Przekazać prawdę tak, jak sam ją widzi, nie obrażając ani nie pogardzając żadną grupą.

3. Mieć skórę tak grubą, żeby pogodzić się ze śmiercią tysiąca ostrzy, czekającą go niezależnie od tego, jak dobrze zrealizuje punkty 1 i 2.

Trochę nieśmiali, Jay i ja opracowaliśmy fabułę, wykorzystując zwierzęta równie mocno zakorzenione w naszych uprzedzeniach jak dowolna grupa ludzka. Wierne, kochane psy. Najlepsi przyjaciele człowieka. Osiągnęliśmy takie same potencjalne możliwości: Brzemie Białego Człowieka, pogardliwa sympatia (kilku moich najlepszych przyjaciół jest psami), a przede wszystkim sztywna determinacja, by utrzymać je na dotychczasowych miejscach.

## ORIGINISTA

W mojej rubryce recenzji w *The Magazine of Fantasy and Science Fiction* napisałem kiedyś diatrybę potępiającą częstą w latach osiemdziesiątych modę, by prywatne światy autorów zmieniać w światy firmowe, ogólnodostępne, po których mogą buszować inni pisarze. Wszystko to zaczęło się od *Star Treka* i nie było żadnym wielkim spiskiem. Byli sobie, widzicie, fani *Star Treka*, zniecierpliwieni tym, że Paramount zaniedbuje ich bohaterów. Zaczęli więc pisać własne opowiadania o załodze statku "Enterprise" (w pewnym sensie było to wyjątkowo adekwatne: scenariusze i wykonawstwo w oryginalnym serialu przypominało czyjaś produkcję garażową, więc czemu by nie kontynuować tej tradycji?). Legenda głosi, że Paramount zamierzał najpierw ich zaskarżyć. Ale szybko przyszło im do głowy, że można zrobić pieniądze na publikacji nie sfilmowanych opowiastek o Kirku, Spocku i innych członkach załogi Dylizansu wśród tanich międzyplanetarnych dekoracji. Mieli rację co do liczby czytelników i liczby dolarów. I tak narodził się nowy przemysł: science fiction pisana w cudzym, mamie sobie wyobrażanym, ale z pasją studiowanym universum.

Przypuszczam, że to było nieuniknione. Wydawcy, którzy nie zarabiali tych startrekowych dolarów, musieli spróbować zamienić inne sprawnie wyobrażone przyszłości w równie lukratywne przedsięwzięcia, w których dzieło jednego pisarza jest równie dobre jak innych. Pod koniec lat osiemdziesiątych pojawiły się liczne powieści umieszczone "w świecie ....", gdzie terminujący autorzy, często nie mający pojęcia o wewnętrznej prawdzie, jaka skłoniła Starego Mistrza do stworzenia danego świata, umieszczali w nim akcję swoich opowieści. W rezultacie powstawały teksty, z których nikt nie był dumny i których nikt nie pamiętał.

Niewypowiedzianym (mam nadzieję) założeniem wszystkich tych światów jako tytułów serii było: Czytelnicy nie zauważą różnicy. Ale wydawcy przekonali się, że większość czytelników science fiction - w przeciwieństwie do publiczności *Star Treka* - widzi tę różnicę i przejmuje się nią. Czytelnicy science fiction przywiązani są do autorów. Prawdziwi czytelnicy science fiction nie chcą czytać powieści Johna Varleya o *Diunie*, Lisy Goldstein o *Lensmanie* czy Howarda Waldropa o *Pernie* (osobiście z rozkoszą przeczytałbym powieść Howarda Waldropa o *Pernie*, ale nie z powodów, jakimi chciałbym się chwalić).

Dlatego też sformułowalem w swojej rubryce pewne prawo: Pisarze nie powinni marnować czasu ani talentu, próbując opowiadać historie dziejące się w cudzym universum. Co więcej, znani autorzy nie powinni - udostępniając swoje światy - współdziałać w marnowaniu talentu młodszych twórców.

Gdy tylko mój artykuł trafił do druku, Martin Harry Greenberg wspomniał mi, że przygotowuje antologię upamiętniającą pięćdziesiątą rocznicę pracy twórczej Isaaca Asimova, książkę zatytułowaną *Foundation's Friends*. Dla tej jednej antologii dr Asimov pozwolił uczestnikom przedsięwzięcia napisać opowiadania umiejscowione w jego ściśle powiązanych fikcyjnych światach, z wykorzystaniem stworzonych przez niego postaci. Naprawdę mogliśmy pisać o trzech prawach robotyki, pozytronowych mózгах i Susan Calvin. Mogliśmy pisać o Fundacji, wykorzystując Harięgo Seldona, Trantorę, Terminusa i Muła.

I nagle znów miałem szesnaście lat i przypomniałem sobie historię, którą tak strasznie chciałem przeczytać, ale Asimov nigdy jej nie napisał - historię powstania Drugiej Fundacji w bibliotece na Trantorze.

Czy zapomniałem, że właśnie po wsze czasy zakazałem udostępniania swoich światów? Nie. Po prostu tkwi we mnie przewrotne przekonanie, że kiedy tylko ktoś ustali jakieś prawo, prawo to powinno być złamane - nawet jeśli ja sam jestem prawodawcą. Dlatego napisałem *Originistę* jako hołd, a może i uzupełnienie arcydzieła Asimova.

Nie znaczy to, że opisane przeze mnie prawo uważam za niesłuszne. Wręcz przeciwnie, jestem do niego absolutnie przekonany. Tyle że - jak większość praw - można je ominąć, jeśli człowiek włoży w to dostatecznie wiele pracy. Wypożyczone światy zwykle nie odnoszą sukcesu, ponieważ młodzi pisarze na ogół nie rozumieją dobrze oryginału, nie wiedzą, co w nim jest takiego, że opowiadania pierwszego autora jakoś się udają, a także nie czują się wystarczająco odpowiedzialni, by w tych okolicznościach dać z siebie wszystko. Cóż, w swojej arogancji uznałem, że dostatecznie dobrze znam universum Fundacji - nie w trywialnych szczegółach, ale w całościowym zasięgu opowieści, w tym, co ona znaczy (owszem, czytałem *Decline and Fali*, ale to nie jest fundament Fundacji). Zdawało mi się także, że wiem, na czym polega urok tych opowieści: na rozkoszy odkrycia, że nieważne, ile zasłon się zerwie, nigdy nie dotrze się do tej ostatniej, nigdy nie odkryje się prawdziwego człowieka za Asimovskim Ozem. Zawsze istnieją plany ukryte pod planami, przyczyny ukryte pod wiarygodnymi przyczynami.

I wreszcie miałem własną historię do opowiedzenia. Spróbowałem już czegoś w jej stylu we fragmencie powieści, która miała nosić tytuł *Genesis* - być może jeszcze ją napiszę. Chciałem w niej pokazać granicę między człowiekiem a zwierzęciem, dokładny przecinek w interpunkcyjnym modelu ewolucji, znaczący przejście od nieludzkiego do ludzkiego. Dla mnie granicą tą jest uniwersalne ludzkie powtarzanie opowieści - to właśnie łączy ze sobą społeczności, to przechowuje ludzką tożsamość po śmierci i określa ją w życiu. Bez opowieści nie jesteśmy ludźmi; z nimi jesteśmy. Ale *Genesis* okazała się niemożliwa do napisania, po części dlatego, że aby zrobić to jak należy, powinienem odwiedzić Kaszmir i Etiopię - miejsca ostatnio niezbyt bezpieczne.



Ale podobne tematy mogłem rozwinąć - choć z większego dystansu - w opowiadaniu *Originista*. Co więcej, zbliżoną kwestię poruszył w *Fundacji* sam Asimov - przedstawił postać, badającą biblioteki w poszukiwaniu planety, na której wzięła początek ludzka rasa. Udało mi się podjąć czysto Asimovski temat - daremność wtórnych studiów - i połączyć go z własną kwestią - fundamentalną rolą opowieści w kształtowaniu indywidualów i społeczności.

Posunąłem się nawet dalej w uczynieniu z *Originisty* prawdziwej opowieści ze świata *Fundacji* - wykorzystałem formę, jaką Asimov udoskonalił, a której sam nigdy nie używałem: to historia, w której nic się właściwie nie dzieje oprócz dialogów. Asimovowi udaje się to dzięki przenikliwej wyrazistości jego prozy i wysublimowanej inteligencji pomysłów - czytelnik nigdy się nie nudzi, słuchając, jak jego postacie dyskutują o ideach, ponieważ nie traci wątku, a idee warte są wysłuchania. Wyzwanie polegało na tym, żeby jak najbardziej zbliżyć się do niego wyrazistością; mogłem tylko mieć nadzieję, że inni uznają moje idee za równie interesujące, jak ja idee Asimova.

I chociaż wiedziałem, że *Originista* nigdy nie zostanie uznany za samodzielny tekst, włożyłem w niego tyle pracy i uczucia, co w pełną powieść. Właściwie udowodniłem własne prawo - napisałem opowiadanie kosztem czysto *Cardowskiej* powieści, która prawdopodobnie nigdy nie powstanie. Myślę jednak, że warto było - jeden raz. Po części dla wykazania, że można to zrobić dobrze (jeśli w istocie zrobiłem to dobrze), a po części dlatego, że jestem dumny z samego opowiadania - z jego powstania, z tego, co mówi, i dlatego, że jest hołdem dla pisarza, którego uważam za najlepszego amerykańskiego prozaika naszych czasów, bez żadnych wyjątków.